

ZAWIERUCHA

Najnowsza
powieść autorki
bestsellerowej serii
Warszawianka.

ISKRY
NA
WIATR
IDA
ŻMIEJEWSKA

IDA
ŻMIJEWSKA

ZAWIERUCHA

ISKRY
NA
WIATR



Redakcja
Paweł Wielopolski

Korekta
Agnieszka Czapczyk

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcia wykorzystane na okładce
© *Leka Sergeeva/Shutterstock*

Skład i łamanie
Marcin Labus

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2022

© Copyright by Ida Żmiejewska, Warszawa 2022

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-67093-73-6



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Motto

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ VI

ROZDZIAŁ VII

ROZDZIAŁ VIII

ROZDZIAŁ IX

ROZDZIAŁ X

ROZDZIAŁ XI

ROZDZIAŁ XII

ROZDZIAŁ XIII

ROZDZIAŁ XIV

Jesteśmy jak iskry na nieznanym wietrze.

ERICH MARIA REMARQUE

Sierpień–grudzień 1914, Warszawa

ROZDZIAŁ I

I.

Dlaczego tato, zanim się powiesił, nie pomyślał, co stanie się z nami?

Pola Kellerówna często zadawała sobie to pytanie. Nawet teraz, stojąc w długiej kolejce wijącej się przed wejściem do Banku Handlowego, próbowała znaleźć przyczyny nieszczęść, które od kilku miesięcy, jedno po drugim, spadały na nią i bliskie jej osoby.

Bankructwo rodzinnej firmy. Śmierć ojca. Utrata całego majątku. Zajęcie willi zbudowanej jeszcze przez dziadka oraz letniskowego świdermajera w Józefowie. Przeprowadzka z eleganckich Alej Ujazdowskich do czynszowej kamienicy na obrzeżach Śródmieścia.

Choć serce nadal ją bolało, zaczynała godzić się z losem, przekonana, że nic gorszego nie może ich już spotkać – istniała chyba jakaś sprawiedliwość, a one wszak nie zrobiły nikomu krzywdy – kiedy na początku sierpnia wybuchła wojna.

Zanosiło się na nią od kilku tygodni, właściwie od dnia zamachu w Sarajewie, w którym zginął książę Franciszek Ferdynand, bratanek i następca cesarza Franciszka Józefa. Austria nie mogła puścić płazem tak okropnej zbrodni i postanowiła ukarać Serbię, ale nawet wtedy, gdy oba kraje zamieniły noty dyplomatyczne na karabiny, ludzie wciąż wierzyli, że to tylko lokalny zatarg, który uspokoi się szybciej, niż wybuchł, a życie wróci na zwykłe tory.

Nie wróciło. Decyzję Austro-Węgier o wypowiedzeniu wojny poparły sprzymierzone z nimi państwa centralne, za Bośnią stanęli zaś sojusznicy z ententy. Niemcy zagroziły Rosji, a zaraz potem do konfliktu przystąpiły Francja, Wielka Brytania i Belgia. Świat stanął na głowie.

Przygnębiona tą myślą Pola westchnęła i spojrzała na kolejkę, która sunęła do przodu w żółtym tempie. Ostatnio, ku przerażeniu klientów, wszystkie banki w Warszawie zaprzestały wypłacania oszczędności, ale ludzie i tak czekali, chcąc wymienić choć kilkadziesiąt rubli. W mieście ogarniętym gorączką mobilizacji i strachem przed niepewną przyszłością zaczynało brakować drobnych, w związku z czym zrobienie codziennych zakupów urastało do rangi cudu; nawet w aptekach nie wydawano lekarstw, jeśli klient nie mógł zapłacić za nie odliczoną kwotą w gotówce.

Kolejka nagle szybko ruszyła – zapewne w środku otworzono dodatkowe stanowiska – i panna Kellerówna, która nigdy samodzielnie nie załatwiała spraw finansowych, pożałowała, że tu przyszła. Nie mogła jednak pozwolić, aby wszystkim zajmowała się ciotka i starsze siostry.

– Pola!

O wilku mowa... Odetchnęła z ulgą, a potem odwróciła się i szybko dostrzegła zgrabną sylwetkę Niny, która zgodnie z umową przyszła, aby ją zmienić. Do południa brakowało jeszcze pół godziny, więc siostra nieco się pospieszyła.

– Już blisko. – Nina, zarumieniona i zgrzana, poprawiła kapelusz nieustannie zsuwający się na oczy. W głębokiej czerni wyglądała bardzo mizernie i niepozornie.

– Ponoć rozmieniają tylko po dwadzieścia rubli.

– Dobre i tyle – mruknęła starsza Kellerówna. – Trzeba w końcu zrobić zakupy. Katarzyna lamentuje, że nie ma co włożyć do garnka. Chcesz wracać do domu czy zaczekasz ze mną?

– Zaczekam. – Bała się sama gnieść w tramwaju, a na fiakra nie miała pieniędzy.

A jeszcze kilka miesięcy temu było inaczej – dysponowały własnym powozem, zaś w ubiegłym roku ojciec kupił najnowszy automobil. Dziś tamte luksusy pozostawały tylko wspomnieniem.

Wybiła dwunasta, kiedy Nina weszła wreszcie do banku. Opuściła go już po kwadransie bardzo zadowolona: zapewne przekonała urzędnika i rozmieniła większą kwotę. Od zawsze miała dar zadawazji, którego zmagająca się z nieśmiałością młodsza siostra ogromnie jej zazdrościła.

– Chodźmy – powiedziała Pola. – Może Katarzyna zdąży zrobić zakupy jeszcze dzisiaj.

Szły wolno ulicą hrabiego Berga. Od nagrzaných słońcem murów buchało ciepło, a one nosiły żalobne sukienki zbyt ciężkie na gorący sierpniowy dzień. W tym roku, po raz pierwszy od wielu lat, nie sprawiły sobie letnich strojów, gdyż pieniądze należało oszczędzać na ważniejsze potrzeby.

– Pojedziemy tramwajem – zdecydowała Nina, kiedy dotarły do Krakowskiego Przedmieścia.

Młodsza siostra kiwnęła głową. Ruszyły w stronę przystanku. Widoczna z daleka duża grupa oczekujących wskazywała na to, że ostatnio nie pojawił się tam żaden wóz. Na szczęście one mogły wsiąść do każdego, który jechał w kierunku Marszałkowskiej, więc istniała nadzieja, że nie będą czekać zbyt długo.

Mijały zdenerwowanych ludzi przemierzających ulicę szybkim krokiem. Pola nie mogła przywyknąć do tego nadzwyczajnego ruchu. Nie dość, że wszędzie było pełno wojska, to jeszcze chyba wszyscy letnicy postanowili wrócić do miasta jednocześnie. Wielu mieszkańców zapragnęło zaś czegoś wręcz przeciwnego – jak najszybciej stąd wyjechać w jakieś bezpieczne miejsce. Musieli oczywiście ustępować pierwszeństwa rosyjskim instytucjom ewakuującym się w poplochu na wschód i urzędnikom uciekającym do Rosji z całymi rodzinami.

Wzłów kolejowych strzegły kordony wojska. Ciotka Klara, która ostatnio odbierała z Dworca Petersburskiego jedną ze swoich przyjaciółek, twierdziła, że rozgrywane się tam sceny toczka w toczkę przypominały Bitwę pod Grunwaldem autorstwa pana Matejki, którą wielokrotnie oglądali w Zachęcie.

Dziewczęta zatrzymały się na krawędzi chodnika. Krakowskim Przedmieściem z rykiem silników pędziły – jeden za drugim – wojskowe samochody; tymczasowo zakazano korzystania z prywatnych samochodów. Na każdym rogu wisały bijące po oczach krzykliwą czerwienią rosyjskie obwieszczenia o powszechnym poborze do armii. Przed punktem mobilizacyjnym zorganizowanym na terenie Uniwersytetu Warszawskiego kłębił się tłum zdenerwowanych kobiet i zapłakanych dzieci. Widok ten mocno kontrastował z panującą wokół nieledwie świąteczną atmosferą – rekruci szli do wojska z prawdziwym zapałem. Nic dziwnego, po ostatnich wieściach dotyczących zniszczenia Kalisza nienawiść do teutońskich najeźdźców sięgnęła zenitu.

– Dzień dobry paniom.

Siostry odwróciły się jak na komendę. Tuż za nimi stał ciemnowłosy młody mężczyzna w oficerskim mundurze. Nina przyglądała mu się niepewnie, ale Pola rozpoznała go w mgnienu oka.

– Dzień dobry – powiedziała z uśmiechem. – Co pan tu robi?

– Ledwo wróciłem z Zurychu i już zostałem zmobilizowany. Jutro wyjeżdżam do pułku. – Spoglądał na nią, lekko mrużąc jasne oczy. Poczula, że się rumieni. – Ależ pani wyrosła, panno Apolonio... Panno Janino – zwrócił się do starszej z siostr – pani mnie chyba nie poznaje?

Zawstydzona Ninka właśnie w tym momencie doznała olśnienia.

– Panie Witoldzie, przepraszam. – Złożyła ręce. – To chyba przez ten mundur.

Witold Tarłowski był siostrzeńcem i spadkobiercą Edmunda Richtera, właściciela wielkiej fabryki wyrobów żelaznych i dobrego znajomego ojca. A także niedoszłym narzeczonym ich najstarszej siostry Zofii.

Jakieś cztery lat temu panowie Richter i Keller wpadli na genialny w swej prostocie pomysł, aby połączyć obie firmy i rodziny. Tarłowski, posłuszny woli wuja, nie protestował, ale problemy zaczęły się, gdy Zosia, która lubiła robić wszystko po swojemu, nie zgodziła się na zaręczyny i wykorzystując fakt, że przedwcześnie zmarła matka zostawiła jej w spadku specjalny fundusz, pospiesznie wyjechała do Krakowa na studia. Znajomość przemysłowców nie przetrwała takiego afrontu i od tamtej pory upokorzony Richter robił wszystko, aby wyprzeć niedoszłego współnika z rynku.

Pola nie spuszczała wzroku z Witolda. Za nic nie przyznałaby się do tego głośno, ale miała do niego słabość, od kiedy była czternastoletnią pensjonarką, a on chudym i nieśmiałym studentem, nieporadnie zalecającym się do Zosi. Nieustannie wodziła za nim wzrokiem i, w przeciwieństwie do siostry, która nader chętnie wykorzystywała ją jako przyzwoitkę, z wypiekami na twarzy słuchała jego pełnych pasji opowieści o wytopie stali, budowie mostów tudzież produkcji dynamitu.

Bardzo zmienił się od tamtej pory. Zmężniał i wyprzystojniał – choć może to ostatnie było kwestią pasującego mu wyjątkowo uniformu – ale nadal uśmiechał się do niej tym samym łagodnym uśmiechem, który tak dobrze zapamiętała.

– Dobięły mnie wieści o śmierci pana Maksymiliana – powiedział. – Moje najszczęsze kondolencje.

– Dziękujemy bardzo – odparła Nina tonem, który jasno sugerował, że nie chce kontynuować tematu.

– Zaręczam też honorem – ciągnął niezrażony tym Witold – że wuj nie ma nic wspólnego z sytuacją, w jakiej panie się znalazły. Co prawda lubi rywalizację, ale zawsze walczy z otwartą przyłbicą.

– Nigdy nie kwestionowałyśmy uczciwości pana Edmunda.

Tu akurat siostra mijiała się z prawdą. Pola niejednokrotnie słyszała, jak ciotka Klara odsądza od czci i wiary właścicieli wszystkich konkurencyjnych firm, z Richtermem na czele.

– A co słychać u pana? – Nina postanowiła definitywnie zmienić temat, zanim sytuacja stanie się niezręczna. – Oprócz, oczywiście, tego. – Wskazała na mundur.

– Zaręczyłem się kilka dni temu z panną Sabiną Dresslerówną.

– Wspaniała nowina! Znam Sabinę doskonale, chodziliśmy razem na pensję. To uroczą dziewczyną i doskonałą partią.

Tarłowski wyglądał na nieco zakłopotanego entuzjazmem starszej Kellerówny, zaś Pola milczała; nie potrafiła zdobyć się na to, aby mu pogratulować. Dotarło do niej za to z całą ostrością, że właśnie zyskała kolejny powód do zmartwień.

2.

– Uważaj! – Nina chwyciła siostrę za ramię i przytrzymała: gdyby nie jej interwencja, nieobecna duchem dziewczyna weszłaby na ulicę wprost pod kopyta kawalerskiego wierzchowca.

– Przepraszam – powiedziała Pola, po czym zatrzymała się na środku chodnika z takim wyrazem twarzy, jakby wyrwano ją z nieprzyjemnego snu.

Starsza Kellerówna westchnęła; czasem odnosiła wrażenie, że siostra żyje we własnym świecie, który nie ma żadnych punktów stykowych z otaczającą ją rzeczywistością.

Nie mogły przejść na drugą stronę, aby dostać się na przystanek linii tramwaju „O”, ponieważ Marszałkowską, w kierunku alei Jerozolimskiej, ciągnęły niekończące się pułki wojska. Zmobilizowani rezerwiści. Warszawiacy.

Szli i szli, a obie panny obserwowały ich w milczeniu wraz z rosnącą z każdą chwilą grupą rozentuzjazmowanych przechodniów.

„Nasze wojsko! – niesło się wśród tłumu. – Obrońcy!”

Mężczyźni częstowali żołnierzy papierosami, kobiety rzucały im kwiaty pod nogi i posyłały pocałunki. Nina przez chwilę myślała, że uczestniczy w uroczystej paradzie ku czci cara Mikołaja. Wrażenie spotęgowało się, gdy orkiestra zaczęła grać *Na sokkach Mandżurii*.

– Myślisz, że Austro-Węgry i Niemcy robią teraz to samo? – zapytała Pola, gdy muzyka na chwilę ucichła.

– Co takiego? – Nina spoglądała na dziarskich piechurów; wciąż miała wrażenie, że dostrzega wśród nich znajome twarze.

A może były to tylko omamy po niespodziewanym spotkaniu z Tarłowskim, który musiał wdziać rosyjski mundur? Współczuła mu, kiedy Zosia potraktowała go w tak bezceremonialny sposób, a teraz dawny postępek siostry złościł ją jeszcze bardziej: gdyby nie jej lekkomyślność, może ojciec uniknąłby bankructwa i żył do tej pory. Na dodatek jakiś czas temu przestała do nich pisać i nie pokazała się nawet na pogrzebie, mimo niezliczonych telegramów, które wysyłała do niej ciotka.

– Czy biorą Polaków do swojego wojska? – kontynuowała tymczasem Pola, odprowadzając wzrokiem czoło kolumny, które zdążyło właśnie minąć Dworzec Wiedeński i skręcało w aleję.

– Oczywiście.

– W takim razie i nasi, i tamci będą walczyć przeciwko sobie...

Ostatni żołnierze przemaszerowali obok nich. Kurz unoszący się nad ulicznym brukiem powoli opadał.

– Chodźmy wreszcie. – Zniecierpliwiona Nina pociągnęła siostrę za sobą. Nie zamierzała dyskutować o takich trudnych sprawach. Nie na ulicy.

Dotarły na przystanek dokładnie w momencie, gdy przyjechał tramwaj. Z trudem wepchnęły się do środka, gdzie panował nieznośny ścisk. Zapewne przez to, że po zmobilizowaniu motorniczych zmniejszono liczbę wozów wyjeżdżających na miasto.

Podróż trwała kilkanaście minut, ale z powodu okropnej duchoty dziewczęta miały wrażenie, że ciągnęła się całe godziny. Gdy pojazd zatrzymał się przy Żelaznej, z ulgą opuściły zatłoczony wagon i wolnym krokiem ruszyły w stronę miejsca, które obecnie nazywały domem.

To właśnie tam, w ogromnej i ponurej kamienicy, usytuowanej u zbiegu Złotej, Żelaznej i Twardej, wynajęły mieszkanie za radą adwokata rodziny, mecenasa Finkiela. Choć od przeprowadzki minęło już kilka tygodni, Nina nie umiała polubić ani tego budynku, ani trzypokojowego lokalu, w którym musiały gnieździć się w sześć osób, wliczając w to służącą Katarzynę.

Tęskniła za białą willą w Alejach Ujazdowskich, którą rodzina Kellerów zajmowała przez prawie pięćdziesiąt lat. Dziadek August najpierw zbił majątek na produkcji drutu, gwoździ, łańcuchów i tym podobnych metalowych rzeczy, a potem wybudował dom dla nowo poślubionej żony.

Nina nie mówiła tego głośno, ale żywiła żal do ojca, że nie opowiadał o sprawach fabryki i nigdy nie wspominał o problemach finansowych. Pożyczając pieniądze od swej matki i siostry, tłumaczył, że potrzebuje kapitału na inwestycje, a kredyty bankowe są zbyt wysoko oprocentowane. Ciotka Klara i babcia Adela wierzyły w jego zapewnienia, w końcu spełniał każde ich życzenie, a pogłoski o słabej kondycji przedsiębiorstwa – bo i takowych nie brakowało – brały za przejaw niechęci i złej woli konkurencji. Wieść o bankructwie spadła na nie niczym grom z jasnego nieba.

W bramie dziewczęta minęły zapachniętą od placzu stróżkę – wiedziały, że jej najstarszego syna zaraz po ogłoszeniu mobilizacji wcielono do wojska i wysłano w nieznane – a kiedy dotarły na trzecie piętro, Nina już w progu mieszkania poczuła zapach świeżo parzonej kawy. Z największego pokoju, który pełnił funkcję salonu, dochodziły czyjeś głosy, ale ona zamiast przywitać się z gośćmi, poszła najpierw do kuchni, gdzie urzędowała Katarzyna Guziórowna, jedyna służąca, która zgodziła się dzielić z nimi niedolę; dziewczyna była młoda i niezbyt doświadczona, mogły więc pozwolić sobie, aby zatrudnić ją nadal bez poczucia, że żyją ponad stan.

– Niech Katarzyna zrobi zakupy. – Nina wyjęła portmonetkę i odliczyła kilka monet.

– Polecę. Zaraz jak goście pójdą. Może co jeszcze dostaną.

– A kto przyszedł? – zapytała Pola, która też zajrzała do kuchni.

Odpinając kapelusz, tak niezręcznie powyciągała szpilki, że popsowała fryzurę, którą rano ułożyła jej Julia. Brązowe kosmyki wiły się niedbale wokół drobnej twarzy, a Nina ze zdumieniem stwierdziła, że siostra wygląda nader korzystnie, zrezygnowała więc ze zwrócenia jej uwagi.

– Pani Zapiórkiewiczowa i pani doktorowa Łapińska – odparła służąca.

A więc pani Marii udało się wrócić szczęśliwie z kuracji w Ciechocinku. Ciotka Klara, która od początku wojny pilnie studiowała lokalne wiadomości w gazetach, ubolewała ostatnio, że przez problemy na kolei jej najlepsza przyjaciółka utknie na Kujawach co najmniej do Bożego Narodzenia.

3.

– Dzień dobry – powiedziała Nina, kiedy obie z Polą, nieco odświeżone, weszły do pokoju, w którym za stołem rozsiadły się obie przybyłe z wizytą damy, a także ciotka Klara i Julia. Uwadze Ninki nie umknęło, że młodsza siostra ma na sobie jedną ze swoich najelegantszych białych sukienek z muslinu. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż Julia za nic nie chciała pogodzić się z faktem utraty dawnej pozycji towarzyskiej i koniecznością oszczędzania. Na szczęście, choć zrezygnowała z żalobnego stroju, miała na tyle taktu, aby nie wystróić się w coś kolorowego.

Babcia Adela, jak zwykle spowita w wytorną czerń i koronki, rezydowała na sofie, wachlując się ozdobnym wachlarzem, który w swoim czasie kosztował więcej niż miesięczny czynsz za obecne mieszkanie, i spod zmrużonych powiek obserwowała koleżanki Klary. Stara pani Kellerowa, która jeszcze niedawno tryskała energią i z godnością zniosła zarówno śmierć syna, jak i bankructwo firmy, od dnia przeprowadzki do wielkiej czyszowej kamienicy wyraźnie podupadła na duchu. Nie pomagały jej nawet, przyjmowane regularnie, spore dawki koniaku.

– Cieszę się, że was widzę, moje drogie. – Zapiórkiewiczowa, bawiąc się od niechcenia perłowym naszyjnikiem, przyjrzała się uważnie bratanicom przyjaciółki. – Wyglądacie kwitnąco. Absolutnie kwitnąco! Prawda, Leokadio?

– Tak, tak – potwierdziła szybko doktorowa Łapińska, ledwo zaszczycając je spojrzaniem.

– Mój Boże, wszystkie jesteście takie dorosłe. I takie ładne. Całkiem jak wasza ciocia w młodości. – Dama zerknęła na Julię, która nie byłaby sobą, gdyby nie zamrugała kokieteryjnie. Za to Pola w żaden sposób nie zareagowała na miłe słowa; zapewne doszła do wniosku, że ta uwaga jej nie dotyczy.

– Powinny szukać odpowiednich mężów – zaczęła posępnie ciotka Klara, która, obdarzona jasną, eteryczną urodą, wciąż mogła się podobać. – A nie gnieździć się na trzecim piętrze czyszówek. – Jakby na poparcie swych słów, duszkiem opróżniła szklankę.

Nina natychmiast podeszła do samowara i zaczęła przygotowywać świeżą herbatę dla niej oraz dla siebie i najmłodszej siostry. Myślała przy tym, że gdyby tatko nie upierał się, że córki muszą wychodzić za mąż według z góry ustalonej kolejności, ciotkę trapiłoby o wiele mniej zmartwień. Julia, a możliwe, że nawet i ona, założyłyby już własne rodziny i miałyby zapewnioną bezpieczną przyszłość. A tak, musiały czekać w nieskończoność, aż Zofia wreszcie się wyszumi i pozwoli jakiemuś szczęśliwcowi zaprowadzić się do ołtarza.

Choć z drugiej strony Nince wcale nie było spieszo do zamążpójścia. Nie cieszyła się szczególnie powodzeniem, zaś mężczyźni, którzy okazywali jej zainteresowanie, skuszeni wyłącznie sutym wianem, wzbudzali w niej instynktowną niechęć.

Inaczej miały się sprawy z Julią, która zamierzała niezwłocznie zająć należne jej miejsce w towarzystwie i z każdym miesiącem traciła i tak skąpe pokłady cierpliwości, gdyż przez matrymonialną politykę ojca opuściło ją kilku interesujących adoratorów. Ci, którzy pozostali, zniknęli jak sen złoty, kiedy w mieście gruchnęła wieść, że Kellerówny nie mają nawet jednego rubla posagu.

– Spotkało was wielkie nieszczęście – oświadczyła pani Maria. – Ale nie ma co roztrząsać go bez końca. Czasu nikt nie cofnie. Teraz, kiedy trwa wojna, trzeba myśleć o innych rzeczach. I działać! Mężowie znajdują się w odpowiednim momencie. Prawda, Leokadio?

– Oczywiście. – Kiwnęła głową zapytana.

– Nie zdążyłam wam wspomnieć, ale od kilku dni mamy w Warszawie Komitet Obywatelski – kontynuowała Zapiórkiewiczowa. – Gubernator Żyliński już go zatwierdził, a sam ksiądz Lubomirski

zgodził się stanąć na jego czele. Oczywiście zgłosiłam się do pracy zaraz po powrocie z Ciechocinka. Leokadia także. – Spojrzała znacząco na przyjaciółkę. – Zaczynamy działać i będzie nam potrzebna pomoc.

– Zaraz, zaraz! – zastanawiała się głośno ciotka. – Czytałam o tym w „Kurierze Warszawskim”. Nie rozumiem tylko, czym ten komitet miałby konkretnie się zajmować.

– Między innymi pomocą dla najbiedniejszych – odparła pani Maria. – Sprzedają żywności... Ceny u kupców rosną jak szalone i za chwilę nikogo nie będzie stać na chleb. Są jeszcze rodziny rezerwistów, którzy poszli na wojnę, a ich żony i dzieci zostały bez środków do życia. Nie wszystkie kobiety mogą zastąpić mężów jak żony woźniców. Ach, będzie mnóstwo pracy. – Zapiórkiewiczowa złożyła ręce jak do modlitwy. – Myślę, że dziewczęta powinny się włączyć. I ty, Klaro, także.

– Nie jestem pewna – powiedziała ciotka, która najwyraźniej uważała, że tego typu działalność nie jest odpowiednia dla pańien z porządnej rodziny. Nawet takiej, która zbankrutowała. – To znaczy, ja chętnie wam pomogę...

– Ja też – wtrąciła się szybko Julia.

Nina upiła łyk herbaty i ze zdumieniem spojrzała na siostrę. Jej entuzjazm wyglądał podejrzanie, gdyż do tej pory wcale nie interesowała się dobroczynnością.

– Zobaczymy – rzuciła ciotka, która nie chciała dyskutować z upartą bratanicą przy gościach.

– Mam dwadzieścia jeden lat, jestem pełnoletnia. Chcę wyjść do ludzi.

A więc siostrze chodziło przede wszystkim o rozrywkę. Ostatnio narzekała, że w domu nie dzieje się nic interesującego.

– Zobaczymy – powtórzyła Klara niczym echo.

– Proszę cioci... – jęknęła Julia i w poszukiwaniu wsparcia zerknęła na panią Zapiórkiewiczową.

I może otrzymałaby je, gdyby do rozmowy nie dołączyła babcia.

– Julciu... – zaczęła tonem, którego nie znosiła żadna z jej wnuczek, gdyż zawsze zwiastował jakąś nieprzyjemną, acz przeważnie słuszną uwagę. – Jak wspominałaś, masz dwadzieścia jeden lat, a zachowujesz się niczym pacholę z freblówki. Brakuje tylko, żebyś zaczęła tupać nogami. Dobroczynność wymaga namysłu. Nie można angażować się w nią pochopnie, tym bardziej gdy brakuje doświadczenia. Myślę – spojrzała znacząco na przyjaciółki córki – że pani Maria i pani Leokadia zgodzą się ze mną w tym względzie.

– Ależ oczywiście – potwierdziła gorliwie Zapiórkiewiczowa, która trochę bała się starszej damy, a potem dyplomatycznie zmieniła temat: – Całkiem eleganckie to wasze mieszkanie. Nieprawdaż, Leokadio?

Mimo najszerszych chęci Nina nie mogła zgodzić się z tą opinią. Lokum było co prawda czyste i prawie nowe, ale w porównaniu z dawną willą było ciasne i przerażająco ubogie.

Tyle dobrego, że mogły zabrać ze sobą część mebli i wyposażenia. Niektóre z tych rzeczy sprzedały – w ich sytuacji liczyła się każda kopiejka – a zatrzymały to, co uznały za niezbędne. Niestety, zapалу do urządzania wnętrza nie wystarczyło im na długo i większość przedmiotów czekała zmiłowania upchnięta w paczkach i kufrach.

– Cieszę się, że tak uważacie – powiedziała ciotka Klara, zaś babcia skrzywiła się jak po cytrynie.

– Czynsz wynosi tylko dwadzieścia pięć rubli – rzuciła nagle Pola, która ocknęła się ze swej zwykłej zadumy. – Mecenas Finkiel twierdzi, że w tak niskiej cenie nie znajdziemy nic lepszego.

Klara zakrztusiła się herbatą, a Julia spojrzała na siostrę ze zgrozą; cóż, nie dość, że obnażyła publicznie całą biedę, w jakiej przyszło im wegetować, to na dodatek poruszyła temat, o którym dobrze wychowana młoda dama nie powinna mieć pojęcia. Obie jednak zapomniały, że dobrze wychowane młode damy bezmyślnie przestrzegające form przeważnie nie muszą myśleć o pieniądzu i martwić się niepewną przyszłością.

4.

Ledwo drzwi zdążyły zamknąć się za jej przyjaciółkami, ciotka Klara spojrzała na Polę i zapytała ze zgrozą:

– Skąd, na miłość boską, przyszło ci do głowy, żeby opowiadać o czynszu w tej kamienicy?

– Myślałam, że... – Siostra skuliła się na krześle w taki sposób, że Nince zrobiło się jej żal. To oczywiste, że dziewczyna nie nadążała za zmianami zachodzącymi w ich życiu. – Myślałam, że to dobrze, że jesteśmy oszczędne.

– Dziecko! Zdradziłaś obcym osobom, jakie jesteśmy biedne.

– Przecież to nie są obce osoby, tylko cioci przyjaciółki – rzuciła ze zdumieniem Pola.

Klara nie wiedziała, co powiedzieć. Spojrzała bezradnie na babcię Adelę, która jednym, pełnym wzdychu ruchem złożyła wachlarz.

– Chodź tutaj, kochanie – powiedziała łagodnie do najmłodszej wnuczki, wskazując jej miejsce obok siebie.

Pola posłusznie klapnęła na sofę.

– Przepraszam – powiedziała płaczliwie. – Nie wiedziałam, że tak nie wypada.

– Posłuchaj, kochanie, i zapamiętaj. – Adela pogłaskała ją po głowie. – Nie każdy, kto podaje się za przyjaciela, jest nim naprawdę. Niektóre osoby cieszą się z tego, co nas spotkało. Dlatego nigdy nie mów o sobie więcej, niż musisz.

– Czy pani Zapiórkiewiczowa... – zaczęła niepewnie Pola.

– Pani Zapiórkiewiczowa jest prawdziwą przyjaciółką cioci. Doktorowa także. Nie wiadomo jednak, czy nie opowiedzą komuś o naszym nieszczęściu. To krępujące.

– Zapamiętajcie to sobie wszystkie – oświadczyła twardo Klara, która wreszcie odzyskała rezon. – Nie działajcie na swoją szkodę, gdyż w razie nieszczęścia nikt was nie obroni. Żaden mężczyzna!

Ciotka, niestety, mówiła prawdę. Jej bratanice nie miały ani stryja, ani wuja, ani brata. Pradziadek, Georg Keller, który ponad osiemdziesiąt lat temu przyjechał do Warszawy z Lipska, doczekał się tylko jednego syna, Augusta. Babcia Adela wcześniej została sierotą, zaś jedyny brat ich zmarłej matki pod koniec lat osiemdziesiątych minionego stulecia poszedł na Syberię za socjalizm i ponoć umarł tam na gruźlicę wyniesioną z Cytadeli. Mogły więc liczyć tylko na siebie.

Nina, kiedy o tym myślała, z trudem powstrzymywała płacz. Znowu wrócił do niej ten straszny moment, kiedy to weszła do gabinetu i znalazła tam ciało tatki. Spuściła szybko głowę, gdyż nie chciała, aby któraś z domowniczek dostrzegła jej łzy; przecież to ona była najdzielniejszą z siostr, której nerwy nigdy nie zawodziły.

Ciszę przerwała wreszcie Julia.

– Uważam, że powinnam zająć się dobroczynnością – oświadczyła poważnie. – Dlatego żeby pokazać wszystkim, że nie jest z nami tak źle.

– A mogłabyś wytłumaczyć, od kiedy interesuje cię pomaganie innym? – zapytała Nina. – Sama nie sięgam pamięcią aż tak daleko.

– Od tego samego dnia, co ciebie oszczędzanie – odparła zdenerwowana Julia. – Nie rozumiesz mnie, tylko wiecznie krytykujesz. Nic nie poradzę, że nie mogę przywyknąć do tej biedy.

Rzeczywiście, Nina nie potrafiła pojąć, jak można, będąc naprawdę bystrą osobą, interesować się tylko swoim wyglądem, balami, plotkami i wielbicielami.

– To nie moja wina, że ojciec zbankrutował – rzuciła. – Uspokój się wreszcie!

– Nie będę udawać tak jak ty, że wszystko jest w porządku. Powinnam być teraz w świecie, a nie siedzieć w czynszówce i skąpić sobie wszystkiego. Jak można tak żyć?

– Damy radę – wtrąciła się cicho Pola. – Razem.

– Nie chcę dawać sobie rady! – Julia spojrzała wściekle na młodszą siostrę. – Chcę żyć jak wcześniej! Nie mam zamiaru tu mieszkać!

– Wolisz w parku? Czy pod mostem?

– Chcę w naszym domu!

– Dom nie jest już nasz – oświadczyła Nina. – Przyjmij to w końcu do wiadomości.

– Ci ludzie nie mieli prawa... Boże, chcę stąd wyjść! Coś zrobić.

– W takim razie znajdź sobie pracę.

– A czemu sama tego nie zrobisz? – Siostra wbiła w nią oskarżycielskie spojrzenie. – Zakasz rękawy i daj dobry przykład.

Kiedy kilka lat temu Nina z doskonałym wynikiem skończyła pensję, poprosiła ojca, aby zatrudnił ją u siebie w biurze. On jednak odmówił kategorycznie. Maksymilian Keller szczerze kochał matkę, siostrę i wszystkie córki, ale żadnej z nich nie traktował poważnie. Liczył, że w porę znajdzie odpowiedniego zięcia, choćby takiego jak Witold Tarłowski, któremu będzie mógł przekazać zarząd nad fabryką. Ewentualnie rozważył powtórne małżeństwo, aby jeszcze doczekać się syna.

Nince poradził wtedy, aby zajęła się czymś odpowiednim dla kobiety. Zaproponowała więc studia ekonomiczne, ale o nich ojciec też nie chciał słyszeć: zachowanie Zofii wyczerpało jego cierpliwość w tym względzie. Tak więc zła i zawiedziona w swych nadziejach młodszą Kellerowną, postanowiła pojechać do Paryża i tam ukończyć najbardziej kobiecą szkołę, jaką tylko zdoła znaleźć. Padło na tę działającą przy Szpitalu Salpêtrière, w której nauczano pielęgniarstwa.

Szybko odkryła, że nie ma powołania do opieki nad chorymi. Za to była konsekwentna i uparta, więc nie tylko dotrwała do końca zajęć, ale też celująco zdała wszystkie egzaminy.

– Teraz rozmawiamy o tobie – odparła twardo. – Powinnaś zająć się czymś pożytecznym, zamiast dla zabawy udawać anioła miłosierdzia. Po ilu dniach ci się znudzi? Dwóch? A może już po jednym?

– Nienawidzę cię!

– W jaki sposób odzywasz się do siostry?! – Ciotka, która dotąd w milczeniu przysłuchiwała się kłótni bratanic, była naprawdę zgorzozna. – Straciliśmy majątek, ale przynajmniej zachowajmy maniery.

– Niech ciocia jej powie, żeby dała mi spokój. Niech lepiej zajmie się sobą! – rzuciła Julia. – Wygląda jak ostatni kocmoluł.

Nina miała ochotę, tak jak w dzieciństwie, trzepnąć siostrę w ucho, nie zdążyła jednak ulec pokusie, gdyż babcia postanowiła zainterweniować. Nadszedł ku temu odpowiedni moment: ona była bliska rękoczynów, ciotka Klara trzęsła się ze zdenerwowania, a przerażona karczemną awanturą Pola walczyła ze łzami.

– Koniec tej kłótni! – rzuciła surowo Adela. – To zachowanie godne przekupek ze Starówki! Wasza matka przewraca się w grobie.

Nina wzięła głęboki oddech i zawstydzona spuściła głowę. Była jednak już strasznie zmęczona ciągłym udawaniem tej najdzielniejszej i martwieniem się o wszystkich dookoła.

– Już dobrze – powiedziała starsza dama, a potem spojrzała na Julię i stanowczo oświadczyła: – Prawdziwa dobroczynność to ciężka i odpowiedzialna praca, a nie zabawa towarzyska albo okazja do prezentowania sukienek.

– Nawet gdybym chciała, nie mam czego prezentować – odparła nadąsana dziewczyna. – Wszystkie moje stroje są już niemodne.

Oburzona Klara już otworzyła usta, aby udzielić reprimendy bezczelnej bratanicy, ale nie zdążyła tego zrobić, gdyż babcia podniosła uspokajająco rękę i powiedziała:

– Akurat temu można zaradzić. Wystarczy, że nauczysz się szyc na maszynie.

5.

Julia weszła do pokoju, który dzieliła z siostrami, przekręciła klucz w zamku i skuliła się na swoim posłaniu. Potrzebowała spokoju i samotności, które w tym mieszkaniu stanowiły rzadko spotykany luksus.

Brakowało jej słów, by wyrazić, jak bardzo nienawidziła tego miejsca. Z odrazą rozejrzała się po ciasnym wnętrzu, w którym stały trzy wąskie łóżka, szafa na ubrania, stare biurko ojca, z którym żadna z nich nie umiała się rozstać, i dwa krzesła. Przez okno wychodzące na Żelazną widać było tylko mur sąsiedniej kamienicy, tak samo okropnej jak ta, tylko nieco mniejszej. Na domiar złego musiała nieustannie wysłuchiwać zgrzytu kół i dzwonienia przejeżdżających obok tramwajów.

Tęskniła za białą willą z przeszklonym tarasem i kutymi balkonami, otoczoną wypieszczonym przez ciotkę ogrodem. Za unoszącym się w powietrzu zapachem nagrzanym słońcem kwiatów. Za obszernym salonem, w którym prawie w każdą sobotę bawili się goście z najwyższych sfer. Za dyskretnie krzątającą się służbą.

Boże, tak bardzo, wręcz do bólu serca, tęskniła za tatką.

Miała zaledwie dwadzieścia jeden lat i do niedawna wierzyła, że teraz zacznie się najlepszy okres w jej życiu. Nie zamierzała marnować czasu na studia ani na jakąkolwiek naukę jak starsze siostry. Chciała chodzić na przyjęcia, błyszczeć na balach i mieć mnóstwo wielbicieli. A potem – kiedy Zosia i Ninka wreszcie znalazłyby sobie mężów – poślubić tego, który podobał się jej najbardziej.

Tymczasem nawet nie spostrzegła, kiedy znalazła się poza towarzystwem. Dawne koleżanki spoglądały na nią podejrzliwie i traktowały niczym trędowatą, jakby bankructwo było zaraźliwą chorobą. Mężczyzna, z którym zapragnęła spędzić życie, zostawił ją i zniknął bez słowa.

Lzy napłynęły jej do oczu; wytarła je nerwowym gestem. Musiała szukać ratunku. Jedyne rozwiązanie, które przychodziło jej do głowy, to korzystne zamążpójście.

ROZDZIAŁ II

I.

Dzięki cotygodniowej herbacie u pani Zapiórkiewiczowej zdołały przynajmniej na kilka godzin zapomnieć o problemach. Pani Maria, jak zwykle uprzejma, nie dawała im odczuć, że coś się zmieniło w ich towarzyskim statusie. Prawie przez całe popołudnie rozmowa toczyła się wokół wyboru nowego papieża, który przyjął imię Benedykta XV, sytuacji na froncie wschodnim oraz manifestu wystosowanego do Polaków przez wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, kuzyna cara i głównodowodzącego armii rosyjskiej.

– Posłuchajcie, co pisze! – Pani Maria sięgnęła po ulotkę i zaczęła głośno odczytywać jej treść. Miała przy tym taką minę, jakby zamierzała nauczyć się całości na pamięć: – „Polacy! Wybiła godzina, w której przekazane Wam marzenie ojców i dziadów Waszych ziścić się może. Przed półtora wiekiem żywe ciało Polski rozszarpano na kawały, ale dusza jej nie umarła. Żyła ona nadzieją, że nadejdzie godzina zmartwychwstania dla Narodu Polskiego i dla pojednania się braterskiego z Wielką Rosją”¹.

– No proszę – mruknęła babcia Adela, od niechcenia sięgając po ciastko. – Nie sądziłam, że Moskale zapalają do nas taką miłość. Brat mojej synowej bardzo by się z tego ucieszył... Gdyby nie był umarł na Sybirze.

– Wojna zmienia spojrzenie na wiele rzeczy – odparła gospodyni. – Może zrozumieli, że bez nas sobie nie poradzą. Posłuchajcie, co wielki książę pisze dalej. – Znowu spojrzała na ulotkę. – „Niechaj Naród Polski połączy się w jedno ciało pod berłem Cesarza Rosyjskiego. Pod berłem tym odrodzi się Polska, swobodna w swej wierze, języku i samorządzie”.

– Odrodzi się Polska, swobodna w swej wierze, języku i samorządzie – powtórzyła z emfazą ciotka Klara. – Wszak to wyraźna obietnica. Rację mają ci, którzy mówią, że powinniśmy trzymać się Rosji.

– Tylko patrzeć, jak car pokona kajzera i cesarza austriackiego, a potem połączy wszystkie nasze ziemie – powiedziała z radością Zapiórkiewiczowa. – Zostaniemy pod jego berłem, ale rządzić się będziemy sami. Dokładnie tak, jak proponuje pan Dmowski.

– Brzmi wspaniale – wtrąciła się Julia, która z wniebowziętą miną dosłownie spięła dziś wszystko, co padło z ust gospodyni.

Nina pomyślała, że to podejrzane, i postanowiła bliżej przyjrzeć się poczynaniom siostry, która chyba nie porzuciła zamiaru podjęcia pracy w którejś z sekcji Komitetu Obywatelskiego.

– Byłabym ostrożna ze snuciem tak daleko idących planów. – Babcia brutalnie przerwała ten festiwal optymizmu. – Niebezpiecznie przypomina dzielenie skóry na żywym niedźwiedziu. Kajzer nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Zaś Austria... No cóż, są tacy, którzy uważają, że to z jej pomocą odzyskamy niepodległość. Na przykład ten... jak mu tam, Piłsudski.

– Ależ, droga mammo, nie rozmawiajmy o szaleńcach i... terrorystach! – zawołała oburzona Klara.

Nina ze zdziwieniem spoglądała na ciotkę; miała wystarczająco dużo lat, aby pamiętać, co wydarzyło się w 1905 roku i w jaki sposób siostra ojca mówiła wtedy o Polskiej Partii Socjalistycznej tudzież jej przywódcach. A także jak tragicznie skończył się tamten czas dla ich rodziny. Niewykluczone, że Klara, powodowana poczuciem winy, nadal próbowała zapomnieć o przeszłości i stąd wzięła się ta drastyczna zmiana opinii.

– W każdym razie ja zaczekam z wydawaniem sądów – oświadczyła Adela i dopiła herbatę.

– W armii rosyjskiej jest wielu Polaków, nawet ochotników – przypomniała jej pani Maria. – W gruncie rzeczy to także nasza armia.

– Polacy są też w armii pruskiej i austriackiej – odezwała się nieoczekiwanie Pola, która do tej pory w milczeniu grzebała widelczykiem w cieście. – Będą do siebie strzelali.

A więc ten temat nadal ją dręczył...

– Moje dziecko. – Ciotka z wyższością spojrzała na najmłodszą bratanicę. – Ile razy mówiłam, że nie powinnaś wtrącać się do rozmów dorosłych. Zwłaszcza na tak poważne tematy jak wojna i niepodległość. Nic nie rozumiesz, więc powstrzymaj się od wydawania opinii.

Zawstydzona Pola spuściła głowę. Nina tknięta nagłym impulsem mocno uściśnęła rękę siostry.

2.

Julia już trzeci raz pukała do drzwi, ale Katarzyna wciąż nie otwierała. Co więcej, z mieszkania nie dochodziły żadne odgłosy świadczące o jej obecności.

– Cóż ona sobie wyobraża? – rzuciła z oburzeniem ciotka Klara. – Miała dzisiaj nigdzie nie wychodzić.

– Może zagadała się ze strażakiem – mruknęła babcia pod nosem. – Widziałam, że paru się tu kręci i przewraca oczami do służących. Pewnie liczą na jakieś słodycze.

– Ależ proszę mamy! – Ciotka nie kryła zgorznienia. – Co też mama opowiada? Zapewne poszła do kościoła i modli się o zbawienie duszy.

– Dziś była na mszy świętej o szóstej rano – powiedziała Nina. – Po południu zamierzała robić konfitury z tych malin, które kupiła wczoraj.

– Może coś się stało? – zapytała zaniepokojona Pola. – Katarzyna nie wyszłaby z domu bez naprawdę ważnego powodu, zwłaszcza jeśli obiecała, że będzie na nas czekać.

– Znudzila się i uciekła – rzuciła pogardliwie Julia, bawiąc się od niechcenia parasolką. – Mówiłam, żebyśmy ją odprawiły, a zostawiły Franciszkę albo Balbinę, ale nikt nie chciał mnie słuchać. One przynajmniej umiały gotować.

– Wiesz, że nie mogłyśmy pozwolić sobie na tak doświadczone służące – przypomniała jej Nina, zaglądając do torebki. Przed wyjściem na herbatę do pani Marii pomyślała o tym, o czym zapomniały pozostałe, a mianowicie o kluczach.

– Liczę, że Katarzyna ma dobre wytłumaczenie. – Ciotka westchnęła ponuro, śledząc wzrokiem poczynania bratanicy.

Wreszcie Nina znalazła to, czego szukała, a kiedy uporała się z opornym zamkiem, babcia Adela pchnęła drzwi i weszła do środka jako pierwsza.

– Co tu się stało? – Zatrzymała się za progiem, tarasując drogę pozostałym.

– Okradli nas? – zapytała Julia. – Mówiłam...

– Zamilcz – rzuciła Nina, próbując precyzyjnie się między babcią a futryną. – Matko Boska! Józefie Święty!

Wystraszone jej okrzykami Julia i ciotka Klara natychmiast weszły do środka. Pola, która jako ostatnia przekroczyła próg mieszkania, stanęła pod ścianą i zaczęła rozglądać się dokoła z niedowierzaniem.

Hol i salon wyglądały, jakby przetoczyły się przez niego wszystkie cztery żywioły jednocześnie. Meble były poprzewracane – ktoś nawet zrzucił samowar ze stolika. Tapicerka krzesel, sofy i foteli została bezlitośnie rozpruta; powyciągane ze środka włosie sterczało na wszystkie strony. Wyrzucone z szafy książki wały się po wszystkich kątach. Na szczęście porcelana, wyjęta z drewnianych pudeł, gdzie czekała, aż właścicielki postanowią skończyć rozpakowywanie, ocalała prawie w komplecie:

intruzi ustawili ją na podłodze, bo najwyraźniej zależało im na zachowaniu ciszy. Późnym popołudniem ktoś mógł zwrócić uwagę na podejrzone hałasy dochodzące z mieszkania sąsiadek.

– Mówiłam... mówiłam, że tak będzie – powtarzała Julia niczym nakręcona lalka. – Pójdziemy na bruk z pustymi rękami, a potem umrzemy z głodu.

Babcia i ciotka pospiesznie udały się do swojej sypialni, a ich okrzyki potwierdziły obawy pozostałych – złoczyńcy nie oszczędzili niczego. Pola znowu bezradnie spojrzała na pobożowisko. Woląła na razie nie oglądać pokoju, który dzieliła z siostrami.

Wtem coś ją tknęło.

– Gdzie jest Katarzyna? – zapytała, chwytając Ninę za rękaw. – Jeśli nie wychodziła z domu, musieli ją zastać. Matko Boska!

Siostra nie powiedziała nawet słowa, tylko co sił w nogach pobiegła do kuchni. Pola, pełna najgorszych przeczuć, natychmiast ruszyła za nią. Modliła się w duchu, aby nic złego nie spotkało służącą.

Nadaremno.

Dziewczyna leżała na kuchennej posadzce wśród porozrzucanych garnków, rondli i talerzy, a rozlany sok malinowy ściekał ze stołu lepкими kroplami i mieszał się z krwią wypływającą spod jej ciała. Nina krzyknęła z przerażenia, a potem, nie zważając na nic, upadła na kolana i wprawnym ruchem dotknęła szyi Katarzyny w poszukiwaniu tętna. Po kilku nienaturalnie długich sekundach, błada jak papier, spojrzała na siostrę i pokręciła przecząco głową.

Poli zrobiło się słabo.

3.

Jak na wojenne czasy, policja pojawiła się bardzo szybko, budząc niezdrowe zainteresowanie mieszkańców całej klatki schodowej. Co ciekawe, cała piątka stróżów prawa okazała się Polakami; najwidoczniej Rosjanie mieli na głowie ważniejsze rzeczy niż włamanie i zabójstwo służącej. Niewykluczone, że siedzieli właśnie w pociągu uwożącym ich z Nadwiślańskiego Kraju prosto do Moskwy lub Petersburga, kilka tygodni temu przechrzczonego na Piotrogród.

Dowodzący patrolem młody komisarz, którego nazwiska Pola nie zdołała zapamiętać, najpierw zdziwił się, widząc tyle kobiet w jednym mieszkaniu, a następnie obejrzał dokładnie wszystkie pomieszczenia, poczynając od kuchni, w której leżała ofiara, kiedy zaś skończył, jednego ze stójkowych wysłał po lekarza, drugiego po sędziego śledczego, a trzeciemu kazał rozpytać sąsiadów, czy nie zauważyli czegoś podejrzanego.

Najmłodsza Kellerówna, która zdążyła dojść do siebie po omdleniu, umościła się w rozprutym fotelu stojącym w kącie salonu i słuchając rozmów policjantów, pomyślała, że w tej chwili wszystkie mogą się przekonać, czego zdołały uniknąć dzięki babci, która przekonała doktora Jezierskiego, aby w akcie zgonu ojca zamiast samobójstwa wpisał atak serca. Oczywiście i Adela, i Klara, i obie starsze siostry wciąż trwały w przekonaniu, że najmłodsza nie ma pojęcia, co rzeczywiście wydarzyło się tamtego majowego wieczoru. Pola dla własnego spokoju wolą nie wyprowadzać ich z błędu.

Komisarz nakazał domownicy nie ruszać niczego, zaś fotograf, który pojawił się niedługo po policjantach, zrobił zdjęcia nie tylko nieboszcze, ale także wszystkim poniszczonym i porozrzucanym rzeczom. Ku oburzeniu ciotki zajął nawet do jej sypialni.

– Napiałabym się koniaku – rzuciła z westchnieniem babcia. – Zaraz puszcza mi nerwy.

– Żadna służąca nie zechce u nas pracować – odezwała się płacziwie Julia. – Będziemy wszystko robić same!

– Czy choć raz możesz nie myśleć tylko o sobie? – zganiała ją półgłosem Nina.

– Myślę o nas wszystkich, głupia! Nie wiem jak ty, ale ja nie chcę uczyć się gotować. Ani zmywać podłogi i palić w piecach.

– Trochę pracy ci nie zaszkodzi. Podobno umierasz z nudów.

Julia gotowała się ze złości, ale nie zdążyła odwzięczyć się siostrze pięknym za nadobne, gdyż w holu rozbrzmiały kolejne męskie głosy i po chwili czwarty stójkowy przyprowadził do salonu mecenas Finkiela, którego babcia wezwała na ratunek.

– Jesteś, drogi Henryku – powiedziała z ulgą na widok prawnika, który przez długie lata współpracował z jej nieboszczykiem mężem, a następnie z nieboszczykiem synem. – Widzisz, co tu się wyprawia. Radź, co robić.

– Żadnej z was nic się nie stało? – upewnił się Finkel, zdejmując kapelusz. Nie było służącej, więc nikt nie poczuwał się, aby go od niego odebrać, zatem położył nakrycie głowy na rogu stołu, a potem wybrał najmniej wybebeszone krzesło i usiadł naprzeciwko Adeli, która tkwiła na sofie, nie bacząc na poczynione w niej zniszczenia.

– Wszystkie jesteśmy całe i zdrowe... Czego nie można powiedzieć o nieszczęsnej Katarzynie. Nie do pomyslenia, żeby ktoś wchodził w środku dnia do cudzego mieszkania i zarzywał Bogu ducha winną służącą!

– Pewnie jakieś lobuzy myślały, że macie schowane pieniądze.

– Jakie pieniądze? – Klara, która wróciła właśnie do salonu, ni to się zaśmiała, ni zapłakała. – Resztki z tego, co stracił mój brat?

– Dla niektórych to nadal spora kwota. – Prawnik uparcie trwał przy swoim zdaniu.

– Ty zawiniłeś! – Adela wbiła w Finkiela wzrok pełen potępienia. – Kto kazał nam wprowadzić się do tej okropnej kamienicy?! W porządnym domu nic takiego nie mogłoby się zdarzyć.

– To była świetna okazja – odparł mecenas, z trudem krzując oburzenie. – Nigdzie nie znajdziesz trzech pokoi od frontu w tak niskiej cenie.

– Z widokiem na sąsiedni mur? – zapytała ironicznie babcia. – I do tego na czwartym piętrze?! Kiedy wprowadziłam się do tego molocha, od razu wiedziałam, że spotka nas tu coś złego. Zawsze miałam dreszcze, kiedy na niego patrzyłam.

– Adelo... – Finkel próbował coś powiedzieć, ale na próżno.

– A to mieszkanie? – kontynuowała podniesionym głosem starsza dama. – Nie chciałam dotąd mówić, żeby nie denerwować dziewcząt, ale to istna nora! Jak tylko policja pozwoli, natychmiast się stąd wyprowadzamy!

– Obawiam się, droga Adelo, że możesz nie mieć wyboru.

– Dawno powinieneś zapamiętać, Henryku, że ja zawsze mam wybór! Przez całe dzieciństwo i młodość mieszkałam w podłej czynszówce i nie zamierzam umrzeć w takim samym miejscu.

Pola otworzyła usta ze zdziwienia: babcia nie opowiadała nigdy o swojej przeszłości. Dziewczęta wiedziały tylko, że przez kilka lat była solistką warszawskiego baletu z widokami na karierę w Petersburgu i to właśnie na scenie dziadek zobaczył ją po raz pierwszy.

– Nie chcę, żeby któraś z moich wnuczek nabawiła się tu choroby. Dopiero wtedy zaczęłyby się wydatki!

– W lepszych lokalizacjach będzie o wiele drożej.

– Starzejesz się, drogi Henryku, i nie masz pojęcia, co dzieje się w tym mieście. Moskale uciekają do siebie. Nawet z tej kamienicy wyprowadziły się trzy urzędnicze rodziny, a właściciel drze włosy z głowy, bo nie może znaleźć nikogo na ich miejsce. Myślisz, że w takiej sytuacji ktoś będzie sрубował czynsze? Wykorzystamy okazję i znajdziemy solidny dach nad głową.

– Pewnie masz rację – zapewnił ją pospiesznie adwokat, a Poli nie spodobała się gorzka ironia brzmiąca w jego głosie.

– Poszukamy mieszkania w Śródmieściu. Co najmniej czterech pokoi.

– Oczywiście zajmę się tym.

– Już raz się zająłeś i to wystarczy. Poradzimy sobie, a ty, drogi Henryku, dopilnuj tej sprawy. – Wskazała ręką kuchnię. – Katarzynie należy się sprawiedliwość... I nie chcę, by następnym razem wymordowano nas wszystkie.

Tymczasem pojawił się od dawna oczekiwany lekarz sądowy. Pola spodziewała się kogoś starszego i w typie statecznego doktora Jezierskiego, tymczasem Józef Warliński okazał się wysokim szatynem z burzą kręconych włosów, wydatnym nosem i nonszalanckim uśmiechem. Przywitał się i bez skrępowania obejrzał zebrane w salonie osoby – na dłuższą chwilę zatrzymał wzrok na Julii – a następnie poszedł badać ofiarę. Pola słyszała, że rozmawia z policjantami, ale choć się starała, nie mogła zrozumieć ani słowa.

Z każdą chwilą denerwowała się coraz bardziej. Najchętniej położyłaby się do łóżka i spróbowała zapomnieć o strasznych rzeczach, które wydarzyły się tego dnia. Postanowiła jednak, że przynajmniej spróbuje udawać, że jest dzielna. Skoro Nince od lat wychodziło to doskonale, ona też powinna się tego nauczyć.

4.

Sędzia, który dotarł na miejsce zbrodni niedługo po lekarzu i został z szacunkiem powitany przez komisarza Górskiego, także okazał się Polakiem, a przy okazji dystyngowanym szpakowatym brunetem, mniej więcej w wieku ich zmarłego ojca. Choć sprawiał wrażenie służbisty, miał w sobie coś, co budziło zaufanie.

– Jerzy Szuster, sędzia śledczy przy Sądzie Okręgowym w Warszawie – przedstawił się uprzejmie gospodyniom, a potem zauważył jeszcze Finkiela i dodał z nieukrywaniem zdziwieniem: – Dobry wieczór, mecenasie. Nie sądziłem, że spotkam tutaj akurat pana.

– Mecenas doradzał mojemu zmarłemu synowi – powiedziała babcia, zanim prawnik zdążył otworzyć usta.

– Oczywiście – rzucił sędzia tonem, z którego Nina wywnioskowała, że raczej nie przepada za mecenasem. – Nie mitręźmy jednak czasu. Pozwolą panie, że najpierw obejrzą zwłoki?

– Proszę robić, co należy – odparła ciotka z westchnieniem, a wtedy urzędnik poprosił komisarza, aby zaprowadził go na miejsce zbrodni.

W napięciu słuchały dyskusji, która wywiązała się w kuchni między nim, doktorem i policjantem. Wynikało z niej niezbitcie, że ktoś dostał się do mieszkania kuchennymi drzwiami, zaś zajęta pracą Katarzyna dała się zaskoczyć. Bandytów było kilku, a ten, który ją zabił, zrobił to fachowo, więc na pewno miał doświadczenie. Nina słuchała tych wywodów ze ściśniętym gardłem; nie mogła zrozumieć, czego mogli szukać u nich tak bezwzględni ludzie.

Wreszcie Warliński oświadczył, że zabiera zwłoki do kostnicy u Dzieciątka Jezus, a potem wysłał jednego z policjantów po czekających na dole sanitariuszy. Julia, która siedziała najbliżej otwartego okna, podniosła się z miejsca i ostrożnie wyjrzała na zewnątrz.

– Rzeczywiście – powiedziała półgłosem. – Jest karetka pogotowia. Stoi pod samą bramą.

– Jezu Chryste. – Ciotka załamała ręce. – Cała kamienica już wie, co się u nas stało. Będą plotkować przez najbliższy rok.

– Niech sobie plotkują i dwa lata – rzuciła babcia. – Wyprowadzimy się stąd najszybciej, jak się da.

Słyszac te słowa, mecenas Finkel poruszył się tak niespokojnie, że o mało co nie spadł z krzesła.

Sanitariusze, którzy bardzo szybko pokonali trzy piętra, ukłonili się im bez słowa i natychmiast powędrowali za policjantem do kuchni. Nie minęło nawet pięć minut, a wyszli stamtąd, targając nosze,

na których leżała Katarzyna przykryta szczelnie białym prześcieradłem. Doktor uklonił się na pożegnanie, znowu zerknął na Julię i podążył za nimi.

– Wypytałście sąsiadów? – Sędzia nie skończył jeszcze rozmowy z komisarzem.

– Nadal pytamy – odparł służbiście Górski. – Jeden z moich ludzi rozmawia ze stróżem.

– Stróża sam przesłucham. A co do reszty... Czekam na szczegółowe raporty.

– Z samego rana będą na pańskim biurku.

Komisarz opuścił mieszkanie, zaś sędzia wrócił do salonu, sięgnął po teczkę i powiedział:

– Chciałbym porozmawiać. Dziś ze wszystkimi paniami razem, ale niewykluczone, że później zaproszę każdą z osobna.

– Oczywiście – odparła pospiesznie ciotka. Nina pomyślała zaś, że gdyby nie знаła Klary tak doskonale, zaczęłaby podejrzewać, że sądowy urzędnik wpadł jej w oko. Cóż, jak na swój zaawansowany wiek był nawet przystojny, na dodatek nie nosił obrączki.

– Niech pan robi to, co uważa za konieczne – dodała po chwili babcia.

– Dziękuję – rzucił sędzia, wyciągając dwa kajety i pięć ołówków. Ułożył to wszystko równo na stole, po czym chwycił najbliższe krzesło, zupełnie nie zwracając uwagi na jego oplakany stan, i usiadł. – Prosiłbym wszystkie panie o podanie mi kolejno swojego imienia, otczestwa, nazwiska oraz wieku. – Spojrzał na babcie, która nieznacznie skinęła głową. – Zaczniemy od najmłodszej panny.

– Apolonia Maksymilianowna Keller, osiemnaście lat – odpowiedziała szybko dziewczyna, ale zaraz się zmieszala. – To znaczy, osiemnaście skończę w grudniu.

Sędzia zanotował coś w kajecie.

– Julia Maksymilianowna Keller, dwadzieścia jeden lat.

– Janina Maksymilianowna Keller, dwadzieścia dwa lata. – Nina z przejęcia zapomniała, jak bardzo nie znosi pełnej wersji swojego imienia.

– Klara Augustowna Keller – wymamrotała zawstydzona ciotka, a potem dodała szeptem: – Trzydzieści cztery lata.

– Adela Wincentowna z Krajewskich Augustowa Kellerowa – oświadczyła z godnością babcia. – Siedemdziesiąt jeden lat.

Wnuczki, słysząc to wyznanie, wymieniły znaczące spojrzenia; Adela tak pilnie strzegła daty swych urodzin, że dopiero dziś, przy okazji policyjnego śledztwa, dowiedziały się, w jakim właściwie jest wieku.

– Dziękuję paniom – powiedział sędzia. – Obiecuję, że więcej nie zadam tak osobistych pytań. Proszę powiedzieć, jak panie odkryły włamanie.

W salonie zaległa cisza, więc Nina zdecydowała się zacząć i miętoszac nerwowo chusteczkę, opowiedziała urzędnikowi o wizycie u pani Zapiórkiewiczowej oraz o przerażającej niespodziance, którą odkryły po powrocie. Dodała też kilka informacji na temat zwyczajów nieszczęsnej Katarzyny.

– A więc mówi panna, że Guziorówna codziennie chodziła na popołudniową mszę? – upewnił się sędzia.

– Kiedy mieszkaliśmy w Alejach Ujazdowskich, chodziła do świętego Aleksandra – potwierdziła Nina – a teraz do kościoła przy szpitalu Dzieciątka Jezus.

– A czy panie często odwiedzały swoją znajomą?

– W każdą sobotę – odpowiedziała tym razem ciotka, która opanowała już zawstydenie. – Od kiedy tu mieszkamy. To jest od pięciu tygodni.

– Wygląda na to, że ktoś panie obserwował – skonkludował Szuster.

– Dlaczego? – Klara w obronnym geście uniosła ręce do piersi.

– Aby poznać wasze zwyczaje – wtrącił ponuro Finkiel. – I pewnie na samym końcu bandyci zrezygnowali z obserwacji, więc sprawy nie poszły po ich myśli.

– Zmiana zwyczajów Guziorówny wiązała się chyba z tymi malinami, które walają się po kuchni?
– Zgadza się, panie sędzio – potwierdziła ciotka. – Zamierzała jeszcze dziś przerobić je wszystkie na konfitury i sok. Nie zdążyła. – Uniosła do oczu chusteczkę.

Sędzia znowu coś zanotował, a kiedy skończył pisać, spojrzął na Klarę i zadał kolejne pytanie:

– Od kiedy Guziorówna była u pań w obowiązku?

– W przyszłym miesiącu minęłoby dokładnie półtora roku.

– Ile miała lat?

– Dziewiętnaście.

– Skąd pochodziła?

– Z jakiejś wsi pod Grójcem, niestety w tej chwili nie pamiętam nazwy.

– Balbina Wiśniewska na pewno będzie wiedziała – wtrąciła się babcia. – Jedna z naszych byłych służących. Ona nam ją naraiła... To jakaś jej kuzynka.

– A czy pani wie, gdzie teraz można znaleźć tę Wiśniewską?

– Po tym jak musiałyśmy zwolnić służbę, zatrudniła się u radcostwa Bilińskich na Mazowieckiej.

– Dziękuję, na pewno to sprawdzę. – Sędzia zapisał sobie nazwisko i orientacyjny adres nowych pracodawców Balbiny, a następnie podkreślił je dwoma zamazaszystymi liniami. – Czy Guziorówna miała jakichś wrogów?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparła ciotka. – Ale nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł jej źle życzyć. To była dobra i uczciwa dziewczyna, choć trochę rozrzepana.

– Może spotykała się z jakimś podejrzanym mężczyzną?

– Powtarzała, że na razie nie wybiera się za mąż – kontynuowała Klara. – Nic mi nie wiadomo, aby ktoś kręcił się koło niej. Może ty coś słyszałaś, Ninko?

Dziewczyna pokręciła przecząco głową, a potem szybko wyjaśniła:

– Katarzyna lubiła dużo mówić, więc gdyby jakiś zalotnik sprawiał jej kłopoty, na pewno opowiedziałaby nam o tym bardzo dokładnie. Więcej niż jeden raz.

– Rozumiem... – mruknął sędzia. – Co zginęło podczas włamania? Jakieś pieniądze? Kosztowności?

– Tym draniom chyba nie o to chodziło – zauważyła Klara. – Co prawda, nie znaleźli pieniędzy, ale na samym wierzchu leżało mnóstwo drobniaków, choćby perłowa bransoletka mamy... Nie zabrali jej. Może z kimś nas pomylili?

– Nie sądzę – odparł sędzia. – Ale to dziwne, że niczego nie wynieśli... Proszę jeszcze raz dokładnie sprawdzić swoje rzeczy. Naprawdę trzymają panie biżuterię w domu?

– Nie mamy tego wiele – wyjaśniła Julia. – Ojciec zbankrutował i stracił cały majątek, więc bank zabrał najcenniejsze klejnoty na poczet spłaty długów.

– W takim razie czego mogli szukać?

– Niestety, nie mamy pojęcia – przyznała z westchnieniem babcia. – Choć to już druga dziwna sytuacja, która nas spotyka.

– Druga? – Sędzia spojrzął na nią z uwagą. – Co chce pani przez to powiedzieć?

– Na kilka dni przed naszą wyprowadzką z willi ktoś zakradł się do gabinetu mojego syna i otworzył sejf. W środku dnia i w domu pełnym służby.

– Coś takiego? – zdumiał się mecenas. – Adelo, nie wspomniałaś nawet słowem, że...

– Dlaczego nie zawiadomiła pani policji? – wpadł mu w słowo Szuster.

– Sprawdziliśmy zawartość kasy i okazało się, że wszystko jest na swoim miejscu – wyjaśniła pospiesznie ciotka. – Nawet pieniądze.

Stwierdzenie, że z sejfu nic nie zginęło, nie było precyzyjne, gdyż żadna z nich nie wiedziała, co dokładnie gospodarz tam trzymał. Miały jednak pewność, że tamtemu włamywaczowi też nie chodziło

o pieniądze, zostawił bowiem w środku dwa tysiące rubli, które obecnie stanowiły lwią część ich majątku i musiały wystarczyć na jak najdłużej.

– Czy wydarzyło się jeszcze coś podejrzanego?

– Od wybuchu wojny wszystko jest podejrzane – odpowiedziała babcia. – Ale jeśli chodzi o naszą rodzinę, nic więcej sobie nie przypominam.

Sędzia przeniósł wzrok na ciotkę.

– Czyżby chodziło panu o bankructwo mojego brata? – zapytała. – To bardzo dziwna sprawa. Maksymilian niezmiennie twierdził, że interesy idą mu doskonale, a potem nagle wszystko stracił. Chyba należałoby się temu przyjrzeć.

– Sprawy bankowe to nie moja specjalność – oświadczył sędzia i rozłożył ręce w geście udawanej bezsilności.

– A szkoda – mruknęła pod nosem Adela.

– Na temat bankructwa to zapewne pan mecenas ma wiele do powiedzenia...

– Czy pan coś sugeruje, panie sędzio? – odparł zimno prawnik.

– Ależ nie śmiałym, mecenasie. Niemniej jednak, skoro doradzał pan panu Kellerowi, powinien pan wiedzieć, co się działo w firmie.

– Maksymilian rzadko mnie słuchał. Robił wszystko po swojemu... – Prawnik zawahał się na moment, a potem zwrócił się wprost do sędziego: – Gdybym nawet wiedział więcej o interesach mojego klienta, one i tak zrozumiałyby z tego tyle co nic.

– Oczywiście, przecież skleroza zaćmiła mi rozum – rzuciła babcia z lodowatą ironią. – A Klara i dziewczęta nie mają go wcale, bo Bóg oddał wszystko Maksymilianowi.

– Adelo! – Finkiel zrozumiał, że posunął się za daleko. – Sama powtarzałaś wiele razy, że interesu nudzą cię śmiertelnie.

– Dopóki szły dobrze, to i owszem, nie ciągnęło mnie do nich. Jednak o tym, że syn traci moje pieniądze, wolałabym dowiedzieć się wcześniej niż w dniu ogłoszenia bankructwa.

– Może przedyskutujemy tę sprawę innym razem? – zaproponował adwokat. – Nie zabierajmy panu sędziemu cennego czasu.

– Mam go wiele – uspokoił go natychmiast Szuster. – Dokładnie tyle, ile trzeba do rozwiązania tej sprawy.

– Sugeruję, żeby zaczął pan od szukania winnego zbrodni. – Finkiel wyraźnie zaczynał tracić cierpliwość. – O ile się nie mylę, mamy tu do czynienia z ordynarnym zabójstwem. Chyba że czegoś nie zrozumiałem? – zakończył wyzywającym tonem.

– Jestem zobowiązany, że tak skrupulatnie wskazał mi pan moje obowiązki – odparł zimno sędzia. – Proszę mieć pewność, że wyjątkowo przyłożę się do tego śledztwa.

Babcia nie spuszczała z urzędnika uważnego spojrzenia. Trudno było nie zauważyć, że bardzo jej się spodobał.

5.

Mimo że ciało Katarzyny zostało zabrane już kilka godzin temu, to zapaćkana krwią i sokiem ciasna kuchnia wyglądała jak przedsionek piekła, w którym tylko przypadkiem nie buzował ogień.

– Trzeba posprzątać – powiedziała Nina, obsesyjnie wpatrując się w miejsce, gdzie wcześniej leżały zwłoki. – Jutro z samego rana pójde po stróżkę.

– Nie! – zaprotestowała ciotka Klara. – Nie będziemy czekać do rana, aż wszystko zaschnie. I nie chcę, żeby wchodził tu ktoś obcy, wystarczy tych plotek, które już krążą. Same zrobimy porządek.

– Co też ciocia opowiada? – Skrzywiła się Julia, która dołączyła do nich przed chwilą. – Ja... – Nagle zbladła, zatkała usta dłonią i co sił w nogach pobiegła do klozetki. Odgłosy, które zaczęły stamtąd dochodzić, wskazywały, że Nina nie ma co liczyć na młodszą siostrę.

– Ja pomogę – powiedziała cicho Pola. – Powiedzcie tylko, co mam robić?

– Dziecko, wybij sobie z głowy taką ciężką pracę – rzuciła kategorycznie ciotka. – Marsz do łóżka i odpoczywaj! Jeszcze tylko brakowało, żebyś się rozchorowała.

Dziewczyna przygryzła wargę; najwyraźniej nie wybierała się nigdzie, ale brakowało jej odwagi, aby powiedzieć to ciotce wprost.

– Klara ma rację. – Adela, która właśnie weszła do kuchni, poparła córkę i tym samym zakończyła dyskusję. – Idź, dziecko, i się połóż.

Nina ze zdumieniem przyglądała się babci, która włożyła na siebie chyba najstarszą suknię ze swej bogatej kolekcji. Oznaczało to, że strój nie liczy sobie więcej niż trzy sezony.

Pola z wyraźnym ociąganiem opuściła kuchnię, a kiedy tylko zniknęła za drzwiami, Adela bohatercko oświadczyła:

– Pomogę wam w porządkach.

– Ależ proszę mamy... – jęknęła Klara. – Powinna mama uważać na kręgosłup. Doskonale poradzimy sobie same.

– Każda para rąk się przyda, moje drogie. Ale najpierw zapnijcie mi te przekłete guziki na plecach. Same też szybko przebierzcie się w co tam macie najgorszego... I koniecznie zdejmijcie gorsety.

Ninka, starając się nie narobić hałasu, weszła do pokoju. Pola jednak nie spała, tylko z zapalem porządkowała rzeczy walające się bezładnie po starym ojcowskim biurku. Na widok siostry zaniepokoiła się, ale Nina, która uważała, że ciotka przesadza z troską o najmłodszą bratanicę, machnęła tylko ręką, a potem zajrzała do szafy, aby wybrać te elementy garderoby, z którymi zdoła bez żalu pożegnać się na zawsze.

– Weź. – Pola otworzyła drugie drzwi mebla, sięgnęła na najwyższą półkę i wyciągnęła stamtąd ciemny mundurek, w którym jeszcze tej wiosny uczęszczała na pensję. – Na pewno nie przyda mi się więcej. A jest wygodny i powinien na ciebie pasować. Nawet bez gorsetu.

Rzeczywiście, kiedy Nina uwolniła się ze sznurówki i włożyła luźną spódnicę i zakieciak, poczuła się swobodnie; mogła nawet bez przeszkód zrobić skłon i dotknąć palcami czubka trzewika. No tak, buty też powinna zmienić na gorsze.

W kuchni zastała ciotkę, która przebrała się w swoją najskromniejszą letnią suknię i rozczłapane kalosze oraz babcie z uwagą lustrującą wnętrze.

– Najpierw podłoga, następnie półki, komoda i stół. I jeszcze raz podłoga – zarządziła nestorka. – A na końcu uprzątnijmy łóżko i spakujemy rzeczy Katarzyny.

– Będę wylewać brudną wodę. – W progu stanęła Julia targająca dwa puste wiadra. – Już mi lepiej – dodała wyjaśniająco.

Nina nie dowierzała własnym oczom i uszom, postanowiła jednak nie komentować poczynań młodszej siostry, aby jej – nie daj Boże – nie zniechęcić do pracy.

– Musimy znaleźć ścierki – powiedziała babcia. – Nigdzie ich nie widzę.

– Są we wnęce – powiedziała Julia. – Zauważyłam, kiedy brałam kubelki. Zaraz przyniosę.

Nina podkasała sukienkę i uklękała w sposób, jaki wielokrotnie widziała u służących. Nigdy wcześniej nie sprzątała kuchni, więc początkowo robiła to niezdarnie i niedokładnie, do tego szybko zaczęły boleć ją kolana. Przez moment chciała nawet odrzucić mokre gałgany i pójść sobie, ale to nie wchodziło w grę, więc jak zwykle mocno zacisnęła zęby i kontynuowała nieprzyjemne zajęcie.

Tuż obok niej ciotka szorowała deski i też wyglądała na zrezygnowaną, zaś babcia, nie oszczędzając wypielęgnowanych dłoni, płukała i wyciskała ścierki. Julia, jak zadeklarowała, wylewała brudy do pobliskiej klozetki, a potem napełniała wiadra czystą wodą z kranu.

Pracowały w całkowitym milczeniu. Wyglądało na to, że zanim będą mogły odpocząć, upłynie jeszcze kilka godzin. Nince wcale nie przeszkadzała ta wizja. Od samobójczej śmierci tatki bała się nocnej pory: kiedy gasiła światło i zamykała oczy, natychmiast przypominała sobie bezwładne ciało zwisające z żyrandola oraz pandemonium, które nastąpiło po tym, gdy powiadomiła rodzinę o nieszczęściu. Niedowierzanie babki, omdlenia ciotki i histeryczny płacz Julii, a także własne stanowcze słowa. Nie miała pojęcia, jakim sposobem zdołała wtedy zachować zimną krew. Ktoś jednak musiał zapanować nad sytuacją i nie dopuścić Poli oraz służby do pokoju, w którym znajdował się nieboszczyk. Od tamtego straszego dnia minęły prawie cztery miesiące, a jej wciąż wydawało się, że to było wczoraj. A teraz przyszyła kolejna tragedia...

Musiała przyznać, że ucieszyła ją deklaracja babci. Tak, powinny wyprowadzić się stąd jak najszybciej, bo nie da się żyć w mieszkaniu, w którym popełniono zbrodnię. Nie da się zapomnieć o krwi na podłodze i znowu poczuć bezpiecznie. Zwłaszcza że zabójca mógł wrócić w każdej chwili.

Deski odzyskały wreszcie swoją zwykłą barwę, a lepka czerwień poznikala z kątów. Zabrały się więc za mycie i ustawianie porzucanych garnków, brytfann i rondli, a kiedy skończyły tę pracę, ciotka wskazała na gotowe słoiki z konfiturą, stojące na stole równo niczym pułk wojska. Katarzyna, zanim zginęła, zdążyła wykonać większość zaplanowanej na dzisiaj pracy.

– Co zrobimy z malinami?

– Jest wojna. – Adela westchnęła. – Nie możemy sobie pozwolić na wyrzucanie jedzenia. Jak nie damy rady same zjeść, wymienimy na coś innego.

Na koniec jeszcze raz przetrwały podłogę, a potem popatrzyły po sobie: wszystkie wyglądały jak siedem nieszczęść. Zanim zabrały się do przeglądania rzeczy Katarzyny, najpierw natrudziły się z grzaniem wody, a następnie przez ponad godzinę doprowadzały się do porządku. Wróciły do kuchni wymyte, gładko uczesane i przebrane w koszule nocne oraz szlafroki.

Najpierw zajrzały do komody – okazało się, że spoczywająca tam bielizna stołowa nie ucierpiała – a potem wstawiły do schowka składane łóżko nieszczęsnej służącej i zaczęły się zastanawiać, co zrobić z resztą jej dobytku.

– Zbierzemy wszystko, a potem zapytamy Balbiny, gdzie mieszka jej rodzina, i odeślemy im rzeczy – zdecydowała babcia Adela. – Ninko, przynieś skrzynię. Którąś z tych po porcelanie.

– Lepiej zapakujemy w to. – W progu stanęła zarumieniona Pola, ściskając mocno rączkę swojej ulubionej walizki.

– Dziecko, dlaczego nie śpisz? – jęknęła ciotka. – Przecież kazałam ci odpoczywać.

– Nie mogłabym zasnąć po tym wszystkim... Muszę coś zrobić, żeby nie myśleć.

– Dobrze, zostań – zdecydowała babcia. – Razem rzeczywiście jest raźniej.

Prawe skończyły pakowanie, kiedy od drzwi wejściowych zaczęły odbiegać odgłosy, których nie dało się pomylić z żadnymi innymi: ktoś zapukał. W środku nocy? Na moment wszystkie skamieniały.

– Wrócili po nas – wyjąkała wreszcie Julia. – Wrócili...

– Dlatego postanowili nas ostrzec i tym razem zapukać? – Nina nie zdołała powstrzymać ironii, ale zaraz ściągnęła z półki największy miedziany rondel.

– Pozabija nas.

– Cicho – zniecierpliwiała się ciotka Klara. – Ninko, podaj mi tamtą patelnię. Tak na wszelki wypadek.

Pola bez słowa wyciągnęła z szuflady wielki rzeźnicki nóż, a Julia, popłakując, chwyciła wałek do ciasta. Babcia bez zwłoki uzbroiła się w kuty ręcznie tasak w kształcie lisa, którym ich poprzednia kucharka rąbała kości.

Pukanie nie ustawało.

– Idziemy – zarządziła Adela i pierwsza wyszła na korytarz.

– Kto to może być? – zastanawiała się cicho Klara. – O tej porze, żeby wejść do kamienicy, musiał obudzić stróża.

Babcia nie odpowiedziała, tylko popatrzyła na córkę i na wystraszone wnuczki takim wzrokiem, jakby robiła to po raz ostatni w życiu, a następnie podeszła do drzwi.

– Kto tam? – zapytała groźnie, unosząc tasak. – Mów, bo zamorduję.

– Proszę babci, to ja. Niech babcia otworzy.

Nina bezwiednie wyprostowała rękę i upuściła rondel na podłogę. Czują wręcz niewyobrażalną ulgę. Adela najwyraźniej także, bo szybko oddała swój oręż Poli i przekreśliła klucz w zamku.

6.

Zofia spodziewała się wszystkiego – krzyków, połajanek, a nawet radości – ale nie głuchej ciszy, która zapadła, kiedy przekroczyła próg mieszkania zajmowanego obecnie przez jej rodzinę. Zatrzymała się w ciasnym holu, postawiła na podłodze walizkę i popatrzyła na zaskoczone jej widokiem kobiety. Wszystkie miały na sobie nocne stroje i z jakiegoś niezrozumiałego powodu ścisnęły w rękach przeróżne kuchenne utensylia.

– Jezus Maria, Józefie Święty... – Ciotka pierwsza ocknęła się ze stuporu i upuściła mosiężną patelnię, która z brzdękiem wylądowała na podłodze. – Zosiu, to naprawdę ty?!

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo Klara natychmiast porwała ją w objęcia.

– Skąd się wzięłaś tak nagle? Dlaczego nie przyjechałaś na pogrzeb? Wysyłałam do ciebie depeszę za depeszą.

– Nie mogłam. – Odsunęła się nieco od ciotki i spuściła wzrok. – Naprawdę nie mogłam.

– Chodź tu. – Babcia także odzyskała mowę. – Przywitaj się i ze starą babką. Myślałam, że już nie zobaczę cię za życia.

Adela, wciąż zważa i prosta jak trzcina, nie straciła pogody ducha. Natomiast nerwowa ciotka, którą śmierć brata na pewno ugodziła wyjątkowo mocno, zmierzniała i zbrzydła, ale chyba nie dbała o to wcale; po rewolucji 1905 roku definitywnie porzuciła plany ułożenia sobie życia, poświęcając się pokucie za to, co uważała za swoją winę. Widać do tej pory nie zmieniła zdania w tej kwestii.

– Przepraszam babcię. – Ostrożnie objęła staruszkę, która czule pocałowała ją w czoło, a potem mocno przytuliła do siebie.

– Nie mogliśmy doczekać się twojego powrotu – powiedziała.

Odsunęła się od babci i zaczęła witać z siostrami; Nina i Julia wydorosłały i wylądowały, a Pola... Zofia, patrząc na nią, nie potrafiła uwierzyć, że jej mała siostrzyczka tak urosła. Zapamiętała pulchną pensjonarkę snującą się po domu z nieobecny wyrazem twarzy, a teraz ujrzała przed sobą smukłą, ciemnowłosą i ciemnonoką pannę, która – jako jedyna z nich czterech – do złudzenia przypominała zmarłą matkę.

– Wróciłaś na zawsze? – Pola też nie spuszczała z niej zaciekawionego spojrzenia.

– Nie wiem. Ale bardzo się postaram.

Nina i Julia nadal milczały, co mocno ją zaniepokoiło. Tym bardziej że obie dziewczyny wyglądały, jakby obraziły się na nią śmiertelnie.

– Usiądźmy w pokoju – zarządziła babcia. – Niestety, nie możemy dać ci nic do jedzenia.

– Nie jestem głodna – odparła, wchodząc do pomieszczenia, które w niczym nie przypominał salonu w willi. Było o połowę mniejsze i niższe niż tamto, którego obraz wciąż nosiła przed oczami, do tego ściany oklejono brązową tapetą, której na pewno nie wybierała słynąca z doskonałego gustu ciotka. I panował w nim nieopisany bałagan.

– Znajdź sobie coś, co nadaje się do siedzenia – powiedziała Klara, ostrożnie wymijając porostawiane na podłodze elementy porcelanowej zastawy. – Zaraz spróbujemy zaparzyć herbatę.

Zofia przecząco pokręciła głową. Wciąż nie mogła oderwać wzroku od porozcinanych i wybebeszonych mebli, od walającej się po podłodze posagowej zastawy matki i porozrzuconych wszędzie książek.

– Co się stało? – wykrztusiła w końcu. – Kto to zrobił?

– Miałymy włamanie – zaczęła cicho Nina, nie patrząc jej w twarz. – Poszliśmy z wizytą, a złodzieje w tym czasie dostali się do mieszkania. Wygląda, że nic nie zabrali, ale zamordowali Katarzynę... naszą służącą. Nie znałaś jej, pracowała od niedawna.

– Cóż za koszmar. – Zofia uniosła rękę do piersi. – Wezwaliśmy policję?

– Oczywiście – odparła ciotka. – Przyszędł nawet sędzia śledczy i przesłuchał nas wszystkie. Później lekarz kazał zabrać Katarzynę do prosektorium, a my mogłyśmy posprzątać kuchnię.

– Same?! – spytała ze zgrozą.

Jeszcze kilka miesięcy temu coś takiego byłoby nie do pomyślenia; w ich domu armia służących czekała w gotowości na każde skinienie i domownicy nie kalały sobie rąk pracą. A teraz te wydelikaczone kobiety musiały samodzielnie mierzyć się z sytuacjami, których wcześniej nie umiały sobie nawet wyobrazić. Poczucie winy zakłuło ją w piersi, naprawdę powinna była przyjechać wcześniej

– Dlaczego zjawiłaś się właśnie teraz? – zapytała nagle Julia, łypiąc na nią podejrzliwie. – Pociągi nie jeżdżą przez granicę. I skąd wiedziałaś, gdzie nas szukać?

Zofia natychmiast przypomniała sobie perturbacje, podchody i uciezki, w których uczestniczyła przez kilka ostatnich dni, i wzdrygnęła się lekko. Musiała jednak zachować spokój i nie zagłębiać się w szczegóły.

– Są różne możliwości, żeby przedostać się przez granicę – odparła, wytrzymując wzrok siostry. – Adres zaś dostałam od doktorowej Łapińskiej.

– Obejrzałaś już wszystko?! – rzuciła ze złością Julia. – Wracaj więc tam, skąd przyjechałaś!

– Moja droga. – Adela odwróciła się w stronę młodszej wnuczki i spojrzała na nią z przyganą. – Dłaciej w taki sposób odzywasz się do siostry?

– Bo to jej wina! Gdyby posłuchała ojca i wyszła za Tarłowskiego, nie stracilibyśmy majątku! Ale ona wymyśliła sobie uniwersytety!

Poczucie winy ukłuło Zofię znowu i długą chwilę zajęło jej przekonanie samej siebie, że roztrząsanie wydarzeń z przeszłości nie doprowadzi do niczego dobrego. Poza tym czemu akurat od niej wymagano poświęcenia się na ołtarzu finansów rodziny? Chciała zapytać o to głośno, ale na szczęście Nina postanowiła ją wesprzeć.

– Uspokój się, proszę – powiedziała stanowczo. – Tatko miał długów wyżej dachu fabryki. Nic by nie pomogło.

– Spłaciłby je jakoś... I nadal żył. Nienawidzę cię! – Julia wbiła w najstarszą siostrę błyszczące złością oczy. – To ty go zabiłaś!

– Co ty opowiadasz?! – rzuciła nerwowo Zofia. Ta niespodziewana wrogość sprawiała jej ból. – Jak w ogóle możesz...

– Nie wiesz, co się stało? Naprawdę nie wiesz?! Ojciec...

– Julia! – Ciotka rzuciła przestraszone spojrzenie na siedzącą w kącie Polę. – Zamilcz wreszcie!

W odpowiedzi dziewczyna zmiotła ze stołu porcelanową filiżankę, która z brzdękiem spadła na parkiet i rozprysła się na kawałki, a potem trzaskając drzwiami, wybiegła na korytarz.

W pokoju zapadła nieprzyjemna cisza, którą okropnie ciążyła nie tylko Zofii, ale chyba wszystkim zebranym.

– Proszę cioci – odezwała się nieśmiało Pola. – Wiem, że tatko się powiesił.

– Jezus Maria... Dziecko. – Wstrząśnięta Klara złożyła ręce jak do modlitwy. – Proszę cię, idź do siebie. Porozmawiamy... Później o tym porozmawiamy.

Zofia była zszokowana nie mniej od ciotki. Wyobrażała sobie wszystko – chorobę, apopleksję, nawet wypadek w fabryce – ale nie samobójstwo. Poczula dławienie w gardle, gdyż momentalnie wróciło do niej wspomnienie ojca – człowieka pełnego energii i chęci działania, który potrafił odzyskać radość życia nawet po śmierci ukochanej żony. Co takiego mogłoby go złamać?

Tymczasem najmłodsza siostra, ponaglana wzrokiem przez ciotkę, wstała z fotela i z ociąganiem powlekła się w stronę tych samych drzwi, za którymi kilka chwil temu zniknęła Julia.

– Pola nie jest już dzieckiem – powiedziała cicho Nina. – Nie powinnyśmy traktować jej tak protekcjonalnie.

Babcia i Klara spojrzały na siebie, ale zanim któraś z nich zdecydowała się zabrać głos, Zofia doszła do siebie na tyle, aby zapytać:

– Dlaczego nie napisałyście, że ojciec się zabił? Boże... – dodała po chwili. – On nie mógł tego zrobić.

– Mógł i zrobił – oświadczyła z westchnieniem Adela.

– Mama ubłagała doktora, by za przyczynę śmierci uznał atak serca. Dzięki temu uniknęliśmy większego skandalu i policyjnego śledztwa. Już bankructwo posłało nas na dno.

Najstarsza Kellerówna miała bujną imaginację, ale nawet ona nie potrafiła wyobrazić sobie nestorki rodu w roli osoby, która zniżyłaby się do proszenia kogoś o cokolwiek. Okoliczności były jednak nadzwyczajne. Boże drogi, należało znaleźć jakiś sposób, aby przyjechać i pożegnać ojca: mogła nie zgadzać się z nim, nie rozumieć jego postępowania, a nawet z uporem sabotować decyzje, ale naprawdę go kochała. Naprawdę.

Wiedziała, że tej nocy nie zmrúży oka.

7.

Zapiski Poli

Nigdy nie pisałam pamiętnika, choć wiem, że robiła to większość moich koleżanek na pensji. Wydawało mi się, że historie o tym, co danego dnia jadłam na obiad albo jak radziłam sobie z arytmetyką, nie są tak ważne, aby je spisywać dla przyszłych pokoleń. Teraz zaś wokół mnie dzieje się tyle rzeczy, które chciałabym zapamiętać, i przychodzi mi do głowy tyle myśli, którymi nie mam z kim się podzielić. Ciocia Klara wciąż uważa mnie za dziecko, które niczego nie rozumie, i najchętniej zamknęłaby mnie w domu na siedem spustów. Babci nie chcę zwracać głowy, a siostry mają własne problemy.

ostatnio wszystkie żyjemy powrotem Zosi. Pojawiła się bez zapowiedzi w najmniej spodziewanym momencie. Następnego dnia po przyjeździe poszła do rządu, żeby się zameldować w kamienicy, a potem do sądu, żeby porozmawiać z sędzią Szustrem. Nie wiem, jak mu wyjaśniła swoje nagłe przybycie, ale nie uznał tego za coś podejrzanego.

Julia nadal się złości i traktuje naszą siostrę jak powietrze, co jest o tyle trudne, że we cztery gnieździemy się w jednym pokoju. Ninka nie dzieli się z nami swoją opinią, więc nie mam pojęcia, co właściwie sobie myśli. Ja zaś z jednej strony cieszę się, bo Zosia zawsze była dla mnie dobra, szczególnie po śmierci mamy, i straszliwie za nią tęskniłam przez te lata, a potem, kiedy przestała pisać, umierałam ze zmartwienia. Z drugiej strony trochę się jej boję. Sprawia wrażenie, jakby żyła w innym świecie niż my. Zrobiła się jakaś taka... bardziej kategoriyczna. Wiele rzeczy w Warszawie zaczęło jej przeszkadzać i mówi o tym bez ogródek. A to sprawia, że rodzona siostra chwilami wydaje mi się kimś obcym. I groźnym.

Jednak gdy przedwczoraj poszyliśmy razem na Powązki, na grób rodziców, wyglądała na bardzo poruszoną tym, czego dowiedziała się o śmierci tatki. My zdołałyśmy uporać się z największym bólem, w końcu minęły cztery miesiące, a dla niej wszystko jest nowe i świeże. Może gdyby przyjechała w maju, tak jak prosiłyśmy, teraz czułaby się lepiej? Wciąż powtarza, że nie mogła tego zrobić, ale chyba nie doczekamy się dokładniejszych wyjaśnień na ten temat.

Zastanawiałam się, czy powiedzieć jej, że pan Witold zaręczył się z Sabiną Dresslerówną, ale zrezygnowałam z tego pomysłu. Chyba Zosi wcale to nie obchodzi. Niewykluczone, że zapomniała o istnieniu dawnego konkurenta i gdybym wymieniła jego nazwisko, nie wiedziałaby, o kim mowa.

Szczerze mówiąc, dziwię się jej. Zawsze lubiłam spokój i takt pana Witolda – ani przez chwilę nie dał mi odczuć, że jestem za smarkata, by poświęcić mi trochę uwagi. Lubiałam jego głos, a także sposób, w jaki się uśmiechał. Robił to jednak bardzo rzadko.

Cieszę się, że po tylu latach mogliśmy się spotkać. W wojskowym mundurze wyglądał tak... Matko Boska, chyba nie powinnam przyznawać się nawet samej sobie, że tak bardzo podoba mi się niedoszły narzeczony starszej siostry!

ROZDZIAŁ III

1.

Zapiski Poli

Od kilku dni mamy już wrzesień, który dał nam trochę ulgi po sierpniowych upałach, ale wbrew nadziejom wszystkich, nie przyniósł pokoju. Każdy dzień zaczynamy od lektury gazet. Babcia mówi, że czyta je wyłącznie z przyzwyczajenia, gdyż trudno znaleźć tam prawdę – rosyjskie sukcesy są wyolbrzymiane, a kłębki opisywane zdawkowo albo pomijane całkowicie. Trzeba czytać między wierszami.

W Prusach Wschodnich już od kilku tygodni Rosjanie walczą z Niemcami. Pod Lwowem rozbiła wojska austro-węgierskie i zajęła miasto. Na Zachodzie Niemcy i Francuzi biją się nad Marną: z całego serca modlimy się o ich powodzenie.

Z lepszych wieści – zdołałyśmy zmienić mieszkanie! Nareszcie!

Babcia Adela, zgodnie ze swoją obietnicą i za zgodą sędziego Szustra, osobiście zajęła się poszukiwaniami odpowiedniego lokum i uwinęła się z tym bardzo szybko. I miała rację, że po wyjeździe rosyjskich urzędników spadną czynsze, więc kiedy uznałyśmy, że miejsce nam odpowiada, udała się prosto do właścicielki kamienicy, którą okazała się dawna znajoma tatki i która – na nasze szczęście – wspominała go bardzo dobrze. Spuściła cenę wynajmu z czterdziestu dwóch rubli na trzydzieści dwa.

Aż trudno mi opisać, jak się z tego cieszę! Gdybyśmy zostały na Złotej trochę dłużej, na pewno rozchorowałabym się na nerwy. A jeśli nie ja, to ciocia Klara, która z każdym dniem coraz bardziej przypominała własny cień.

Polubiłam nowe mieszkanie natychmiast, kiedy tylko przekroczyłam jego próg. Mieści się na drugim piętrze, ma cztery pokoje, kuchnię, spiżarnię, łazienkę, dwa waterklozety, służbówkę oraz kilka przydatnych wnek. I jeszcze telefon! Najważniejsze jest jednak to, że nikogo w nim nie zamordowano. Może w końcu przestanę budzić się w nocy zlaną potem ze strachu.

Trudno natomiast powiedzieć, pod jakim właściwie mieszkamy adresem, gdyż kamienica stoi u zbiegu aż trzech ulic: Siennej, Zielnej i Wielkiej. Okna wszystkich pokoi oraz balkon wychodzą na Siemną.

Próbujemy się urządzić, ale nie jest nam łatwo, bo wciąż mamy problem ze znalezieniem służącej. Wieści o śmierci Katarzyny rozeszły się po całej Warszawie i odstraszały porządne kandydatki. Za to tych, które chcą pracować, babcia pozbywa się w ciągu kilka minut, tłumacząc nam później, że źle patrzyło im z oczu. Babcia Adela doskonale zna się na ludziach, więc bez protestów wracamy do swoich obowiązków i czekamy, aż zjawi się ktoś, kto zdoła ją zadowolić.

Nina o mało nie poucinała sobie palców, ale nauczyła się porządnie kroić chleb, wędlić, ser i jarzyny. Mnie przypadło w udziale mycie statków; początkowo stłukłam kilka talerzy i filiżanek, ale z każdym dniem nabieram coraz większej wprawy. Zofia wiecznie gdzieś znika, ale kiedy jest w domu, parzy doskonałą herbatę. Każda z nas pilnuje po sobie porządku, a w salonie sprząta Julia. Oczywiście narzeka przy tym tak głośno, że można dostać migreny.

Na szczęście nie musimy jeszcze palić w piecach. Do prania bierzemy praczkę, a dopóki mieszkaliśmy w poprzednim miejscu, obiady gotowała nam stróżka. U siebie, gdyż twierdziła, że boi się przychodzić na dłużej do naszego mieszkania. Babcia zgodziła się na to, a później powiedziała, że woli nie wnikać, ile dodatkowych osób najada się przy okazji na nasz koszt.

Obecnie chodzimy do jadłodajni, których wiele powstało w mieście ostatnimi czasy. Obiad można kupić tam nawet za dwadzieścia kopiejek. Po przeliczeniu na sześć osób robi się z tego, co prawda, spora suma, ale

na razie nie mamy innego wyjścia, gdyż żadna z nas nie potrafi gotować.

2.

– Pięknie się urządziłyście – powiedziała, tym razem szczerze, pani Zapiórkiewiczowa, rozglądając się z uwagą po salonie, który wyglądał dziesięć razy lepiej niż ten w poprzednim mieszkaniu.

W oknach wisiały modnie udrapowane zasłony i firanki; okazało się, że wiecznie marudząca Julia ma nie tylko wycucie elegancji, ale także zręczne palce. Sofa, krzesła i fotele zostały obite nową materią, a stare pianino babci – nastrojone. Porcelana znalazła się tam, gdzie jej miejsce, czyli na półkach witryny, a wszystkie pozostałe drobiazgi, w tym gramofon, zostały wyczyszczone i porządnie wyeksponowane. Na stoliku pod oknem stanął miedziany samowar i wreszcie zaszumiała w nim woda. Nowe miejsce zaczynało przypominać dom.

– Jak widzisz, rozpakowałyśmy wszystkie kufry i pudła. Co do jednego – powiedziała ciotka Klara i wskazała wiszący na głównej ścianie wspaniały portret Pauliny Kellerowej, namalowany na zamówienie Maksymiliana przez samego Axentowicza, którego złodzieje na szczęście nie zdołali znaleźć i zniszczyć. – Napijesz się herbaty? Ninko, byłabyś tak uprzejma?

– Oczywiście. – Bratanica wstała z fotela i podeszła do samowara. Zdjęła z jego szczytu imbryk z zawarką, rozlała ją do szklanek, dopełniła wrzątkiem, a następnie postawiła przed gościem.

– Dziękuję bardzo. – Pani Maria uśmiechnęła się do niej i zanim sięgnęła po szczypczyki do tłuczonego cukru, zapytała: – Żle się czujesz, moja droga? Jesteś taka blada.

– To nic takiego. Po prostu źle spałam – skłamała gładko.

– Zastanawia się, czy iść do pracy w szpitalu – powiedziała Julia, przerywając grzebanie w swojej porcji konfitur.

Nina spojrzała na siostrę z wyrzutem, gdyż nie chciała przyznawać się głośno, że od ponad tygodnia bije się z myślami, co zrobić. Wolałaby jednak podjąć decyzję samodzielnie, niż wysłuchiwać rad i opinii całej rodziny oraz obcych osób.

– A widzisz! – Na twarzy pani Zapiórkiewiczowej znów zagościł uśmiech. – Ciekawiło mnie, czemu jeszcze tego nie zrobiłaś? W komitecie sanitarnym przyjęliby cię z otwartymi ramionami. Wciąż organizują w mieście nowe lazarety i brakuje im wykształconych pielęgniarek, które dałyby radę fachowo zająć się naszym wojskiem.

Rzeczywiście, Nina posiadała odpowiednie dyplomy i umiejętności. Poza tym ktoś w tym domu wreszcie powinien zacząć zarabiać. Problem polegał jednak na tym, że sama myśl o szpitalu budziła w niej niechęć. Skończyła szkołę pielęgniarską wyłącznie dlatego, aby udowodnić ojcu swoją konsekwencję i odpowiedzialność. A on nawet tego nie zauważył.

– Co też pani opowiada? Jakim znowu naszym wojskiem?

Wszystkie jednocześnie odwrócili się w stronę wejścia. W progu pokoju stała Zofia w kapeluszu na głowie i w rękawiczkach; najwyraźniej przed momentem wróciła z jednej ze swoich tajemniczych wypraw do miasta.

– Rosyjskim – odparła pani Maria. – Wiesz, moja droga, ilu naszych chłopców tam służy?

– Raczy pani żartować. – Najstarsza Kellerówna wprawnie odpinała nakrycie głowy. – Carskie wojsko nie było, nie jest i nie będzie nasze. Nina nie ma obowiązku pielęgnować Rosjan, ponieważ oni, jakich złotych gór by nie obiecywali, nigdy nie staną po naszej stronie.

– A kto stanie? – odparła zirytowana ciotka. – Może mi łaskawie wyjaśnisz?

– Z przyjemnością. – Zofia niedbale rzuciła kapelusz na oparcie fotela, a następnie zrobiła sobie herbatę i usiadła naprzeciwko pani Zapiórkiewiczowej. – Nie musimy czekać na łaskę cara, ponieważ mamy już polskie wojsko. I to jemu powinniśmy zawierzyć i pomagać ze wszystkich sił.

– Czy dobrze rozumiem, moja droga – zaczęła wolno pani Maria – że mówisz o żołnierzach tego... jak mu tam? Piłsudskiego? Powołanych z łaski cesarza Austro-Węgier? Ależ to są mrzonki. Nie można ich brać poważnie.

– Żadne mrzonki. Oni będą walczyć o Polskę.

– Przy boku Austrii, która jest naszym wrogiem i sprzymierzeńcem Niemiec? Co za bzdury!

– Przyszło największym wrogiem jest Rosja. Naprawdę nie rozumiem – Zofia odrzuciła do tyłu orzechowe łoki i potoczyła wzrokiem po zebranych – czemu nie potraficie tego zrozumieć. Jeśli sami nie wyrwiemy sobie wolności, dostaniemy od zaborców tylko nędzne ochłapy.

– A ilu jest tych polskich żołnierzy? Słyszałam, że garstka. Kilkanaście tysięcy.

– Dlatego że wy tu, w Warszawie, liczycie tylko na cara i jego puste deklaracje. Ale będzie ich więcej, zobaczycie.

– Wy w Warszawie...? – powtórzyła z niedowierzaniem Klara, wpatrując się w zarumienioną z emocji twarz bratanicy. – W takim razie skąd ty jesteś?

– Z Polski – odparła z mocą Zofia. – A w tej chwili z Kielc, bo tam przebywa nasze wojsko. To prawdziwe.

Nina spoglądała na siostrę ze zdumieniem i nagle dotarło do niej, że tamtej dziewczyny, która trzy lata temu opuszczała w pośpiechu rodzinny dom, naprawdę już nie ma.

3.

Nina dzieliła pokój z najstarszą siostrą, ale równie dobrze mogłaby uważać, że mieszka sama, ponieważ Zofia była wiecznie nieobecna – wychodziła z samego rana, zaraz po śniadaniu, a wracała późnym popołudniem, czasem nawet po kolacji. Do tego nigdy nie opowiadała, dokąd idzie. Ciotka nie ukrywała, że denerwuje ją zachowanie bratanicy, ale bała się zwrócić jej uwagę, ponieważ Zofia miała dwadzieścia trzy lata i własne zdanie na każdy temat. Babcia zaś przyglądała się wnuczce z uwagą, ale na razie nic nie mówiła.

Tego wieczoru, kiedy Zofia wróciła, Nina akurat kładła się do łóżka. Na widok miny siostry pożałowała, że nie zrobiła tego wcześniej: udałaby, że śpi, i dzięki temu uniknęła żarliwego wykładu na temat patriotycznych powinności.

– Naprawdę chcesz pielęgnować Moskali? – zapytała starsza Kellerówna, a Ninka jęknęła w duchu, gdyż jej obawy okazały się ze wszech miar uzasadnione.

– Jestem pielęgniarką – odparła wymijająco, przykrywając się kołdrą aż po brodę. Może jeśli da do zrozumienia, że zamierza natychmiast zasnąć, siostra zostawi ją w spokoju.

– Nie rozumiem, czemu w ogóle pojechałaś do tej szkoły? Nigdy nie interesowałaś się medycyną.

– Musiałam coś zrobić. Po twojej ucieczce tatko nie chciał nawet słyszeć o studiach, a mama nie zostawiła mi na naukę ani rubla – wyjaśniła po chwili milczenia, starając się, aby w jej głosie nie zabrzmiał żal.

Nie udało się, gdyż Zosia najpierw poruszyła się niespokojnie, a potem powiedziała:

– Nigdy nie wspomniałaś, że chcesz studiować. Myślałam, że wolisz wyjść za mąż.

– Za mąż? Jakim cudem? Musiałam przecież czekać, aż ty pierwsza pójdziesz do ołtarza.

– Zawsze uważałam, że tatko tylko żartuje.

– Nie żartował. Twierdził, że to stara piękna tradycja i należy ją kontynuować. Uważał też, że kobieta nie może pracować w fabryce i uczyć się nią zarządzać.

– Prosiła go, żeby uczył cię zarządzania fabryką?

– Zaraz po tym, jak skończyłam pensję. Odmówił, powiedziałam więc, że chcę na studia do Francji. Wpadł w złość i kategorycznie zabronił mi nawet o tym myśleć, dlatego... – Urwała. Brakowało jej siły i ochoty, aby tłumaczyć się starszej siostrze, która i tak nie zdoła jej zrozumieć. Za bardzo różniły się od siebie.

W przeszłości Nina żywała też sporo żalu, że starsza siostra skupia na sobie całą uwagę rodziców. Dla niej nie zostawało prawie nic. Choć może nie powinna narzekać, była przecież ulubienicą ciotki Klary. Nad chorowitą Polą trzęsła się cała rodzina, a Julia nie miała nikogo oprócz nianiek i bon.

– Nie chcę, żebyś pielęgnowała Rosjan – powiedziała twardo Zofia.

– Pamiętaj, że w carskiej armii służy wielu Polaków. Wyobraź sobie, że nawet Witolda Tarłowskiego wzięli do wojsk inżynieryjnych.

– Wrócił z Zurychu?

– Wrócił. – Nina kiwnęła głową. – Bardzo wyprzystojniał – dodała. Niech Bóg jej wybaczy, ale nie zdołała powstrzymać się od drobnej złośliwości.

– Wstąpił do wojska, ponieważ go powołali – odparła Zofia. – A on zawsze wypełnia swoje obowiązki... Jednym z nich miało być małżeństwo ze mną.

– Jesteś tego pewna?

– Oczywiście. Gdyby mu szczerze zależało, popędziłby za mną do Krakowa i przynajmniej spróbował przekonać, żebym z nim wróciła. A co wtedy zrobił? Poddał się i natychmiast wyjechał do Szwajcarii. Bardziej zależało mu na dyplomie inżyniera niż na mnie. Nie chciałam takiego męża.

– Ale...

– Masz zamiar obwiniać mnie jak Julia?

– Nie. Wolalabym jednak, żebyś nie podejmowała za mnie decyzji. Do twoich nikt się nie wtrącał.

Zosia sprawiała wrażenie zaskoczonej, nie tyle odpowiedzią, co walecznością i uporem zawsze potulnej siostry, ale nie zamierzała dać za wygraną.

– Ninko, próbuję tylko wyjaśnić, że wysługiwanie się Rosjanom to zdrada.

– Zdrada? Łatwo przychodzi ci rzucanie ciężkich słów.

– A jak to inaczej nazwiesz?

– W takim razie poradź mi, z łaski swojej, gdzie mam się zatrudnić, żeby coś zarobić? Gdybyś jeszcze nie zauważyła, straciliśmy majątek. Żyjemy z tego, co cudem uratowała babcia i co tatko trzymał w domowym sejfie... Ale wszystko drożeje, a pieniądź traci na wartości. Musimy mieć dochody, bo przyjdzie nam wyprzedawać się za bezcen.

– Są inne sposoby. Może mogłabyś...

– Mam zawód – wpadła siostrze w słowo. – Taki, w którym mogę pracować choćby od jutra. Sama nie wiem, czemu zwlekam tak długo.

– Nic nie rozumiesz – rzuciła nerwowo Zofia.

– Nie, moja droga. To ty nie rozumiesz, co się u nas naprawdę dzieje!

Odwrociła się demonstracyjnie do ściany, dając tym siostrze do zrozumienia, że uważa rozmowę za zakończoną. Musiała się wyspać, gdyż planowała wstać bardzo wcześnie i wreszcie poszukać sobie pracy.

4.

Na ulicy Niecałej pod numerem trzecim, w kamienicy należącej do pana Stanisława Rotwanda, mieściło się biuro utworzonego niedawno Polskiego Komitetu Pomocy Sanitarnej; znany

finansista i filantrop nieodpłatnie udostępnił organizacji pomieszczenia na parterze i drugim piętrze.

Spoglądając na górujący nad sąsiednimi budynkami dom z ozdobionym kolumnami frontem, Nina zaczęła się wahać. Na szczęście powiedziała o swoich planach całej rodzinie, więc nie mogła teraz stchórzyć; Zofia i Julia miałyby ogromną satysfakcję.

Ścisnęła mocniej teczkę z dokumentami i minęła bramę, z której ciągle ktoś wychodził albo do niej wchodził. Na podwórzu rozejrzała się niepewnie, ale widząc przy drzwiach wiodących na klatkę schodową kilka dyskutujących ze sobą osób, postanowiła zaryzykować i udać się właśnie w tamtym kierunku.

Na pierwszym piętrze znalazła drzwi z napisem „kancelaria”, zza których dochodziły podniesione damskie głosy, i energicznie zapukała. Natychmiast usłyszała zaproszenie, więc tłumiąc obawy, weszła do środka. Pomieszczenie było spore i bardzo słoneczne. Pod ścianami stały sięgające sufitu zamykane szafy na dokumenty – każda inna – a bliżej środka, sześć biur, na których królowały maszyny do pisania Remingtona. Przy tym, które znajdowało się najbliżej wejścia, siedziały trzy eleganckie damy w średnim wieku. Dwie z nich – delikatna, gładko uczesana blondynka oraz brunetka w okularach – dyskutowały o jakimś nowo otwieranym szpitalu, ale na jej widok zaraz umilkły, zaś trzecia – bardzo szczupła i całkiem siwa – próbowała uporządkować leżącą przed nią ogromną stertę dokumentów.

– Dzień dobry – zaczęła nieśmiało. – Nazywam się Janina Keller i przyszłam...

– Przepraszam, czy dobrze usłyszałam: Keller? – zapytała starsza dama znad papierów. – Córka Maksymiliana Kellera? Tego, który zbankrutował?

– Tak, mój ojciec miał na imię Maksymilian – rzuciła nerwowo. – I rzeczywiście zbankrutował. Przepraszam, że ośmieliłam się... – Nic tu po niej.

– Proszę się nie złościć.

Kobieta uśmiechnęła się tak łagodnie, że Nina postanowiła zostać w kancelarii jeszcze przez chwilę i sprawdzić, jak zakończy się ta rozmowa.

– Poznałam pana Kellera, ponieważ kiedyś podarował nam dziesięć tysięcy rubli na szpital dziecięcy... Pamiętasz, Helenko?

– Oczywiście – potwierdziła blondynka. – Z nieba nam wtedy spadły te pieniądze. W czy możemy pani pomóc?

– Chciałabym zatrudnić się w szpitalu... jako pielęgniarka.

– Zdaje sobie panna sprawę, że to ciężka praca? – zapytała brunetka, mierząc ją krytycznym spojrzeniem. – Najpierw trzeba ukończyć szkolenie sanitarne, które trwa sześć tygodni. Za kilka dni rozpocznie się kolejna tura... Mogę wystawić pani bilet.

– Nie potrzebuję szkolenia. Mam dyplom ze szkoły pielęgniarskiej. – Szybko otworzyła teczkę, wyciągnęła dokument i podała go siwowłosej damie. Blondynka natychmiast wstała ze swojego miejsca i zairażała koleżance przez ramię.

– Ukończyła panna szkołę przy Szpitalu Salpêtrière? – zapytała z nieukrywanym podziwem w głosie. – Z najwyższą lokatą? To wspaniale. – Złożyła ręce jak dziewczynka, której ktoś podarował właśnie gwiazdkę z nieba. – Potrzebujemy takich specjalistek jak panna.

– Nie mam dużego doświadczenia – wyjaśniła nieco speszona tym entuzjazmem. – Tyle co na praktykach w szpitalu.

– Większość pań i dziewcząt, które zgłaszają się na kursy, wcześniej nie przekroczyła progu lazaretu – wyjaśniła brunetka. – Samarytaństwo zrobiło się modne – dodała z przekąsem.

– Urządzamy nowy szpital – powiedziała pani Helena, nie spuszczać z niej wzroku. Nina zauważyła, że miała wyjątkowo ładne niebieskie oczy w ciemnej oprawie. – W budynkach Suworowskiego Korpusu Kadetów w Alejach Ujazdowskich. Szukamy wyszkolonych pielęgniarek.

– Cieszę się – powiedziała ostrożnie, gdyż trochę przestraszyła się, że panie z komitetu sanitarnego zamierzają od razu rzucić ją na głęboką wodę.

– Niech panna usiądzie. – Siwowłosa wskazała jej krzesło. – Zaraz wypełnimy potrzebne dokumenty. Kiedy może panna zacząć pracę?

– Choćby jutro.

– Doskonale.

Dopełnianie formalności trwało prawie pół godziny, a potem Nina, której bardzo ulżyło, kiedy kłamka zapadła nieodwołalnie, pożegnała się z damami – okazało się, że dwie z nich były doktorkami – i wyszła na korytarz.

Zamknęła drzwi i ledwo zdążyła się odwrócić, kiedy ktoś wpadł na nią z całym impetem. Z trudem utrzymała się na nogach, odruchowo przyciskając do siebie teczkę. Strojnie ubrana dziewczyna, która ją potrąciła, natychmiast zaczęła się kajać:

– Przepraszam! Bardzo panią przepraszam, straszna gapa za mnie... – Zamilkła, ale już po chwili zawołała z radosnym niedowierzaniem w głosie: – Ninka?!

– We własnej osobie. – Uśmiechnęła się mimowolnie. Miała przed sobą Sabinę Dresslerównę, dawno niewidzianą koleżankę ze szkolnej ławy.

– Co tu robisz?

– Przyszedłam zatrudnić się w szpitalu. Od jutro zaczynam.

– Ty? W szpitalu? – Jasne oczy Sabiny ze zdumienia zrobiły się całkiem okrągłe. – Mówiłaś, że nie znosisz pielęgniarstwa i nigdy w życiu nie przestąpisz już progu szpitala.

– Sama wiesz, że od chwili, kiedy tak mówiłam, wiele się zmieniło. Teraz jestem rada, że mam zawód.

– Pani Klara pozwoliła ci pójść do pracy? – zapytała z uśmiechem. – Zawsze nam powtarzała, że zarobkowanie to nowomodny wynalazek. I że nie przystoi damie.

– Ciocia nie tyle mi pozwoliła znaleźć sobie zajęcie, co wręcz nakazała. Nie mogę siedzieć beczynnie, potrzebujemy pieniędzy.

– Posłuchaj, musimy koniecznie porozmawiać. Chodźmy na kawę i ciastka do Semadeniego.

– Do Semadeniego? – Nina się zawahała. Od dziecka uwielbiała kawiarnię „Pod Filarami”, ale teraz nie mogła pozwolić sobie na takie ekstrawagancje.

– Ja zapraszam i nie przyjmę odmowy – powiedziała z naciskiem koleżanka. – Idziemy, koniecznie.

– Dobrze. – Kellerówna skapitulowała. Naprawdę potrzebowała chwili beztroski, a Sabina zawsze potrafiła poprawić jej humor.

– Poczekaj na mnie, ja też przyszłam zgłosić się do pracy. – Nina musiała mieć zdumioną minę, gdyż Sabina zaraz wyjaśniła: – Za kilka dni kończę kurs sanitarny.

– A twój ojciec nie ma nic przeciwko temu? Nie lubi, kiedy się przemęczasz.

– Nie pytałam go wcale. – Koleżanka uśmiechnęła się szeroko. – Jestem pełnoletnia.

Nina pomyślała, że skoro jedyna dziedziczka bogatego przemysłowca zabiera się do pielęgnowania rannych, to naprawdę nic nie jest już takie samo jak kiedyś.

5.

Na ulicy przed kamienicą Rotwanda stał bardzo elegancki automobil marki Mercedes – długi, czarny, lśniący i ze składanym dachem. Podobny posiadał w swoim czasie Maksymilian Keller, ten zaś należał do bogatego niczym Krezus ojca Sabiny. Dresslerówna, przepraszając na chwilę

koleżankę, podeszła do pojazdu i władczym tonem nakazała kierowcy czekać na nią dokładnie w tym miejscu.

– Nie będziemy jechały autem taki mały kawałek – wyjaśniła po chwili.

Przejście z Niecałej na plac Teatralny zajęło im zaledwie kilka minut, w czasie których Nina miała wrażenie, jakby cofnęła się o kilka lat i wróciła na pensję; zaczął się wrzesień, słońce wciąż świeciło jasno, ale nie piekło, tylko przyjemnie grzało, a w powietrzu unosił się cierpki zapach nadciągającej jesieni. Naprawdę, oddałaby wszystko, aby powrót do przeszłości okazał się możliwe. Chciałaby tylko zachować swój obecny rozum, może wtedy zdołałaby jakoś odwrócić nieszczęście, które nad nimi zawisło.

– Ależ dawno tu nie zaglądałam – powiedziała, kiedy lekko zadyszane zatrzymały się przed wejściem do kawiarni, jak zawsze otoczonym zielonym bluszczem. Mimo wybuchu wojny nic w tym miejscu się nie zmieniło.

Zrozumiała, że popełniła pomyłkę, kiedy tylko weszły do środka. Lokal był nabyty ludźmi o wiele bardziej niż zazwyczaj. Wynikało to zapewne z faktu, że po wprowadzeniu częściowego zakazu sprzedaży alkoholu wiele restauracji zamknęło swoje podwoje. Ludziom pozostały tylko kawiarnie, w których można było przysiąść i choć na moment zapomnieć o wojennej rzeczywistości.

Tylko czy na pewno zapomnieć? Ze strzępków rozmów, które dobiegały do niej ze wszystkich stron, wylądawała pojedyncze słowa – car, armia, Niemcy, Prusy Wschodnie, Hindenburg, Samsonow, Paryż, Marna – wskazujące na to, że warszawiacy żyli tym, co działo się na frontach.

Czekały, ale nikt nie zamierzał zwolnić miejsca, i kiedy Nina już pomyślała, że będą musiały zrezygnować, zatrzymał się przed nimi jeden z garsonów ubrany w charakterystyczny biały fartuch i czarną marynarkę.

– Dzień dobry paniom. – Ukłonił się uprzejmie. – Czym można służyć?

– Poprosimy stolik – powiedziała Sabina, z rezygnacją w oczach rozglądając się po sali. – Czy znajdzie się jakiś?

– Dla stałych klientek zawsze. Proszę za mną.

Garson powiódł je w głąb lokalu: kiedy mijaly bufet, Nina spostrzegła, że w ozdobnych szklanych gablotach znajdowało się mniej łakoci niż niegdyś. Problemy z zapatrzeniem dotyczyły nie tylko zwykłych mieszkańców miasta, ale też właścicieli lokali gastronomicznych.

– Proszę bardzo. – Mężczyzna wskazał stolik dla dwóch osób stojący nieopodal okna, potem zaś pomógł im usiąść i zapytał: – Czy panie zechcą teraz zamówić?

Bez patrzenia w kartę poprosiły o kawę i ciastka śmietankowe, która na szczęście wciąż znajdowały się w ofercie, a kiedy garson odszedł, Nina już spokojniej rozejrzała się po wnętrzu.

Wśród luster w złożonych ramach, czerwonych mebli obitych pluszem i bukietów kwiatów czuła się prawie jak w domu. Nic dziwnego, babcia Adela przyprowadzała tutaj wnuczki w każde sobotnie popołudnie na lody albo pyszne pińfurki, czyli herbatniki deserowe z konfiturami i czekoladą powlekane słodką glazurą. Właściwie były to jedyne godziny w tygodniu, jakie spędzała z nimi w czasach ich dzieciństwa. Więcej uwagi zaczęła im poświęcać dopiero, gdy podrosły i dało się porozmawiać z nimi na ciekawsze tematy niż ślizgawka w Dolinie Szwajcarskiej albo nowe sukienki dla lalek.

Zauważyła kilka znajomych twarzy. Panowie kłaniali się uprzejmie Sabinie, zaś jej jakby z wahaniem. Choć ze wszystkich sił starała się przywyknąć do nowego życia, wciąż odczuwała przykrość, kiedy lekceważenie ze strony ludzi, których niegdyś uważała za swoich przyjaciół, dotyczyło ją tak bezpośrednio.

– Nie zwracaj na nich uwagi – powiedziała Sabina, która domyśliła się, co wprowadziło koleżankę w ponury nastrój. – Zrozumiem, jak sami zbankrutują.

– Co ty najlepszego opowiadasz? Oni chyba...

– Trwa wojna – przerwała jej koleżanka – więc w interesach wszystko może się zdarzyć. Tak przynajmniej twierdzi mój papa.

Kelner wrócił i bez zbędnych słów postawił przed nimi filiżanki z parującą kawą, ciepłe mleko w dzbanuszkach i talerzyki z ciastkami, a potem znowu uklonił się i zniknął.

– Ninko – zaczęła nagle Sabina, kiedy odłożyła szczypczyki i odsunęła cukiernicę. – Chciałabym cię przeprosić, że nie odzywałam się tak długo. Po śmierci twojego ojca powinnam była przyjść albo chociaż zadzwonić... Nie wiedziałam, jak się zachować i co powiedzieć, żeby cię nie urazić.

– Nie rób sobie wyrzutów. Ja też mogłam pomyśleć i pierwsza odezwać się do ciebie. Choćby po to, żeby pogratulować ci zaręczyn.

Zapomniała o tym zupełnie, pochłonięta przeprowadzką, a potem napadem i śmiercią Katarzyny, nagłym powrotem Zofii, drugą przeprowadzką i wojennymi trudnościami. Tak szczerze, to bała się też, że przyjaciółka – albo jej ojciec, największy producent naczyń kuchennych w Królestwie – może uznać ją za nieodpowiednie towarzystwo. Kilka szkolnych koleżanek doszło wszak do takiego wniosku.

– Dziękuję. – Sabina zarumieniła się niczym brzoskwinka. – Widzisz, myślałam, że możesz być na mnie zła. Mój Witold starał się kiedyś o rękę twojej siostry.

– Sama powiedziałaś, że to było kiedyś. Zosi ta wiadomość nie złamała serca, a ja nie jestem tak naiwna, by wierzyć, że pan Tarłowski będzie do niej wdychał przez całe życie.

– Cieszę się, że tak uważasz. Widzisz, ja... – Wydawało się to niemożliwe, ale Sabina pokraśniała jeszcze bardziej. – Nie sądziłam, że kiedyś spotkam kogoś takiego.

– A jak się poznaliście? – zapytała Nina, przysuwając sobie ciastko. Pamiętała ostatnie wyznanie siostry i ciekawiło ją, czy w przypadku Sabiny sytuacja przedstawia się podobnie.

– Wiesz, że mamy letni dom obok państwa Richterów? Witold zaraz po powrocie z Zurychu przyjechał odwiedzić ciotkę i to ona przedstawiła nas sobie. Straciłam głowę, kiedy tylko go zobaczyłam. A on oświadczył się o mnie papie już po dwóch tygodniach znajomości. Dał mi wspaniały pierścionek z brylantami... Nie noszę go, bo na kursach tylko by przeszkadzał.

– Nie powiedział, że cię kocha?

– Och, Witold jest powściągliwy. Nie obnosi się z uczuciami, ale chce się ze mną żenić, a to przecież mówi samo za siebie. Mama często powtarza, że liczą się czyny, a nie puste słowa.

Nina spojrzała na koleżankę z obawą, chciała przypomnieć jej, że w środowisku, z którego obie pochodzą, małżeństwa zawiera się przeważnie z innych powodów niż miłość. Sabina wyglądała jednak ze swoim rozmarzeniem tak uroczco, że zrezygnowała z brutalnego sprowadzania jej na ziemię. Zapytała tylko o jedno:

– A rodzice cieszą się z tego mariażu?

– Papa mówi, że sam nie znalazłby dla mnie lepszej partii. Państwo Richterowie też są zadowoleni.

Wuj i wujenka Tarłowskiego nie mieli własnych dzieci, kiedy więc umarła jego matka, wzięli go do siebie i traktowali jak syna. Jego małżeństwo było więc dla nich nader ważną kwestią. Sabinie nie mogli nic zarzucić – miała urodę, odpowiednie wykształcenie, doskonałe manieri, ogromny posag oraz ojca działającego w podobnej branży co Richter. Może teraz to oni dwaj założą spółkę, która zdola zawojować rosyjski rynek?

– Niestety, przez tę wojnę nie wiadomo, na kiedy planować ślub – kontynuowała Sabina.

– Może jednak powinnaś szykować wyprawę, a nie zaczynać pracę w szpitalu?

– Och, nie wytrzymałabym w domu. Zamartwiałabym się przez cały czas o Witolda. A tak, zajmę się czymś pożytecznym. I nie wiesz, jak się cieszę, że będziemy pracować razem.

Ninka przytaknęła; zawsze lepiej stawić czoło trudnościom w towarzystwie kogoś życzliwego.

6.

Dobry nastrój opuścił ją, gdy tylko wsiadła do zatłoczonego tramwaju. Co prawda Sabina proponowała, że odwiezie ją do domu, ale Nina uznała, że woli wrócić sama, aby nie zwracać niczyjej uwagi. Spoglądając przez okno na mijane budynki, myślała, że boi się przyszłości.

Ulicami niustannie ciągnęły kolumny wojska, zdawało się, że żołnierzy przybywa z każdym dniem. Nic dziwnego, machina mobilizacyjna nie zatrzymywała się nawet na moment i prawie każdy mężczyzna, który ukończył dwudziesty pierwszy rok życia, musiał dać się jej przemierzyć.

Ludzie ubożeli, gdyż po ewakuacji wielu zakładów przemysłowych brakowało pracy albo rodzina na rzecz armii straciła jednego żywiciela. Niustannie pojawili się także uciekinierzy z terenów, na które zdążyli już wkroczyć Niemcy; hotele, zajazdy i inne dostępne miejsca noclegowe pękały w szwach. Poza tym należało wyżywić tych ludzi. Zarządzić jakoś nieszczęściu i biedzie. Komitet Obywatelski, który w ciągu kilku tygodni zdążył przekształcić się w Komitet Centralny, z każdym dniem działał coraz sprawniej i w miarę potrzeb powoływał nowe sekcje, które miały zajmować się chyba każdym możliwym przejawem wojennego życia.

Ciotka Klara szybko uległa namowom pani Zapiórkiewiczowej i zabrała się do pracy. Wracła późno i w tak pożałowania godnym stanie, że siłą rzeczy większość jej obowiązków domowych spadła na Ninę. Zofia, zajęta własnymi sprawami, nie kwapiła się do pomocy, Julia robiła wszystko jak z laski, a Pola, choć starała się, jak mogła, była zbyt młoda, a przede wszystkim zbyt wątpia, aby poradzić sobie z nawalem pracy.

Ninka zastanawiała się, co będzie, kiedy rozpocznie dyżury w szpitalu. Może powinna była zaczekać z szukaniem pracy, aż zatrudnią służącą? Problem w tym, że nie wiadomo, ile jeszcze mogło to potrwać. Babcia zaczynała tracić nadzieję, że pojawi się odpowiednia osoba, która nie będzie bała się zajmując miejsca Katarzyny.

Westchnęła w duchu, znowu popatrzyła w okno i drgnęła nerwowo, gdyż przez myśli kłębiące się w głowie o mało nie przejechała swojego przystanku. Cóż, wciąż nie przywykła do nowego miejsca zamieszkania. Przeciskając się przez zbity tłum, dotarła do drzwi, a kiedy wyszła na zewnątrz, mocno wciągnęła powietrze, aby pozbyć się z płuc tramwajowych miazmatów.

Szła Sienną. Ich kamienica znajdowała się w niewielkiej odległości od Marszałkowskiej, więc prawie natychmiast zobaczyła znajomą fasadę ozdobioną nie tylko kutymi balkonami i secesyjnymi płaskorzeźbami, ale także fantazyjnym narożnym wykuszem zaczynającym się na wysokości drugiego piętra, a na górze zwieńczonym okrągłą wieżyczką. Cały parter budynku zajmowały sklepy, między innymi kwaciarnia i duży skład apteczny.

Skrecała właśnie w bramę, gdy nieoczekiwanie wyrósł przed nią doktor Warliński, lekarz sądowy, który w dniu śmierci Katarzyny przyszedł do nich wraz z policją. Zdziwiła się, gdyż sprawiał wrażenie zdenerwowanego, w ręku ścisnął zaś spory bukiet ułożony z czerwonych i niebieskich astrów. Przyjrzała się lekarzowi dokładniej niż poprzednim razem: dziwne, wtedy wydał się jej sporo starszy, a w rzeczywistości nie przekroczył chyba trzydziestki. Nie był klasycznie przystojny, ale – ciemnowłosy, o nieco mrocznej urodzie – mógł się podobać. Nina, która zawsze zwracała szczególną uwagę na oczy nowo poznanych osób, uznała, że melancholijne spojrzenie doktora intrygowało zapewne niejedną kobietę.

– Dzień dobry pani – przywitał się uprzejmie, uchylając kapelusza.

– Dzień dobry, panie doktorze – odparła z uśmiechem. Warliński miał w sobie coś, co odruchowo budziło sympatię. – Co pana sprowadza? Zgaduję, że nie są to sprawy służbowe. – Zerknęła znacząco na barwny bukiet.

– Jest pani bardzo domyślna. – Zaśmiał się cicho, a jego ciemne oczy momentalnie straciły chmurny wyraz. – Czy mogłaby pani oddać te kwiaty swojej siostrze?

– Której? Wie pan, że mam aż trzy.

– Chodzi mi o pannę Julię.

– O Julię? – zapytała nietaktownie, ale natychmiast się zmytygowała: – A może pan chciałby wręczyć je osobiście? Serdecznie zapraszam, napijemy się herbaty.

– Dziękuję za propozycję, ale... – Urwał i spuścił głowę, aby uniknąć jej wzroku. – Uważam, że to nie jest odpowiednia chwila.

Niemożliwe! Czyżby doktor Warliński, patolog, który ze stoickim spokojem oglądał i kroił ofiary najróżniejszych morderstw, był nieśmiały niczym sztubak? Oczywiście nie skomentowała tego, zbyt dobrze go rozumiała.

– W takim razie oddam jej z przyjemnością. – Ostrożnie wzięła od niego bukiet.

– Będę zobowiązany... Do widzenia – powiedział i zanim się spostrzegła, już zniknął za rogiem kamienicy.

Wspinając się po schodach, które do wysokości pierwszego, czyli najbardziej reprezentacyjnego piętra, zostały wyłożone marmurem, Nina zastanawiała się, jakim cudem siostra zrobiła taką konkietę. Cóż, na pierwszy rzut oka nie dawało się ocenić charakteru, za to urodę jak najbardziej. A Julia była ładna i wdzięczna, za dobrych czasów otaczała ją rój wielbicieli.

Zapukała do drzwi w umówiony sposób i po chwili usłyszała głos – nomen omen – Julii:

– Kto tam?

– Nina.

Klucz zazgrzytał w zamku i starsza Kellerówna mogła bez przeszkód wejść do domu.

– Dobrze, że jesteś. Nie uwierzysz, kto przyszedł – powiedziała siostra konfidencjonalnym tonem, a następnie zerknęła na astry: – Cóż to za wiecheć?

– Dostałam od wielbiciela – rzuciła z uśmiechem Nina.

– Lepiej, gdyby przysłał ci z pud węgla... Ciocia cały ranek narzekała, że nigdzie nie można dostać nawet kawałka. I że w zimie będziemy rąbać meble.

– Kwiaty są od twojego wielbiciela.

– Nie mam już wielbiciela – oświadczyła posępnie młodsza. – Posag zniknął, więc bezwartościowego dodatku nikt już nie potrzebuje.

– Masz, masz. – Podała siostrze astry. – Bardzo porządnego.

Julia obejrzała wiązanekę ze wszystkich stron, zanim wyjęła ukrytą pomiędzy kwiatami wizytówkę.

– Doktor Józef Warliński? Ten lekarz sądowy? – prychnęła. – Też mi ładny wielbiciel.

– Masz rację, naprawdę ładny. – Nina poczuła pokusę, żeby nieco podroczyć się z siostrą. – Nie wiem, co ci się w nim nie podoba?

– Nie dość, że kroi martwych ludzi, to pewnie zarabia marne grosze. Zresztą nie dla psa kielbasa – dodała i z powrotem wcisnęła Nince bukiet razem z wizytówką. – Zabieraj te badyłe. Wzięłaś, więc się o nie martw. – To powiedziawszy, odwróciła się na pięcie i z dumnie uniesioną głową powędrowała w stronę kuchni.

Nina, która znała doskonale jej upór, liczyła, że Warliński – dla własnego dobra – szybko zmieni obiekt zainteresowania. W sumie miał rację, że postanowił nie wchodzić. Nie czekając dłużej, zabrała kwiaty i poszła do siebie. Zdjęła żakiet, odpięła kapelusz, wygładziła spódnice i poprawiła szeroki pasek o wiele wygodniejszy niż gorset, z którym ostatnio pożegnała się definitywnie i bez żalu – a następnie sięgnęła po wazon. Ustawiała astry na parapecie – wewnątrz natychmiast poweselało od ich żywych barw. Na koniec przypomniała sobie, że ponoć mają jakiegoś gościa.

Poszła do salonu, w którym nie zastała nikogo. Usłyszała za to dobiegający z kuchni uradowany głos babci. Bez namysłu udała się tam i ledwo przekroczyła próg, ujrzała nader interesującą scenę. Otóż przed siedzącą na krześle Adelą stała, nerwowo przestępując z nogi na nogę, ich dawna służąca Balbina. Nie była tak bystra jak pokojówki, które usługiwały im bezpośrednio, i miała swoje lata – jakiś czas temu przekroczyła pięćdziesiątkę – ale pracowała u nich, odkąd Nina sięgała pamięcią. Wszyscy

byli z niej zadowoleni, nawet wymagająca ciotka Klara, a co najważniejsze, służąca potrafiła doskonale gotować, gdyż do jej obowiązków należało pomaganie wybitnie utalentowanej w swojej dziedzinie kucharce.

– Czy Balbina jest pewna, że chce do nas wrócić? – zapytała babcia. Z tonu jej głosu wynikało, że robi to któryś raz z rzędu.

– Dobrze mi było u wielmożnego państwa, a moja nowa pani nie wie, co chce. Raz każe robić tak, potem na odwrót. I ciągle mnie ruga.

– Nie musi Balbina zdradzać szczegółów. – Adela westchnęła. – Chętnie wzięłabym Balbinę z powrotem, ale nie mogę płacić jak poprzednio.

– Nowa pani też nie płaciła, ile obiecała. A do wielmożnej pani i panienek wrócę nawet za mniej.

– Nie płaciła... Czy to znaczy, że Balbina już u niej nie pracuje?

– Wygnała mnie zaraz po tym, jak gliny przyszli pytać o Kaškę. Powiedziała, że nie winszuje sobie skandali. Zamiarowałam przyjść od razu, ale nie wiedziałam, czy wielmożna pani puści mnie za próg.

Tak więc zeznania w sprawie śmierci krewnej kosztowały Balbinę pracę. Nina miała nadzieję, że babcia znajdzie sposób, aby ją zatrudnić. Nie tylko życie służącej, ale także ich wszystkich poprawiłoby się w jednej chwili.

– A nie boi się Balbina? – Adela kontynuowała przesłuchanie. – Po tym co się u nas stało?

– Czego niby mam się bać? Toż jak raz wleźli i zrobili kipisz, to już się nie pokażą. A nawet jak przyleżą, pognam na cztery wiatry.

W ustach służącej nie była to czcza pogrózka; Balbina miała więcej siły niż niejeden mężczyzna. Tatko żartował czasami, że dałaby radę zabić wołu gołą pięścią.

– Nie mogę zapłacić więcej niż osiem rubli na miesiąc. Do tego wikt i mieszkanie.

– Dziękuję. – Służąca mimo protestów babci rzuciła się całować jej ręce.

Julia, która w milczeniu obserwowała negocjacje, wyglądała na wniebowziętą, a Nina poczuła ulgę, gdyż wreszcie pojawiła się nadzieja na poukładanie domowych spraw. Nie będą też musiały naruszać żelaznego kapitału – jej wynagrodzenie spokojnie wystarczy i na czynsz, i na zapłatę dla Balbiny. Koniecznie musiała powiedzieć o tym babci.

ROZDZIAŁ IV

I.

Każdego dnia w drodze do szpitala Nina mijała willę, która jeszcze kilka miesięcy temu należała do jej rodziny. Nie miała czasu, aby zatrzymać się przy niej, więc tylko patrzyła ze ściśniętym gardłem, zastanawiając się, czy bank zdołał ją w końcu sprzedać. A jeśli tak, kto w niej teraz mieszka? Choć umierała z ciekawości, bała się kogokolwiek o to zapytać; bezimienni intruzi budzili w niej mniejszą wrogość i poczucie krzywdy niż konkretne osoby z imionami i nazwiskiem.

Spojrzała na zegarek. Do szóstej brakowało tylko kilku minut, więc szybkim krokiem ruszyła w stronę szpitala, który mieścił się w głównym gmachu Suworowskiego Korpusu Kadetów. Choć pracowała tam zaledwie od dwóch tygodni, wbrew wcześniejszym obawom, bez problemu przyzwyczała się do tego miejsca. Wiedza wyniesiona ze szkoły pielęgniarzkiej okazała się zaś na tyle solidna, że Kellerówna przypominała ją sobie z łatwością, a praktyka przy rannych pomagała w stopniowym nabieraniu rutyny. Zdawała sobie jednak sprawę, że kiedy w szpitalu pojawi się większa liczba pacjentów, trzeba będzie pracować szybciej i zadania staną się bardziej skomplikowane.

Dotarła na czas. W holu skinęła głową strażnikowi, a potem zeszła do piwnicy, gdzie znajdowały się pomieszczenia przeznaczone dla szpitalnego personelu.

– Dzień dobry – pozdrowiła koleżanki, które zaczynały dyżur wraz z nią.

– Pani Bispingowa kazała zgłosić ci się do ordynatora na pierwszym piętrze – powiedziała Mania Sulimianka, która dla odmiany kończyła pracę. – Natychmiast po przyjściu.

– Nie wiesz, o co może chodzić? – zapytała, próbując przypomnieć sobie, czy na poprzednim dyżurze nie popełniła jakiegoś błędu.

– Skądże! Nie musisz chyba się bać, wcale nie wyglądała na zdenerwowaną.

Nina odwiesiła do szafki żakiet, a potem starannie umyła ręce. Włożyła czystuśkie fartuch, na rękaw naciągnęła biało-czerwoną opaskę i narzuciła chustkę na głowę; starała się jak najszczelniej przykryć nią gładko upięte włosy. Następnie wyszorowała ręce po raz drugi, wsłuchując się przy tym w wesołe głosy sanitariuszek. Większości z nich nie zdążyła jeszcze poznać; zawsze była nieśmiała i wołała stać z boku, zamiast, jak Sabina albo Zofia, pchać się w samo centrum wydarzeń. Po śmierci ojca reakcje różnych znajomych osób sprawiły, że zamknęła się w sobie jeszcze bardziej. Na szczęście w szpitalu nikt nie patrzył na nią krzywo, najwyraźniej pracujący tu specjaliści mieli na głowie ważniejsze sprawy niż eksycytowanie się obecnością córki bankruta. Sama też odebrała ważną lekcję: pojęła, że nie dla wszystkich świat kręci się wokół życia wyższych sfer.

Dochodziła szósta, więc razem z pozostałymi dziewczętami wyszła z pokoju i powędrowała na parter. Tam koleżanki rozpieczęły się w różnych kierunkach – każda doskonale знаła swoje obowiązki – zaś Nina pobiegła na pierwsze piętro, aby zameldować się młodszemu ordynatorowi.

Szpital był już prawie gotowy. Dla rannych przeznaczono na razie sześć największych sal na trzech piętrach budynku; po dwie na każdym. Panie z Komitetu Sanitarnego twierdziły, że zmieści się w nim jednocześnie półtora tysiąca rannych, a w razie konieczności da się szybko zaadaptować kolejne pomieszczenia. Oprócz monumentalnych gmachów Korpus Kadetów miał także duży ogród, który planowano przeznaczyć dla rekonwalescentów. Lazaret powstał w ogóle z myślą o Polakach walczących w carskiej armii, ale wszystko wskazywało, że nie uda się zachować go wyłącznie dla nich; zgodnie z poleceniem władz wojennych wśród pacjentów już teraz przeważali Rosjanie.

Nina weszła do wielkiej sali, w której ustawiono sto pięćdziesiąt łóżek: ranni zajmowali obecnie mniej niż połowę z nich. Za dnia przez wysokie okna wpadały tu promienie jesiennego słońca, dzięki którym wnętrze prezentowało się przyjemnie i nadzwyczaj sterylnie. Teraz w pomieszczeniu płonęły lampy, gdyż za kilka minut zaczynał się obchód; przy jednym z łóżek już czekał młodszy ordynator Zawilski w towarzystwie samego lekarza naczelnego, czyli doktora Franciszka Kijewskiego, oraz zarządzającej pielęgniarkami pani Heleny Bispingowej.

Spoglądała na nich z wahaniem, ponieważ nie wiedziała, czy powinna przeszkodzić im w rozmowie, a może nawet konsylium, ale doktor Zawilski zauważył ją i przywołał gestem. Zręcznie wymijając łóżka i szafka, podeszła do zebranych.

– Dzień dobry – przywitała się uprzejmie i spuściła głowę, gdyż onieśmielała ją obecność Kijewskiego, a pani Bispingowej trochę się obawiała.

– Dzień dobry, siostrzo Nino – zaczął wesoło ordynator. – Rozmawialiśmy właśnie o siostrze.

– O mnie? – zdumiała się szczerze.

– Szykujemy sale operacyjne. Tu niedaleko, w lewym skrzydle – powiedział lekarz naczelny. – Potrzebujemy instrumentariuszek. Pani Helena twierdzi, że siostra idealnie nadaje się do tej pracy.

– Ależ ja nigdy...

– Po pierwsze – wpadła jej w słowo Bispingowa – ma siostra odpowiednie wykształcenie... Na sześciotygodniowych kursach nie sposób wyuczyć dziewczęta wszystkiego o narzędziach chirurgicznych, a siostra już to wie. Po drugie, zauważyłam u siostry wyjątkową dokładność. Chyba że siostra się boi?

Oczywiście, że się bała. Przełożona miała rację, знаła narzędzia oraz ich dokładne przeznaczenie, ale w prawdziwych operacjach uczestniczyła tylko kilkanaście razy, do tego przeważnie jako obserwatorka. Pierwszą z nich nawet odchorowywała, jeszcze bardziej utwierdzając się w przekonaniu, że po skończeniu szkoły nie chce mieć nic wspólnego ze szpitalami.

Wstydziła się jednak przyznać do tego głośno, a poza tym zdążyła zauważyć, że w mieście naprawdę brakuje wyszkolonych pielęgniarek; tu w lazarecie poznała tylko jedną dziewczynę, która skończyła Szkołę Stowarzyszenia Pań Ekonomek w Krakowie. Siostr szarytek także było za mało.

Babcia, chcąc po swojemu pocieszyć wnuczki, mawiała często, że w życiu można przywyknąć do wszystkiego. Zwłaszcza kiedy nie ma innego wyboru.

Co za zort ją podkusił, żeby iść do tej przeklętej szkoły?! Skoro pojechała do Paryża, równie dobrze mogła zapisać się na kurs malarstwa. Nieważne, że brakowało jej talentu; ojciec zajęty hołubieniem niewieścich cnót córek i tak zapłaciłby rachunek bez mrugnienia okiem.

– Potrzebuje siostra czasu do namysłu? – Doktor Kijewski najwyraźniej dostrzegł jej rozterki.

Adela powtarzała też, że strach to najgorszy doradca. Niech będzie, raz kozie śmierć.

– Nie trzeba. Zgadzam się, panie doktorze.

– Doskonale. W takim razie proszę przyjść na chirurgię o drugiej po południu. Pozna siostra swoje nowe obowiązki.

– Oczywiście. – Kiwnęła głową, po czym pożegnała się i wyszła na korytarz.

Z wrażenia zakręciło się jej w głowie. Czowała, że koniecznie musi napić się wody, więc bez namysłu weszła do pobliskiej łazienki dla chorych; długie wąskie pomieszczenie wyłożone czarno-białymi płytkami lśniło sterylną czystością. Podchodząc do umywalni, zauważyła, że w kącie nieopodal okna zasłonięta matową szybą stoi Sabina. Towarzyszyły jej dwie inne sanitariuszki – Krysia i Halinka – pracujące na tym samym oddziale co ona. Dziewczęta, mocno zaaferowane, dyskutowały o czymś szepcąc.

Nina chciała się wycofać, ale zaraz uświadomiła sobie, że byłoby to dziecinne; w końcu nie zamierzała nikogo podsłuchiwać.

– Dzień dobry – powiedziała głośno, odkręcając kran. – Może w czymś wam pomóc?

Sanitariuszki natychmiast zamilkły i spłoszone odsunęły się od siebie; naprawdę wyglądały, jakby knuły coś karygodnego.

– Dzień dobry, Ninko. – Sabina pierwsza odzyskała rezon. – Dobrze, że przyszedłeś. Może pomożesz nam rozwiązać dylemat? Klóćmy się właśnie, który doktor jest najprzystojniejszy. Ja uważam, że Zawilski, a ty?

– Sabinko, proszę cię – mruknęła, kiedy przemyśla twarz i wypluła usta. – Wiesz, że nie interesują mnie takie dyskusje.

– Szarytek także – rzuciła ze śmiechem koleżanka. – Dlatego szepczemy sobie z dziewczętami po kryjomu. O matko! – Rzuciła okiem na zegarek. – Muszę iść, bo doktor Niewolski zmyje mi głowę. Miałam zmieniać opatrunki. – Pobiegła do drzwi, a koleżanki, nie patrząc wcale na Ninę, podążyły za nią.

Kellerówna naprawdę cieszyła się, że ją i Sabinę przydzielono do tego samego lazaretu. Dzięki temu było jej raźniej. Poza tym towarzyska koleżanka w ciągu zaledwie kilku dni zdążyła poznać większość personelu, na czym skorzystała także i ona. Teraz zaczynała się obawiać, że rozpieszczona jedynaczka podjęła pracę tylko dla zabicia czasu i spełnienia swojego kaprysu.

2.

– Jak widzisz, drogi Henryku, jakoś sobie radzimy – powiedziała babcia, podnosząc do ust kieliszek z koniakiem.

Pola, która obserwowała tę scenę z korytarza, wiedziała doskonale, że to końcówka ostatniej butelki z babcinych zapasów. Adela robiła więc wszystko, aby opróżnić szklę w jak najwolniejszym tempie. Mecenas Finkiel zadowolił się herbatą i ciastkami.

– Nowe mieszkanie, nowa służąca... – ocenił z przyganą. – Radziłbym ci, droga Adelo, nie szastać tak pieniędzmi. Wszystko drożeje z dnia na dzień.

– Mój świętej pamięci August mawiał, że w czasie wojny pieniądze zawsze tracą na wartości – wyznała z westchnieniem babcia, sącząc kolejny łyżeczek. – Zanim do tego dojdzie, chcę zapewnić dziewczętom godne życie. Może za rok ruble będą nadawały się tylko do palenia w piecu?

– Doprawdy zazdrościsz wam tej bez troski. I życzę, żebyście za rok wszystkie jej nie żalowały.

– Widzisz, Henryku. – Głos Adeli nabrał twardszych tonów. – August mawiał także, że fortuna kołem się toczy. Teraz jesteśmy na dole, ale sytuacja może zmienić się w każdej chwili. Chyba nie zaprzeczysz, że moje wnuczki są bystre i urodziwe, mogą więc znaleźć sobie porządnego mężów. A jak ich nie znajdą, pójdą do pracy. W dzisiejszych czasach, na szczęście, już wypada, a Maksymilian nie oszczerzał na ich edukacji. O właśnie, Nina zatrudniła się w szpitalu.

– Przy rannych mężczyznach? – zapytał wyraźnie zgorzogniony Finkiel.

– Pomaga przy operacjach, które ratują żołnierzom zdrowie, a nawet życie.

– I traci tam całą czystość i niewinność. Po czymś takim żaden młodzieniec z porządnej rodziny nie odważy się jej poślubić. I nikt nie będzie miał mu tego za złe.

– Mąż Ninki nie musi być z porządnej rodziny. – Babcia odstawiła pusty kieliszek. – Wystarczy, żeby był uczciwy i miał głowę na karku.

Mecenas skrzywił się z niechęcią, ale najwyraźniej nie zamierzał dłużej dyskutować, bo szybko zmienił temat:

– Czy wiadomo coś nowego w sprawie włamania?

– Odwiedziłam wczoraj sędziego Szustra – powiedziała Adela. – Swoją drogą, to bardzo mądry i kulturalny człowiek. Nie uważasz, drogi Henryku?

Wyraz twarzy mecenasa wyraźnie wskazywał, że nie podziela tej pochlebnej opinii w najmniejszym stopniu. Pola już w dniu morderstwa zauważyła, że obaj panowie za sobą nie przepadają.

– Sędzia – kontynuowała babcia – twierdzi, że za napadem i śmiercią Katarzyny stoi ktoś, kogo znamy.

– Niedorzeczność! Szuster zawsze grzeszył nadmiarem wyobraźni.

– Słyszałam od mecenasowej Popławskiej, że ma w pracy doskonale wyniki.

– Ma wyjątkowe szczęście! I wysoko postawionego pociotka czy też znajomego w urzędzie śledczym. Tym razem na pewno się myli. Jacyś wolscy złodzieje zwęszyli, że mieszkacie w pobliżu, i przyszli rozejrzeć się po kątach, a on wymyśla nie wiadomo jakie historie.

– Wyjaśnij więc, czemu ci wolscy złodzieje nie zabrali moich precjozów? Przecież leżały na samym wierzchu. Myślę, że sędzia ma rację. Dałam mu listę osób, które uważam za najbardziej podejrzane.

– Myślisz, że odważy się niepokoić najbogatszych przemysłowców tego miasta? Z powodu śmierci służącej?

– Nie wspominałam o żadnych przemysłowcach. – Babcia uśmiechnęła się chytrze. – Za to ciebie wpisałam na samej górze. Choć sędzia wspominał, że przesłuchiwał cię już w charakterze świadka.

– Naprawdę się upiłaś! Jeśli wplądziesz mnie w tę sprawę, stracę reputację. Bankructwo Maksymiliana już ją nadszarpięło.

– Skoro nie masz sobie nic do zarzucenia, czego się obawiasz? Sędzia wspominał, że zleci przesłuchanie komisarzowi Górskiemu. A on wygląda na miłego. Mamy naprawdę porządną policję, nie uważasz? Oczywiście, pod warunkiem że są to Polacy.

Finkiel spojrział na babcię tak, jakby chciał ją udusić. Pola zaś zaczęła się zastanawiać, czemu właściwie mecenas odwiedza je do tej pory. Doradzał dziadkowi i ojcu, ale z babcią nigdy nie zdołał się zaprzyjaźnić. Co prawda oboje odnosili się do siebie uprzejmie, choć była to uprzejmość podszyta niechęcią. A w tej chwili zniknęła całkowicie.

3.

Bywały noce, kiedy Zofia budziła się z przerażeniem, przekonana, że zaraz nastąpi jakaś katastrofa. Serce podchodziło jej do gardła, a potem jak oszalałe długo tłukło się w piersi.

Zupełnie jak dziś.

Półprzytomna i wystraszona zerwała się z poduszki, a potem odruchowo sięgnęła pod materac w poszukiwaniu rewolweru. Przypomniała sobie jednak, że wcale tam go nie wkładała. Zaczęła więc szukać czegoś ciężkiego do obrony, ale w końcu oprzytomniała na tyle, aby zrozumieć, że nic jej nie grozi.

Odruchowo spojrzała na posłanie siostry: na szczęście było puste. Ninka poszła na nocny dyżur do szpitala, więc nie musiała oglądać starszej siostry w tak pożałowania godnym stanie.

Zofia wzięła kilka głębokich wdechów i położyła się z powrotem. Wiedziała, że prędko nie zaśnie i że zaraz, niczym przedłużenie sennego koszmaru, zaczną ją nękać wspomnienia, o których wolałaby zapomnieć.

Co ciekawe, na jawie nie bała się nigdy. Ani w dzień, ani w nocy. Nawet wtedy, kiedy szła samotnie przez ciemny las albo stała na polnej drodze naprzeciwko oddziału rosyjskiego wojska. Wiedziała, że wszystko zależy od niej, od jej zimnej krwi i sprytu. Na swoje sny nie miała żadnego wpływu.

Przekreśliła się na drugi bok, słuchając cichego rzęzenia sprężyn. Z każdą minutą ogarniała ją coraz większa złość; jutro zaczynała długą i trudną podróż, powinna choć trochę wypocząć, gdyż nie wiadomo, jak będą wyglądały kolejne noce.

Z samego rana musiała dostać się na plac Keksholmski, a stamtąd pojechać kolejką do Grójca. Potem zaś każdym możliwym sposobem – wiejskimi wozami, pieszo, drogą albo przez las – nie budząc podejrzeń i unikając żandarmerii oraz wojska, dotrzeć do Radomia i do Piotrkowa; przejeżdżające tamtędy pociągi wojskowe czasem zabierały cywili. A kiedy dojedzie do Dąbrowy, już tylko kilka mil będzie dzieliło ją od Sosnowca i Zagórza.

W Zagórzu działało obecnie biuro Żeńskiego Oddziału Wywiadowczego Pierwszej Brygady Legionów, do którego należała od początku jego istnienia. Miała dostarczyć tam raporty od działającej coraz sprawniej organizacji warszawskiej.

Nawet nie zauważała, w którym momencie zasnęła.

Obudziła się, kiedy za oknem zaczynało się rozwidniać. Zerknęła na zegarek: wyćwiczony organizm nie spóźnił się nawet o minutę. Przez chwilę leżała pod nagrzaną kołdrą, a potem wzdrygając się z zimna, wstała z łóżka. Cicho przemknęła do łazienki, a po powrocie spięła włosy w kok i włożyła ciepłą, ale jednocześnie elegancką wełnianą spódnicę, którą można było szybko podkasać, aby nie krępowała ruchów, lekki płaszcz oraz wygodne buty. Wieczorem starannie wszyła w mankiet bluzki długą bibułkę z raportami; na wszelki wypadek nauczyła się ich na pamięć.

Poza tym zabierała ze sobą tylko niewielką i łatwą do niesienia torbę podróżną z najpotrzebniejszym ekwipunkiem. Plecak byłby wygodniejszy, ale niestety budziły od razu podejrzenia, a ona dla własnego bezpieczeństwa powinna wyglądać jak damulka, która zupełnym przypadkiem zablądziła w pobliże frontu.

Prawie w ostatniej chwili sięgnęła po kartkę i ołówek, aby zostawić rodzinie wiadomość, że wróci za kilka, może kilkanaście dni. Nie chciała mówić im o tym osobiście, aby uniknąć pytań, domysłów i wyrzutów.

Wyszła z pokoju, ostrożnie zamykając za sobą drzwi, i na palcach przemknęła w stronę kuchni, zamierzała bowiem zejść na dół schodami dla służby. Za oknami robiło się już widno.

W przedpokoju wyrosła przed nią niewysoka drobna postać. Zofia z trudem powstrzymała nerwowy okrzyk; o tej porze nie spodziewała się nikogo, a tymczasem stała przed nią babcia Adela ubrana w szlafrok i nocny czepek.

– Tak myślałam – mruknęła staruszka, mierząc wnuczkę uważnym spojrzeniem – że właśnie dziś zamierzasz nas opuścić.

– Taki dostałam rozkaz, proszę babci.

– Zosiu, liczę, że wiesz, co robisz.

– Wiem, proszę babci.

– W takim razie idź. Tylko wróć szczęśliwie, bo inaczej...

– Wrócę – szepnęła i mocno przytuliła się do Adeli. Nie wiedziała, że potrzebuje tego tak bardzo. Czula drapanie w gardle.

– Uważaj na siebie, dziecko. – Babcia odsunęła się nieznacznie, a następnie nakreśliła na jej czole znak krzyża.

– Idę. Nie mogę się spóźnić.

– Weź. – Staruszka wcisnęła jej do ręki woreczek. – Przecież niczego jeszcze nie jadłaś.

4.

Zapiski Poli

Podobno wczoraj nad Warszawą pojawił się zeppelin, czyli niemiecki statek powietrzny, przypominający z wyglądu wielkie cygaro. Bardzo chciałabym zobaczyć go na własne oczy, ale niestety przyleciał o piątą rano,

został ostrzelany przez artylerię i odfrunął w stronę twierdzy nowogeorgijewskiej. Za to dziś koło południa aeroplan zrzucił bombę na Fort Aleksieja przy Cytadeli. Na szczęście obyło się bez szkód. Babcia, słuchając tych wieści, kręci głową i mówi, że to nie do pomyslenia, żeby maszyny latały w powietrzu, i że na pewno wyniknie z tego jakaś tragedia.

Ja też trochę się boję, bo te ataki oznaczają, że Niemcy są niedaleko Warszawy. Z gazet nadal trudno wyczytać coś konkretnego, a wszystkie wieści z frontu są utrzymane w optymistycznym tonie. Czasem daje się coś wywnioskować z komunikatów o sytuacji w mieście. Zdegustowana tymi niewiadomymi babcia liczy, że kiedy – nie daj Bóg! – armia kajzera naprawdę będzie w pobliżu, ktoś jednak zdecyduje się powiadomić o tym warszawiaków.

W domu jest za to lepiej. Balbina wprowadziła się kilka dni temu, najpierw wysprzątała mieszkanie po naszych porządkach, a potem ugotowała prawdziwy obiad. Co prawda nie był tak doskonały jak za dawnych czasów, ale to akurat nie wina Balbiny, tylko kiepskich produktów. Julia mówi, że niedługo wcale nie będzie można dostać mięsa. Poza tym wszystko drożeje – cukier to zrozumiałe, ale ostatnio podnieśli nawet cenę zapalek.

Julia od jakiegoś czasu odpowiada za zaopatrzenie. Chodzi codziennie na zakupy – czasem zabiera mnie ze sobą – ale okropnie się tego wstydzi i zawsze sprawdza, czy nie widzi jej ktoś znajomy. A kiedy natrafia na długą kolejkę, idzie do następnego sklepu. Tym sposobem potrafi spędzić pół dnia na szukaniu podstawowych rzeczy. Gdyby tylko mogła, zaraz zrzekłaby się tego obowiązku, jednak nie ma komu jej zastąpić. Pociesza się więc szcziem. Wśród rzeczy zabranych z willi znalazła maszynę Zingera, której przez lata używała szwaczka Władzia, kiedy przychodziła do nas szyć bieliznę pościelową i inne potrzebne rzeczy.

Julia od dziecka lubiła się temu przyglądać i kiedyś w wolnej chwili Władzia pokazała jej, jak działa takie urządzenie. Na szczęście nauka nie poszła w las. Czego by o Julii nie mówić, ma wyjątkowy dar do robótek i wszelkiej ręcznej dłubaniny. Babcia powiedziała, że nie zdziwi się wcale, jak za jakiś czas zacznie szyć nam wszystkim sukienki.

Dla odmiany Zosia przepadła jak kamień w wodę. Podejrzewam, że babcia i ciocia coś wiedzą na ten temat, bo ostatnio, kiedy wszłam do ich pokoju, rozmawiały półgłosem – imię siostry zdołałam jednak usłyszeć – i na mój widok natychmiast ucichły.

Ciocia Klara pracuje w sekcji bezdomnych Komitetu Obywatelskiego i ma dużo zajęć, ponieważ do Warszawy wciąż przybywają nowi ludzie uciekający przed wojną. Musieli porzucić domy, nie mają prawie nic, więc trzeba ich wszystkich gdzieś zakwaterować, zaopatrzyć w najpotrzebniejsze rzeczy i nakarmić. Ciocia wraca do domu bardzo późno, śmiertelnie zmęczona, ale wygląda o wiele zdrowiej niż w ostatnich miesiącach. Pani Zapiórkiewiczowa pracuje oczywiście razem z nią i jest tak zajęta, że zaprzestała urządzania sobotnich herbatek. Może to i dobrze, gdyż po śmierci Katarzyny straciłyśmy jakoś na nie ochotę.

Ninka pracuje w miejskim lazarecie i nie jest tak zadowolona jak ciocia ze swojego zajęcia, ale nie skarży się nawet słowem. Czasem myślę, że chciałabym być tak dzielna jak ona.

Ja nie mam żadnych konkretnych obowiązków, ponieważ ciocia uważa, że muszę się oszczędzać. Martwi mnie to, że wciąż widzi we mnie małą dziewczynkę, która dopiero co zaleczyła cudem suchoty. Od dawna jestem zdrowa – w końcu lekarze robią mi co roku zdjęcia płuc aparatem Roentgena i nic niepokojącego w nich nie znajdują.

Myślę o tym, żeby pójść na kurs sanitarny. W końcu nie wiadomo, co jeszcze przyniesie nam ta wojna. W Warszawie codziennie otwierają nowe szpitale. I nawet wycieczkowe statki pana Fajansa wożą rannych Wisłą z Sandomierza.

Nie wiem tylko, co na te moje projekta powie ciocia Klara...

ROZDZIAŁ V

I.

– Co mówiłaś? – zapytała Pola.

– Wracajmy do domu! – Julia podniosła głos, starając się przekrzyczeć panujący wokół harmider. – Chodź! – Chwyliła siostrę za rękę i zaczęła przeciskać się przez tłum zdenerwowanych ludzi.

Październik przyniósł ze sobą nie tylko jesienne chłody, ale także coraz większe braki w dostawach żywności i innych najpotrzebniejszych rzeczy. W tak świetnie niegdyś zaopatrzonym miejscu jak zachodnia Hala Mirowska szczególnie rzucano się to w oczy. Stoiska niedawno wypełnione najprzeróżniejszymi produktami prawie świeciły pustakami, a tam, gdzie sprzedawcy wykładali lepszy towar, natychmiast ustawiały się długie kolejki. Wszystko wykupowano na pniu – jeśli nie na bieżące potrzeby, to na zapas. Ceny rosły z dnia na dzień.

– I tak nie wystarczyłoby dla nas – powiedziała już normalnym tonem starsza z siostr, kiedy dotarły w pobliże wyjścia.

– Wołowina wyglądała paskudnie, a pachniała jeszcze gorzej.

– Zauważyłam. – Julia zmarszczyła nos. – Liczę, że z tego, co kupiliśmy, Balbina zdoła coś wyczarować.

– Jeszcze trochę, a zostaniemy jaroszkami. – Pola zajrzała do koszyka, w którym spoczywały ich dzisiejsze trofea, czyli nieco podeschnięta marchew, cebula, kilkanaście jajek, spore zawiniątko z twarogiem oraz oselka masła. Wolała nawet nie myśleć, ile to wszystko kosztowało.

Bez ociągania wyszły na zewnątrz, gdzie natychmiast z wścieklą siłą uderzył w nie wiatr. Tyle dobrego, że niebo odrobinę się rozjaśniło, a siąpiący od rana deszcz wreszcie ustał.

– Zimno. – Pola wzдрыnęła się i poprawiając kołnierz płaszcza, zerknęła z nadzieją na szesnastkę wtaczającą się na plac Mirowski. Tramwaj był jednak tak zapchany, że nie dałoby się do niego wcisnąć nawet szpilki.

– Chodź. – Julia chwyciła ją za rękę. – Przejdziemy się dla rozgrzewki.

Niechętnie podreptała za siostrą w stronę zastawionego drewnianymi budami i straganami bazaru Janasza odgrodzonego od placu Mirowskiego metalową bramą. Pomna ostrzeżeń Balbiny, mocniej ścisnęła kabląk koszyka i z zaciekawieniem zerknęła w stronę miejsca, którego jeszcze nigdy nie odwiedziła. Tam także widać było opustoszałe stragany i ciżbę ludzi. Inna sprawa, że przy tym ciasnym i nieco obskurnym bazarze ceglane hale o zdobnych elewacjach sprawiały wrażenie jeszcze bardziej monumentalnych.

Uparcie przepychając się przez tłum, dotarły do Rynkowej i ruszyły w stronę placu Grzybowskiego, skąd miały już niedaleko do domu.

– Daj mi to. – Julia odebrała od niej kosz z zakupami. – Teraz moja kolej.

Pola choć starała się nie pokazywać tego po sobie, odetchnęła z ulgą; ciężar zaczynał mocno jej doskwierać.

Po kilku minutach rażnego marszu rzeczywiście zrobiło się jej cieplej; mury kamienic stanowiły dodatkową ochronę przed wiatrem. Niestety niebo znowu przysłoniły chmury, a najmłodsza Kellerówna zdała sobie sprawę, że w ostatnich dniach całe miasto poszarzało i posmutniało, jakby padł na nie cień. Może przyczyniły się do tego uparcie powtarzane plotki, że wielka niemiecka ofensywa

ruszyła z okolic Krakowa i Częstochowy w kierunku Iwanogrodu i Warszawy. Wrogie wojska szły ku nim także od strony Piotrkowa i Radomia.

Co prawda wojenny generał-gubernator Turbin wydał oficjalne oświadczenie, że zarówno miastu, jak i jego okolicom nic nie zagraża, ale ludzie wiedzieli swoje. Niektórzy, w tym kolejne grupy rosyjskich urzędników, w poplochu ewakuowali się na wschód, zaś z zachodu nadciągały liczne grupy przerażonych uciekinierów, których zmuszono do porzucenia domów. Ciocia Klara pracowała tak ciężko, że prawie jej nie widywały; wpadała do domu tylko po to, aby się odświeżyć i przebrać, a potem biegła z powrotem do pracy. Bratanice spoglądały na nią ze zdumieniem, gdyż nie spodziewały się, że wiecznie podenerwowana i lękająca się własnego cienia ciotka, jest zdolna do takich poświęceń.

– Gdyby rok temu ktoś mi powiedział, że będę stać w kolejce po kartofle, uznałabym, że oszalała – powiedziała Julia. – Myślałam, że będę już mężatką.

– Tęsknisz za panem Andrzejem? – wypaliła bez zastanowienia Pola.

Siostra zatrzymała się gwałtownie i wbiła w nią zdumiony wzrok.

– Skąd wiesz, że myślałam właśnie o nim?

Andrzej Turzyniecki był synem zamożnego obywatela ziemskiego z okolic Białegostoku i jednym z licznych wielbicieli Julii. Adorował ją tak wytrwale, że obie rodziny spodziewały się rychłych zaręczyn. Pola natychmiast pożałowała, że poruszyła drażliwy temat.

– Znowu pchasz nos w cudze sprawy – prychnęła starsza Kellerówna, ale ani w jej głosie, ani w spojrzeniu nie było złości, raczej rezygnacja. Mimo ciężkich zakupów szła tak szybko, że młodsza siostra ledwo mogła za nią nadążyć. – Myślałam, że Andrzej jest kimś szczególnym – rzuciła, kiedy w końcu zrównały krok. – I że się oświadczy. Chciałam, żeby się oświadczył. A on uciekł razem z innymi. Nie chodziło mu o mnie, tylko o majątek.

– Dlatego zamierzasz zrobić to samo?

– Co masz na myśli? – Julia spojrzała na siostrę z dezaprobatą.

– Czy zamierzasz poślubić pieniądze? – Uściśliła, starając się opanować przyspieszony oddech. – Żeby zemścić się na tych, co cię zostawili?

– Nie opowiadaj głupstw! Chcę tylko żyć jak dawniej.

Pola pomyślała, że cokolwiek by zrobiły i jakkolwiek się starały, nie zdołają powrócić do minionych czasów. Nie miała jednak odwagi powiedzieć tego głośno.

– Nie cierpię tej biedy – kontynuowała Julia ze złością. – I tej kamienicy.

– Zaglądałaś kiedyś do sutereny? – zapytała młodsza zirytowana dziecinnym zachowaniem siostry. – Widziałaś jak tam mieszkają ludzie? My ciągle opływamy w luksusy.

– Jesteś smarkata i nic nie rozumiesz! – Julia demonstracyjnie postawiła koszyk na środku chodnika, a potem prawie biegiem rzuciła się w kierunku domu.

Zrezygnowana Pola podniosła ciężkie zakupy i ruszyła we własnym niespiesznym tempie. Wspięła się na drugie piętro wąskimi kuchennymi schodami, na których należało zachować czujność, bo nie dość, że panował tam półmrok, to na dodatek służące sąsiadów wystawiały za drzwi przeróżne rzeczy – balie, tarki, wiadra, puste doniczki – których akurat nie potrzebowały.

– Jest panienska. – W progu natychmiast stanęła Balbina. – Ależ ciężar. – Sięgnęła po koszyk i zważyła go w dłoni. – I panienska sama to przystaręgała?

– Tylko kawałek – odparła zgodnie z prawdą. Nie chciała, aby babcia, która akurat zajrzała do kuchni, prawdy Julii morały. – Mam nadzieję, że zda się to Balbinie na coś. Mięsa niestety nie dostałyśmy.

– Obiad będzie, jak się patrzy – powiedziała służąca, kiedy zajrzała do koszyka.

– Musisz napić się herbaty na rozgrzewkę – zaordynowała babcia Adela. – Nie przeszkadzajmy Balbinie, chodźmy do salonu.

W mieszkaniu panował rześki chłód, gdyż oszczędzały opał. Zresztą po forsownej wędrówce Pola wciąż była rozgrzana i wcale jej to nie przeszkadzało.

– Julia znowu nie w humorze? – zapytała starsza dama, kiedy już zajęła swoje stałe miejsce za stołem. – Wpadła do domu jak burza i chyba zarygłowała drzwi do pokoju.

– W taką pogodę trudno o dobry nastrój – wyjaśniła dyplomatycznie najmłodsza Kellerówna, podchodząc do samowara. Przez chwilę trzymała nad nim dłonie, ciesząc się przyjemnym ciepłem, a potem przystąpiła do parzenia herbaty. – Czy babcia też sobie życzy?

– Jeszcze nie wypilał poprzedniej.

Posłodziła napar, wrzuciła do niego cieniutki plasterek cytryny zakupionej za bajońską kwotę na czarnym rynku – cóż, nie mogły odmówić sobie tej odrobiny przyjemności – a potem usiadła naprzeciwko Adeli. Pora wciąż była wczesna, sporo czasu brakowało do południa, ale poczuła, że nie ma już ochoty nigdzie wychodzić.

– A z dobrych wieści – odezwała się znowu babcia – kupiliśmy węgiel.

– Naprawdę? – Pola nie kryła radości. Jakiś czas temu Warszawa utraciła połączenie kolejowe z Zagłębiem Dąbrowskim, więc węgiel stał się jednym z najbardziej deficytowych i poszukiwanych towarów. Nie mogła zdobyć go nawet ciotka Klara, która miała rozległe kontakty.

– Imaginuj sobie, że szwagier kumy siostry Balbiny... albo jakoś tak. – Adela stropiła się na moment. – W każdym razie ten człowiek pracuje w składzie opału. Dziś rano odwiedziłyśmy go z Balbiną i załatwiłyśmy, co trzeba. Jutro wozak przywiezie całą furę donieckiego węgla. Trzeba będzie przypilnować, żeby zniósł wszystko do piwnicy.

Pola była pewna, że rankiem babcia i służąca poszły do kościoła, a tymczasem one załatwiały interesy. Niewiarygodne.

– Balbina naprawdę spadła nam z nieba – powiedziała. – Czuję się z nią bardziej domowo – dodała i zamilkła zawstydzona.

– Cieszę się z tego węgla, jak niegdyś z pereł od twojego dziadka... – stwierdziła ze smutkiem Adela. – Świat naprawdę zmierza ku katastrofie. A na dodatek zabrakło mi koniaku.

– Zrobię babci jeszcze jedną herbatę.

Ledwo zdążyła wstać, gdy ktoś energicznie zapukał do drzwi wejściowych. Spojrzała na Adelę, która pokręciła przecząco głową, co oznaczało, że tego dnia nie oczekiwała żadnych gości. Bez słowa i z duszą na ramieniu Pola powędrowała do przedpokoju.

– Przesyłka. – Usłyszała, kiedy odsłoniła wizjer i ostrożnie zerknęła na korytarz.

Rzeczywiście, na klatce schodowej stał młody chłopak w charakterystycznej żółtej czapce, dzierżący w dłoniach ogromny bukiet złocistych chryzantem. Pola odetchnęła z ulgą.

– Dzień dobry – zaczął szybko posłaniec, kiedy tylko otworzyła drzwi. – Kwiaty dla panny Julii Kellerówny.

Nie zdziwiła się wcale, Julia dostała już trzy podobne bukiety, wszystkie od tego samego mężczyzny.

– Już ją proszę. – Wpuściła chłopaka do holu i wyruszyła na poszukiwania siostry. Bez problemu weszła do ich wspólnego pokoju, bo drzwi wcale nie były zamknięte. – Moja droga, czy mogłabyś pójść do przedpokoju? Dostałaś przesyłkę.

– Jaką znowu przesyłkę? – zapytała Julia, podnosząc głowę z poduszki; miała zaczerwienione i podpuchnięte oczy.

– Kwiaty.

– Znowu?! Wyrzuć je na śmietnik!

Nie zamierzała chyba powiedzieć ani słowa więcej, gdyż ostentacyjnie odwróciła się do ściany. Pola wycofała się bezszelestnie.

– Siostra źle się czuje – powiedziała, wyciągając z kieszeni kilka monet. – Sama je odbiorę i zaraz jej zaniosę.

Kiedy zamknęła drzwi za posłańcem, z przyjemnością przyjrzała się wiązance. W poprzednim życiu Zosia i Julia dostawały od wielbicieli róże, fiołki i tuberozy, ale teraz łatwiej było o chryzantemy. Te prezentowały się wyjątkowo wspaniale, więc może siostra zmieni zdanie, kiedy zobaczy je na własne oczy; nie namyślając się dłużej, wróciła do pokoju.

– Popatrz tylko, jakie wspaniale.

– Mówiłam, żebyś wyrzuciła te badyle do śmieci. – Julia niechętnie podniosła się z łóżka, wytarła oczy wierzchem dłoni i spojrzała w taki sposób, że Pola poczuła się niepewnie.

– Zrobiło mi się ich szkoda – wyjąkała, spuszczać głowę. – Powinnaś porozmawiać z panem doktorem Warlińskim i powiedzieć mu wprost, że nie jesteś zainteresowana. Pewnie myśli, że ma jakąś szansę.

Siostra bez słowa wyjęła kwiaty z jej rąk i szybko odnalazła załączoną do nich wizytówkę. Następnie, upewniwszy się co do osoby ofiarodawcy, rzuciła ją ze złością na podłogę i przydeptała obcasem. Chryzantemy zaś bezlitośnie wyrzuciła na korytarz.

– Idź sobie! – Wypchnęła Polę na zewnątrz w ślad za bukietem, a potem naprawdę przekreśliła klucz w zamku.

Wystraszona dziewczyna w pierwszej chwili nie wiedziała, co zrobić; bezradnie spoglądała to na zbezczeszczoną wiązanekę, to na niedostępne już dla niej wejście do pokoju, następnie przykućnęła i zaczęła zbierać porozrzucane kwiaty.

– Co tu się dzieje? – W przedpokoju pojawiła się zaniepokojona Adela.

– Julia dostała przesyłkę – odparła, pokazując babci naręcze uratowanych chryzantem.

– Jakie piękne... Od doktora?

– Chyba tak, bo podeptała wizytówkę.

– Szkoda, że traktuje go w taki sposób. – Starsza dama westchnęła. – Rządca już dwa razy pytał, gdzie jest Zofia. Na razie tłumaczę, że pojechała do znajomych na wieś po zapasy, ale boję się, że niedługo zajrzy tu stójkowy z cyrkułu. Ktoś z kontaktami w policji bardzo by nam się przydał.

– Nie podejrzewałam, że babcia jest taka praktyczna – zaśmiała się Pola.

– Ja też nie, moje dziecko... Może inaczej: zapomniałam o tym dawno temu, zaś ostatnio muszę sobie przypominać. – Adela zawróciła do salonu. – A Bóg mi świadkiem, wcale tego nie chcę.

2.

Miała wrażenie, że ledwo przyłożyła głowę do poduszki i zasnęła, a już ktoś zaczął ją budzić. Niechętnie otworzyła oczy; w pokoju panował półmrok i z trudem rozróżniała kontury mebli.

– „Mira”, wstawaj – rzuciła przenikliwym szeptem pochylająca się nad nią „Marta”. – Wstawaj, „Świętopełk” przyjechał i chce z tobą rozmawiać. Natychmiast.

– Która godzina?

– Prawie jedenasta. Pospiesz się.

Próbując stłumić ziewanie, wygrzebała się z posłania. Czowała ból całego ciała zmęczonego forsowną drogą. Plan podróży szybko uległ zmianie. Kolejka grójecka dojechała tylko do Piaseczna, a potem Zofia długo szła lasami przez chaszczce i błota, starając się nie wpaść w ręce żandarmerii. Z wojskowymi potrafiła dogadać się o wiele skuteczniej, zwłaszcza że było wśród nich wielu Polaków. Choć, szczerze mówiąc, denerwowała się okrutnie, kiedy spotykała rodaków w rosyjskich mundurach; stanowili żywy dowód moskiewskiego triumfu nad mieszkańcami Kraju Nadwiślańskiego.

W okolicach Radomia przenocowała w zaprzyjaźnionym domu, a potem, po raz pierwszy, opuściło ją szczęście: trafiała na żandarmów, których nie obchodziły żadne tłumaczenia. Nie znaleźli przy niej jednak nic podejrzanego, a i paszport został doskonale podrobiony, więc po kilku godzinach aresztu

puścili ją wolno. W Piotrkowie nie doczekała się pociągu w kierunku Zagłębia, więc musiała szukać jakiejś konnej fury. Tyle dobrego, że w razie wypadki po niemieckiej stronie frontu nie groziło jej więzienie; dowództwo za pośrednictwem Austriaków w ostateczności dałoby radę wyciągnąć ją z kłopotów.

Wczoraj późnym wieczorem dotarła do Dąbrowy, a następnie do Zagorza i kiedy przekazała obywatelce „Oli”² wszystkie raporty, mogła wreszcie oddechnąć.

Przemyła twarz lodowatą wodą, przygładziła włosy niesforne wysuwające się z warkocza, poprawiła bluzkę, a potem narzuciła na ramiona żakiet. Była gotowa. Po wąskich, niedoświetlonych schodach zeszła za „Martą” na dół.

Biuro Oddziału Wywiadowczego mieściło się w niewielkim białym dworze otoczonym ogrodem, który w lecie zapewne wyglądał pięknie, ale teraz sprawiał wrażenie opuszczonego.

– O, jesteś już. – „Ola”, która wyszła z pokoju przeznaczanego na kancelarię, ucieszyła się na jej widok. Pomyślała, że w dziennym świetle komendantka wygląda, jakby od tygodnia nie zmrużyła oka. – Chodź.

W kancelarii zastała dwóch mężczyzn. W jednym z nich, bladym i gładko ogolonym, rozpoznała „Świętopelka”³, komendanta całego Oddziału. Towarzyszył mu „Stary”⁴, jego zastępca.

– Panie kapitanie... – zaczęła, przycupując się służbiście.

– Siadaj. – „Świętopelk” natychmiast wpadł jej w słowo. – Nie ma czasu na grzeczności. – Mów, którędy szłaś i co widziałas po drodze.

Z ulgą klapnęła na krzesło, a „Stary” bez słowa rozłożył przed nią mapę. Rzuciła tylko na nią okiem, nie musiała jej długo studiować, gdyż cała droga wryła się jej w pamięć. Nie miała najmniejszych problemów, aby odtworzyć ją krok po kroku, wiorsta po wiorście. „Stary” notował każde jej słowo. Kiedy jednak zaczęła mówić o oddziałach rosyjskiego wojska, które spotkała i które obserwowała nader uważnie, nagle poczuła pustkę w głowie. „Stary” klepnął ją lekko w ramię i mruknął:

– Spokojnie. Chcesz herbaty?

– Nie. – Pokręciła przecząco głową, wściekła na samą siebie. Co za kompromitacja! Spotkanie z rodziną nie wpłynęło na nią najlepiej.

– Przypomnij sobie – ponaglił ją „Świętopelk”, nie spuszczać z niej baczego spojrzenia. Sam wcale nie wyglądał na zdenerwowanego.

Przygryzła wargę, odetchnęła mocno, a wtedy, jeden za drugim, przed jej oczami zaczęły przesuwają się obrazy zapamiętane z drogi. Numery i liczebność oddziałów. Uzbrojenie i cała reszta wyposażenia. Nastroje żołnierzy.

– Zuch dziewczyna – rzucił dowódca, kiedy skończyła mówić.

Zerknęła na wiszącą na ścianie zegar. Dochodziła pierwsza po południu.

3.

Zapiski Poli

Armaty walą dzień i noc, co oznacza, że Niemcy już stanęli pod Warszawą. Co prawda gubernator Turbin ostatnio uspokajał, że mieszkańcom nie grozi niebezpieczeństwo, ale nikt mu nie wierzył i w mieście zapanowała nieledwie panika.

My też ulegliśmy jej na chwilę i rozważaliśmy, czy dokądś nie wyjechać, ale babcia oświadczyła, że jeszcze nie narodził się taki Niemiec, który mógłby ją skłonić do opuszczenia rodzinnego miasta, i tym samym zakończyła dyskusję.

Boję się Niemców. Wszyscy opowiadają mrozące krew w żyłach historie o tym, co zaszło w Kaliszu, wciąż można spotkać wielu uciekinierów stamtąd, dlatego zdają sobie sprawę, co może wydarzyć się w razie klęski rosyjskiej armii. Nie będę jednak klamać – ulżyło mi, że zostajemy. Nie wyobrażam sobie kolejnej przeprowadzki. Zwłaszcza takiej, nie wiadomo dokąd. Co prawda nasi krewni ze strony mamy żyją, ale mieszkają za Łowiczem, a to nie jest kierunek, w którym powinniśmy uciekać. Musiałibyśmy też zostawić większość naszych rzeczy i wtedy już naprawdę zostałybyśmy z niczym. Gdybyśmy kiedyś wróciły do Warszawy, to chyba – jak raz po raz powtarza Julia – prosto pod most.

Wciąż jest nadzieja, że się obronimy. Tym bardziej że Rosjanie ponoć zamierzają ściągnąć posiłki aż z Syberii.

Najgorsze, że wszystkie wieści czerpiemy z plotek. Gazety drukują tylko krótkie depesze z frontu i wychwalają męstwo żołnierzy, a my coraz bardziej boimy się tego, o czym nie piszą. Każdego wieczoru modlimy się żarliwie, aby Bóg zakończył tę przeklętą wojnę. Wszak mamy XX wiek! Ludzie powinni już porzucić barbarzyńskie zwyczaje i nauczyć się rozwiązywania konfliktów w cywilizowany sposób.

Ciocia Klara zgodziła się wreszcie, aby Julia pomagała jej w sekcji bezdomnych. Tylko dlatego że panie z Komitetu Obywatelskiego nie nadążają z pracą, choć urabiają sobie ręce po łokcie. Julia nic nie mówi, ale sądząc po jej minie, nie jest wcale zachwycona nowym zajęciem – zapewne inaczej wyobrażała sobie dobroczynność.

Nina od kilku dni wraca do domu coraz później. Jest tak zmęczona, że żadna z nas nie oczekuje od niej sprawozdań, ale z jej nielicznych opowieści wynika, że najgorsze dopiero nadciąga.

Chciałabym też coś robić, ale moich chęci nikt nie traktuje poważnie. Kiedy zapytałam ciocię Klarę, czy nie mogłabym też do niej dołączyć, spojrzała na mnie tak, jakby wyrosła mi trzecia ręka. O kursie sanitarnym woleń na razie nie wspominam.

Zosi nadal nie ma.

4.

Pod bramą szpitala zatrzymało się pierwsze auto oznaczone czerwonym krzyżem. Sanitariusze wynieśli z niego nieprzytomnych żołnierzy w prowizorycznych opatrunkach przesiąkniętych krwią. Potem, coraz szybciej i szybciej, podjeżdżały kolejne sanitarki, wreszcie konne wozy, a ranni zaczęli zapelniać sale: aby przygotować dla nich miejsce, wcześniejszych pacjentów wysyłano do domów albo w głąb Cesarstwa. Wzwyż dochodziły okrzyki i nawoływania personelu – po polsku i rosyjsku – oraz jęki rannych.

W ciągu zaledwie kilku godzin spokojny lazaret zmienił się nie do poznania. Sale operacyjne zaczęły przypominać taśmy produkcyjne w jakiejś upiornej fabryce. Raz – pacjent na stół. Dwa – usypianie i operacja. Trzy – pacjent ze stołu. Cztery – krótka przerwa na zmianę fartucha i rękawiczek. A potem to samo od nowa i od nowa.

Wreszcie, gdy dyżur dobiegł końca, Nina wyszła z sali i tak jak stała – w czepku i zakrwawionym fartuchu – opadła na ławkę. Bolał ją kręgosłup, drętwiały ręce i pękała głowa. Z trudem ściągnęła gumową rękawiczkę, przetarła oczy wierzchem dłoni i spojrzała w okno. Na zewnątrz panowała ciemność. Zupełnie tak samo, jak wtedy, gdy zaczynała pracę.

Chirurdzy operowali przez dwanaście ciągnących się w nieskończoność godzin. I to prawie bez przerwy. A ona stała przy stole razem z nimi. Do dziś nie sądziła, że coś takiego jest w ogóle możliwe.

W ciągu minionej nocy dowiedziała się o sobie wielu nowych rzeczy. Przede wszystkim tego, że nawet w tak okropnych warunkach potrafi zacisnąć zęby i robić to, co do niej należy.

– Napije się siostra kawę? – Siostra Aniela, jedna z pracujących w szpitalu zakonnicek, podała jej kubek. – Dobrze siostrze zrobi.

W pierwszej chwili zamierzała odmówić, ale od wielu godzin nie miała niczego w ustach. Szybko wypła kilka łyków naparu, wcale nie czując smaku. Nagle drzwi od sali operacyjnej stanęły otworem i znowu to poczuła – ten okropny słodkawy zapach. Myślała, że już do niego przywykła. Niestety, pomyliła się. Napój podszedł jej do gardła. Zerwała się z ławki i biegiem rzuciła do łazienki. Zdążyła w ostatniej chwili.

Mimo pustego żołądka i tak wymiotowała bardzo długo. Fale mdłości następowały jedna za drugą. Kręciło się jej w głowie, a kiedy pomyślała, że zaraz zemdleje, ktoś chwycił ją za ramię i przytrzymał bardzo mocno. Kątem oka dostrzegła doktora Zawilskiego.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, zanim doszła do siebie. Otarła usta rękawem fartucha i odwróciła się wolno, dopiero wtedy chirurg ją puścił.

– Dziękuję – wykrztusiła z trudem, zawstydzona swoją słabością. – Przepraszam.

– To normalna reakcja – odparł lekarz. – W czasie operacji spała się siostra doskonale. Proszę odpocząć.

– Ma pan doktor rację. – Spróbowała się uśmiechnąć. – Lepiej pójść do domu.

– Natychmiast. To rozkaz! W końcu jesteśmy w wojskowym szpitalu.

– Tak jest. – Udała, że mu salutuje.

Zaśmiała się cicho, a potem podszedł do najbliższej umywalni. Przynął bliżej rezerwuar z płynem dezynfekującym i zaczął metodycznie szorować ręce; jego praca jeszcze nie dobiegła końca. Ninka zaś zdjęła fartuch i czepek, a potem wrzuciła je do kosza z brudną bielizną. Nie chciała przeszkadzać doktorowi, stanęła więc przy ostatnim z długiego rzędu zlewów i tam doprowadziła się do porządku. Przepłukała usta, umyła twarz, poprawiła szpilki wysuwające się z upiętego w kok warkocza, w końcu uznała, że może iść; kwadrans temu minęła szósta. Wyjęła z szafki kapelus i przypięła go do włosów, a potem narzuciła na siebie płaszcz.

Jednocześnie witając się i żegnając z koleżankami, które rozpoczynały dyżur, minęła pokój sterylizacyjny, gabinet stomatologiczny i rentgenowski, po czym dotarła do drzwi oddzielających część piętra, którą doktor Kijewski lubił nazywać swoim „sanatorium” chirurgicznym, od tej, w której znajdowały się oddziały szpitalne. Na korytarzu nie zauważyła rannych, pomyślała więc z ulgą, że sytuacja została opanowana i personel zdola nieco odetchnąć.

Ledwo dotarła do klatki schodowej, usłyszała gwar dochodzący z dołu. Przechyliła się przez balustradę i ujrzała coś, co ją przeraziło. Cały ogromny hol na parterze zajmowali ranni; niektórzy siedzieli samodzielnie na krzesłach lub pod ścianami, ale większość leżała na podłodze. Między poustawianymi ciasno noszami lawirowali doktor Perlman i doktor Ustupski, starając się jak najsprawniej przeprowadzić triaż, zaś pani Bispingowa wraz z kilkoma pielęgniarkami – wśród nich była także Sabina – spisywały pospiesznie dane przywiezionych żołnierzy; brakowało czasu, aby zabierać ich kolejno do kancelarii.

– Na zewnątrz czeka prawie drugie tyle. – Obok niej zatrzymała się panna Kijewska, córka lekarza naczelnego i współpracowniczka pani Bispingowej. – Musimy wezwać więcej personelu. Otworzyć dodatkowe sale... Siostra skończyła już dyżur?

– Tak – odparła, a potem sięgnęła po płaszcz, który zsunął się jej z ramion i spadł na posadzkę. Ledwo go podniosła, już wiedziała, co powinna zrobić. – Mogę zostać dłużej, jeśli trzeba.

– Jest siostra pewna, że da radę? – zapytała z wahaniem panna Kijewska.

Nina jeszcze raz spojrzała w dół.

– Przecież nie można zostawić ich bez pomocy.

- Balbina przysłała ci ciepłe mleko – powiedziała Pola, stawiając fajansowy kubek na szafce przy jej łóżku. – Może jak wypijesz, zaśniesz choć na chwilę.
- Skąd wiesz, że nie śpię? – Zaniepokojona Nina wygrzebała się spod koldry; od dziecka nakrywała się po samą głowę i nie umiała tego zmienić. – Umiesz czytać w myślach?
- W całym domu słychać, jak rżęzą sprężyny. – Młodsza siostra klapnęła na puste łóżko Zofii, które jakby na potwierdzenie jej słów zgrzytnęło metalicznie i złowrogo. – Julia mówi, że w końcu zarwą się pod tobą i połamiesz żebra.
- Rzeczywiście, mimo potwornego zmęczenia wciąż przewracała się z boku na bok, próbując znaleźć najwygodniejszą pozycję, a jeśli nawet zaśnęła, to zaraz budziła się ze strachem.
- Nie mogę się uspokoić. Jak tylko zamknę oczy, to widzę... – Urwała.
- Widziała krew – zasychającą, płynącą, sączącą się i tryskającą z ran – a także rozplatane brzuchy, amputowane kończyny, podziurawione płuca i nieruchome spojrzenia tych, którzy nie zdołali przeżyć operacji. Nawet tutaj czuła tę nieznośną słodko-metaliczną woń. Nie zamierzała opowiadać o swych przeżyciach najmłodszej i najwrażliwszej z siostr. Nich przynajmniej ona zachowa złudzenia.
- Chciałabym pójść na kurs dla sanitariuszek. – Pola zerknęła na nią niepewnie. – Ale nie wiem, jak przekonać ciocię, żeby mi pozwoliła.
- Chyba żartujesz?! – Nina zerwała się z poduszki. – Po moim trupie! Nie masz pojęcia, jaka to praca! Co tam się wyprawia... Zresztą jesteś za młoda, żeby ktoś wpuścił cię do szpitala – dodała spokojniejszym tonem, gdyż przypomniawszy sobie, co stanowią przepisy Komitetu Pomocy Sanitarnej. Zanim Pola skończy dwadzieścia jeden lat, wszyscy zdążą zapomnieć o wojnie.
- Powinnam wiedzieć, jak pomagać ludziom. Co będzie, gdy Niemcy wejdą do Warszawy i zrobią to samo, co w Kaliszu?
- Nie wejdą. – Starła się, aby jej słowa zabrzmiały jak najbardziej przekonująco. – Nasze wojsko im nie pozwoli. Poza tym ja znam się na pomaganiu ludziom. Zosia zapewne też... – dodała ostrożnie, choć od dawna podejrzania, że starsza siostra studiowała w Krakowie nie tylko przyrodoznawstwo. – Wystarczy sanitariuszek jak na jedną rodzinę. Nie zawracaj sobie tym głowy.
- Ciągłe jesteś w szpitalu – przypomniawszy jej przytomnie Pola. – A Zosi – rozejrzała się po pokoju – jak widać, nie ma. Muszę liczyć tylko na siebie. A jak coś stanie się babci?
- Nie dyskutuj ze mną. – Uniosła rękę w ostrzegawczym geście. – Pielęgniarstwo nie jest dla ciebie. A Zosia... Zosia wróci, zanim się obejrzy.
- Gdzie ona się podziewa? – Pola przesiadła się na jej łóżko i wbiła w nią czujne spojrzenie. Nina zrozumiwała, że dziewczyna nie da się zbyć byle kłamstwem.
- Nie wiem – powiedziała cicho. – Mogę się tylko domyślać.
- Dzielił jej niespełna rok, miały z Zofią tych samych rodziców, te same niańki i bony, te same zabawki i te same książki, ale Nina i tak nie potrafiła jej zrozumieć. Starsza siostra od zawsze błyszczała i przykuwała uwagę. Mama i tatko uwielbiali ją i psuli, profesorowie na pensji nie mogli nachwalić się jej zdolności, warszawskie matrony zachwycały się urodą i manierami, zaś wielbiciele zabijali się o jeden uśmiech. Nina przez lata, ze zdumieniem i nawet pewną fascynacją, obserwowała, jak Zosia kaprysi, robi, co chce, przekracza kolejne granice i wszystko uchodzi jej na sucho.
- Sama stała w cieniu. I nie, nie czuła zazdrości, tylko czasami budziła się w niej złość, kiedy siostra w swej niefrasobliwości zamykała jakąś furtkę, z której ona planowała akurat skorzystać.
- Ninko, czy Zosia jest zdraczkinią? – Pytanie Poli przywołało ją do rzeczywistości.
- Bój się Boga! Co ci przyszło do głowy?
- Ona czasami dziwnie się zachowuje albo mówi takie rzeczy. Gdyby jakiś żandarm ją usłyszał...
- Zosia ma po prostu inne zdanie. Wierzę, że to Austria pomoże nam odzyskać Polskę i to raczej ona uważa, że my... – Urwała.
- ...jesteśmy zdraczkiniami? – dokończyła Pola.

Pokiwała głową i nagle uświadomiła sobie, że nie docenia młodszej siostry, która w przeciwieństwie do niej, Julii, a nawet samej Zofii nie boi się nazywać rzeczy po imieniu.

ROZDZIAŁ VI

I.

– Najbardziej nie mogę znieść tego – powiedziała Zofia, obejmując dłońmi szklanekę z ciepłą herbatą – że oni uważają Rosjan... tych ruskich żołdatów za swoich żołnierzy. Rozumiesz?

– Oni? – „Marta” z uśmiechem pokręciła głową. – Zapomniałaś, że tam jest twój dom?

Siedziały we dwie przy stole w pokoju, który służył ich komendantce za biuro. Zrobiły już wszystko, co zleciła im „Ola”, do tego niedawno skończył się obiad, mogły więc odpocząć. Choć Zofia uważała, że nie namęczyły się zbytnio; cóż, nie znosiła beczynności, a w ciągu kilku dni spędzonych w Zagórzu odzyskała siły i już rwała się do drogi. W okolicach Warszawy toczyła się bitwa i tam mogła być teraz potrzebna.

– Pamiętam – odparła, unikając wzroku koleżanki. – Pamiętam też, dlaczego przyjechałam na studia do Krakowa.

Wszyscy – rodzina, przyjaciele, znajomi – dziwili się, że na miejsce swojej edukacji wybrała Uniwersytet Jagielloński, w końcu pieniądze ojca umożliwiały jej podjęcie studiów na najlepszych uczelniach Europy. Nie planowała jednak wyjeżdżać ani do Zurychu, ani do Paryża, bo to w Krakowie działy się rzeczy, w których koniecznie chciała uczestniczyć.

Szybko pokochała starą stolicę. Za jej piękno i historię, która czała się za każdym rogiem, ale przede wszystkim za możliwości, jakie dawała. Monarchii Austro-Węgierskiej, sklejonej z kilkunastu różnych nacji, nie zależało na wynaradawianiu poddanych. W Galicji kwitła więc polska kultura, na Uniwersytecie wykłady odbywały się po polsku i wszędzie – na ulicach, w kawiarniach – dało się słyszeć ludzi rozmawiających w rodzinnej mowie.

– Nie wierzę, że ojciec wydałby cię za mąż siłą – powiedziała nagle koleżanka.

– Siłą? – Uśmiechnęła się. – Ależ skąd! Tatko był uroczym i cywilizowanym człowiekiem. Namawiałby mnie do tego ślubu po dobroci, ale tak długo, że wreszcie zgodziłabym się dla świętego spokoju.

– Nie odpowiadał ci kandydat?

– Och, znaliśmy się lata i nawet go lubiłam. Studiował na politechnice w Zurychu i miał widoki na spadek po bezdzietnym wuju-fabrykancie. Problem w tym, że zawsze śmiertelnie mnie nudził. Od dziecka interesował się tylko budową mostów i maszynami. Wolałam nie sprawdzać, ale chyba nie znał na pamięć ani jednego wiersza.

– Rzeczywiście do ciebie nie pasował.

– Myślałam też, że w Warszawie się uduszę – kontynuowała, zadowolona, że koleżanka potrafi ją zrozumieć. – Nie wychowałaś się w Królestwie i nie wiesz, jak to jest, kiedy Moskale dociskają cię podkutym buciorem do ziemi. Nie znoszę ich jak zarazy.

– We Lwowie, a i w Krakowie rzeczywiście oddycha się swobodniej. Choć jeszcze nie pełną piersią.

– W Krakowie tyle się działo... A ja naczytałam się Mickiewicza i Słowackiego i marzyłam walczyć o Polskę... Nie śmiej się ze mnie. Wiem, że byłam egzaltowaną pannicą, ale szybko mi przeszło. Zaczęłam też studia, bo inaczej ojciec znalazłby sposób, by sprowadzić mnie do domu.

– A kiedy wstąpiłaś do Drużyn?

– W listopadzie dwunastego roku... Zaraz po tym, jak zaczęli przyjmować kobiety. Dopiero wtedy poczułam, że naprawdę żyję. Chciałabym, żeby i moje siostry...

– Przekonamy je, że racja jest po naszej stronie.

– Kiedy? Ninka pracuje w rosyjskim szpitalu! Jesteś w stanie wyobrazić sobie coś takiego? Pielęgniue rannych Moskali i uważa to za swój obowiązek. A ja nie mogłam wybić jej tego z głowy. Wystarczyło, że wspomniałam o Komendancie, a ciotka już rzuciła mi się do gardła. Zaczęłam żałować, że do nich wróciłam.

– Bądź bardziej wyrozumiała. W końcu przeżyły tragedię.

– Ja też.

– One widziały ją na własne oczy.

Zofia umilkła i nagle pomyślała o Nince, która ponoć jako pierwsza znalazła ciało ojca. Co prawda nie dawała po sobie poznać, jak to ją poruszyło, ale przecież zawsze była skryta. Po śmierci mamy przez całe dni pocieszała młodsze dziewczęta, a nawet ją i ciotkę, sama zachowując spokój. O tym, że siostra po nocach płacze w poduszkę, Zofia dowiedziała się przypadkiem i nie miała pojęcia, jak pomóc. Ostatecznie nie zrobiła nic, więc teraz nie powinna jej osądzać.

Siedziały przez kilka minut w zupełnej ciszy, popijając herbatę, aż wreszcie usłyszały podekscytowane damskie głosy, a potem głośny tupot kroków na schodach. Do pokoju weszła najpierw komendantka „Ola”, a zaraz za nią porządnie wymęczone Hala i Grażyna, czyli koleżanki z Oddziału, które kilka dni po Zofii wyruszyły z Warszawy z kolejną porcją raportów. Dotarli szczęśliwie, co było nie lada wyczynem, zważywszy, że obie pochodziły z Galicji i ni w ząb nie znały rosyjskiego.

– „Mira”! – Ucieszona Hala, nie zważając na obecność „Oli”, rzuciła się jej na szyję. – Jesteś cała. Tak się martwiłyśmy, że poszłaś sama.

– Jestem cała – powtórzyła i uściśkała mocno koleżankę. – Niedługo wracam.

– Teraz pójdziesz me dwie. – Komendantka spojrzała najpierw na nią, a potem na „Martę”. – Zawsze to rażniej i bezpieczniej.

Zofia nie powiedziała tego głośno, ale bardzo się ucieszyła. „Martę” uważano powszechnie za jedną z najlepszych wywiadowczyń i kurierek, jakimi dysponowała Pierwsza Brygada. O jej wyczynach krążyły legendy – jak choćby ta, że namówiła samego generała, aby wystawił jej legalną przepustkę do twierdzy iwanogrodzkiej, gdzie jakoby szukała zaginionego narzeczonego. Narzeczony oczywiście nie istniał, a „Marta” wszystkie szkice, obserwacje i uwagi przekazała oczywiście do biura wywiadu.

– Idźcie na kolację – powiedziała „Ola”, a potem dodała jeszcze ze znaczącym uśmiechem: – Mamy gości.

Wyszły bez słowa, zostawiając dowódczynię z kurierkami. Jeśli przyjechał ktoś z samej góry, może nawet Komendant, który bywał tu regularnie, to istniała nadzieja... Zofia zwolniła kroku i zaczęła uważnie się rozglądać, ale nigdzie nie widziała znajomej postaci. Zrezygnowana, już wchodziła do jadalni, kiedy ktoś chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Po chwili stała wciśnięta w kąt tuż za załomem korytarza wiodącego do tylnego wyjścia z dworku. Bezpieczna i ukryta przed wzrokiem postronnych osób. Odgradzona od całego świata obejmującym ją męskim ramieniem. Mimo półmroku widziała wyraźnie ostre rysy swojego towarzysza, orli nos, jasne oczy, zawiadacki uśmiech.

– Jesteś – szepnęła, zarzucając mu rękę na szyję. – Nareszcie.

Mruknął coś w odpowiedzi, a potem – choć wydawało się to niemożliwe – objął ją jeszcze mocniej i pocałował tak łapczywie, że szybko zabrakło jej tchu. Nie zważała na to, nie pozwalała mu przestać ani odsunąć się choćby na cal. Od wielu dni umierała z tęsknoty i chciała wreszcie mieć go przy sobie. Jak najbliżej. Tutaj i teraz.

Nawet jeśli ktoś mógłby ich zobaczyć.

Od jakiegoś czasu Dolina Szwajcarska nie przypominała miejsca rozrywek warszawiaków, a raczej coś w rodzaju poczekalni dworcowej czwartej klasy. Zamiast wytwornych dam i towarzyszących im eleganckich mężczyzn kłębił się tu tłum zrozpaczonych i zdeorientowanych ludzi, którzy ze strachu przed nadciągającą armią niemiecką porzucili swoje domy. Zamieniona w tymczasowe schronisko wielka sala koncertowa nie rozbrzmiewała muzyką, ale nieustannym płaczem i lamentami, którym towarzyszył ponury akompaniament armatnich wystrzałów.

Uciekinierów wciąż przybywało i w budynku panował coraz większy ścisk. Ciotka Klara i inne panie z sekcji bezdomnych Komitetu Obywatelskiego nie ustawały w staraniach, aby znaleźć nowe miejsca dla kolejnych osób.

Julia, która wraz z pięcioma innymi paniami stała przy ogromnych kotłach i wydawała zziębniętym wygnańcom zupę, wyprostowała się na chwilę. Okropnie bolał ją kręgosłup i ramiona. Zaciśnęła jednak zęby i wróciła do pracy, gdyż ludzka masa, tylko z grubsza przypominający kolejkę, napierała coraz bardziej. Zupa parowała jej w twarz, a wokół unosiła się mocna woń gotowanej kapusty, której Kellerówna nie znosiła najbardziej na świecie.

Choć pracowała już kilka dni, nie spotkała tu żadnych interesujących mężczyzn – chyba wszyscy zostali powołani do wojska. Na posterunku został tylko siwy i wąsaty pan Żukowski, który przewodniczył w Komitecie sekcji bezdomnych, kilkudziesięciu zupełnie nieciekawych pomocników oraz mnóstwo zabieganych kobiet w różnym wieku, próbujących zapanować nad wszechobecnym chaosem.

Zdecydowanie nie odpowiadało jej to zajęcie. Nie zamierzała jednak zrezygnować i tym samym sprawić rodzinie satysfakcji. Jak to mawiają: słowo się rzekło, kasztanka u plotu. Nie po to przez kilka tygodni wierciła ciotce dziurę w brzuchu, aby teraz poddać się bez walki. Miała swój honor i nie na darmo uważano ją za największą uparciuchę w rodzinie. Postanowiła, że wytrzyma, ile będzie trzeba, i nikomu nie pokaże słabości. Inna sprawa, że z każdym dniem praca wydawała się jej łatwiejsza do zniesienia i tak angażująca, że brakowało czasu i siły na rozpamiętywanie przeszłości oraz zamartwianie się terażniejszością.

Wydawała właśnie nie wiadomo którą już miskę zupy z nie wiadomo którego gara – początkowo próbowała liczyć, ale szybko zrezygnowała – kiedy ktoś dotknął jej ramienia. Wciąż dzierząc w garści chochlę, odwróciła głowę i zobaczyła panią Zapiórkiewiczową. Do tej pory nie mogła przywyknąć, że zawsze strojnie ubrana koleżanka ciotki nosi teraz skromne ciemne stroje i kapelusze bez ozdób. Zresztą wszystkie panie z towarzystwa wyglądały podobnie; poprzedniego dnia Dolinę Szwajcarską odwiedziła sama księżna Lubomirska i Julia w pierwszej chwili nie zdołała jej rozpoznać.

– Julciu – zaczęła cicho pani Maria. – Idź i odpocznij. Stoisz tu już cztery godziny.

Doprawdy? Tak długo? Straciła rachubę czasu, widziała tylko głodnych ludzi, których należało nakarmić.

– Nie jestem zmęczona – odparła w przerwie między napełnianiem kolejnych misek. – Mogę zostać.

– Jesteś blada jak śmierć. Nie chcę, żebyś zemdleła i utopiła się w kapuśniaku. Zresztą pozostałe panie zostały zmienione i teraz twoja kolej na odpoczynek.

Rzeczywiście, przy pozostałych kotłach widziała inne osoby niż te, które zaczynały pracę razem z nią.

– Idź – ponagliła ją Zapiórkiewiczowa. – Ja cię zastąpię.

Nie mówiąc więcej ani słowa, oddała pani Marii chochlę i wycofała się w stronę pałacyku Towarzystwa Łyżwiarskiego, który obecnie służył sekcji bezdomnych jako biuro. Przemarzała, więc powinna wejść do środka i napić się gorącej herbaty. Tyle że w biurze kręciło się mnóstwo osób, a ona w tej chwili nie miała ochoty na rozmowę. Postanowiła więc przejść się dla rozgrzewki, choć pogoda wcale do tego nie zachęcała. Od samego rana dzień był ponury i ciemny, ale na szczęście nie padało.

Dokładniej zapieła palto, a potem starając się omijać największe grupy ludzi i nie wpaść pod żadną furmankę, dotarła do ulicy Chopina, którą przybywali kolejni potrzebujący pomocy. Odniosła

wrażenie, że nieco ich ubyło. Może więc do wieczora zdołają uporać się z najpilniejszą pracą. Ciotka Klara wspominała, że pan Żukowski prowadzi rozmowy z kilkoma fabrykantami na temat użyczenia przez nich tych hal fabrycznych lub magazynów, która akurat stały puste.

Ciekawe, co dzieje się obecnie z fabryką, która należała do jej rodziny. Intrygowało ją to od pewnego czasu, ponieważ gazety, które kilka miesięcy temu tak chętnie relacjonowały bankructwo i śmierć ojca, nie zająknęły się ani słowem o nowych właścicielach jego przedsiębiorstwa. Należałoby chyba wybrać się na Pragę i sprawdzić na własne oczy, kto tam teraz rezyduje.

Zatrzymała się gwałtownie i na moment wstrzymała oddech. Nie zauważyła, że nogi same poniosły ją doskonale znaną trasą i teraz oto stała pod bramą rodzinnego domu. Serce zabiło tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Julia przysunęła twarz do kutego ogrodzenia, a potem uchwyciła się żelaznych prętów; ciągnęło od nich chłodem, ale ona z przejęcia nie czuła prawie nic. Pochłaniała wzrokiem ogród – nieważne, że prawie ogołocony z liści i pełen smętnych badyli – a potem białe mury i kolumny przy ganku, wreszcie okna. Przez chwilę wydawało się jej, że dostrzeża w nich błyski elektrycznych lamp, ale to było tylko złudzenie, refleksy światła odbijające się w szybach. Dom sprawiał wrażenie wymarłego.

Nerwowo szarpała żałobne tasiemki przyszyte do rękawa płaszczka, starając się powstrzymać płacz. Przez długie miesiące liczyła, że wyjdą na jaw jakieś nowe fakty i bankructwo ostatecznie okaże się okrutnym żartem, a one wrócą do willi i dawnego życia. W tej chwili całkiem straciła nadzieję. Przycisnęła dłoń do ust, aby zdusić szloch.

– Dzień dobry, panno Julio.

Gwałtownie odsunęła się od ogrodzenia i spojrzała w kierunku, z którego dochodził męski głos. Obok niej, na ulicy, w pobliżu miejsca, które kochała i którego progę nie miała przestąpić nigdy więcej, stał Józef Warliński. Tylko jego brakowało do kompletu nieszczęść.

– Mam zgłosić na policję, że pan mnie prześladowuje?! – zapytała ostro, mrużąc oczy.

– Nie śmiałbym pani prześladować. – Warliński nie wyglądał na przejętego groźbą, a to zdenerwowało ją jeszcze bardziej. – Czasem pracuję w szpitalu w Korpusie Kadetów. – Wskazał ręką na wznoszące się nieopodal szare gmachy. – Skończyłem nocny dyżur, który nieco się przedłużył.

– Nie wierzę, że operuje pan żołnierzy!

– Można tak rzec... Robię sekcje. Lekarze przeważnie lubią wiedzieć, na co umarł ich pacjent.

– Ja jeszcze żyję. Proszę zostawić mnie w spokoju!

Patrzył na nią bez słowa, a jej przez głowę przemknęła myśl, że gdyby Warliński nie wyglądał tak zwyczajnie, naprawdę zaczęłaby się go bać. Chyba że powinna? Nikt, kto dobrowolnie kroci nieboszczyków i wyciąga z nich wnętrzności, nie może być przecież przy zdrowych zmysłach.

– Dlaczego w ogóle zajął się pan taką pracą? – Pytanie wyrwało się jej, zanim zdążyła pomyśleć. – W innej pana nie chcieli?

– Planowałem zostać chirurgiem i nawet skończyłem, co tam trzeba – odparł spokojnie, nie spuszczać z niej wzroku. – Ale jeden z profesorów przekonał mnie, że medycyna sądowa to prawie to samo, tylko nie trzeba martwić się o wynik operacji.

– Nie wydaje mi się. Chirurg nie śmierdzi formaliną.

Warliński taktownie udał, że nie dosłyszał tych słów.

– Przyszła pani popatrzeć na swój dom?

Trafił jak kulą w płot.

– To już nie jest mój dom – rzuciła, ze wszystkich sił walcząc ze łzami, które cisnęły się do oczu, ilekroć spoglądała na willę. Za nic w świecie nie chciała rozplakać się przy doktorze. Na pewno uznałby, że jest słaba i już nigdy nie zdołałaby się go pozbyć.

– Ma pani rację – powiedział, grzebiąc w kieszeni płaszczka. – Dom jest tam, gdzie najbliżsi. Proszę, niech pani się wytrze. – Wyciągnął rękę, w której dzierżył sporych rozmiarów chustkę do nosa. –

Czysta. I przysięgam, że nie dotykał jej żaden z moich pacjentów.

Wolała nie ryzykować, być może lekarz postanowił ją zachloroformować i porwać. Za grosz mu nie ufała.

– Mam własną.

Skoro Warliński i tak zauważył, że płacze, mogła przestać udawać dzielną. Co ma być, to będzie. Wyciągnęła chusteczkę i wytarła starannie oczy i nos. Cała złość gdzieś się momentalnie ulotniła, a pozostało tylko zniechęcenie i strach przed przyszłością.

– Może wybrałaby się pani ze mną na spacer? Na przykład w niedzielę? O ile będzie odpowiednia pogoda.

Spojrzała na niego z politowaniem – ten człowiek nie miał żadnego wyczucia. Przestała dziwić się, że został lekarzem sądowym; wszak z uczuciami nieboszczyków nie trzeba się liczyć i trudno zrobić im afront.

– Mówiłam, że nie życzę sobie pańskich zalotów. W ciągu kwadransa nic się nie zmieniło w tym względzie. Marnuje pan czas, który mógłby poświęcić na pracę.

– Praca to za mało, szanowna panno Julio. Czasem człowiek potrzebuje towarzystwa kogoś miłego. No i żywego.

– Pan żartuje? – zapytała z niedowierzaniem.

– Ależ skąd. Jestem śmiertelnie poważny.

Po tych wszystkich impertynencjach, które mu prawiała, on nadal uważał ją za miłą? Albo jego zmysły naprawdę szwankowały, albo stał przed nią najbardziej cierpliwym człowiekiem na ziemi. Postanowiła sprawdzić, która z tych możliwości wchodzi w grę.

– Boję się włożyć z panem po chaszczach – oświadczyła. – Może planuje mnie pan zamordować?

– Ależ panno Julio, uroczycie przysięgam – uniósł do góry dwa palce – że nie zamierzam dokładać sobie pracy. Poza tym wolę oglądać panią z zewnątrz niż od środka.

Niech go diabli! Ten impertynent naprawdę nie dawał wyprowadzić się z równowagi. A skoro panował nad sobą tak doskonale, mógł pomóc jej w rozwiązaniu zagadki, która coraz bardziej zajmowała ją męczyć. Po wszystkich wymyślił sposób, jak pozbyć się go skutecznie.

– Przekonał mnie pan – powiedziała, unikając jego wzroku. – Pójdziemy na spacer, ale tam, gdzie ja będę chciała. I w terminie, który sama wyznaczę.

– Oczywiście. Zamierzałem to właśnie zaproponować.

– Proszę jednak nie myśleć, że zmieniłam zdanie – zastrzegła stanowczo. – Mam coś do załatwienia i wolałabym, żeby towarzyszył mi mężczyzna. Rozumiem, że mogę liczyć na pańską pomoc? A przede wszystkim: na dyskrecję?

– Będę milczał jak moi pacjenci.

Julia jęknęła w duchu. Za co los ją ukarał takim dziwnym wielbicielem?

3.

Krwawa bitwa o Warszawę trwała nieprzerwanie od kilku dni, prawie wszystkie miejsca na oddziałach zostały już zajęte, więc rannych przewożono z dworców do innych szpitali. Jednakże, kiedy w walkach pod Grójcem został poszkodowany sam generał Kuropatkin, władze wojskowe zażyczyły sobie, aby leczył go doktor Ruciński, uważany za jednego z najlepszych chirurgów w Warszawie. Kapitan, który przyjechał ze sztabu, aby zawiadomić doktora Kijewskiego o czekającym jego placówkę zaszczyście, nakazał, aby czcigodnej ofierze działań wojennych zapewnić odpowiednią opiekę od razu, gdy tylko opuści pociąg sanitarny.

Z tego też powodu doktorowie Perlman i Zawilski, Nina oraz dwóch silnych sanitariuszy zostali niezwłocznie wydelegowani na dworzec kolei warszawsko-wiedeńskiej. Pojechali tam, oczywiście, największym z dostępnych ambulansów.

Na dworcu panował straszliwy rejwach. Z jednej strony peronu z pociągu sanitarnego wyładowywano rannych, którzy – jak Kellerówna zdołała się dowiedzieć – mieli jechać do Szpitala Ujazdowskiego, a z drugiej strony – do wagonów wsiadali żołnierze dopiero kierowani na front. W powietrzu unosił się gwar tysięcy głosów, słychać było krótkie komendy rozkazów i tupot wojskowych butów. Para buchająca z kół parowozów płożyła się nad torami niczym tuman gęstej mgły. To wszystko nie zagłuszało jednak huku armat, który zdawał się nieustannie przybliżać do miasta.

Nina szła peronem od strony zamienionej w tymczasowy lazaret poczekalni dla przyjeżdżających, gdyż tylko tam można było zaparkować automobil. Z trudem nadążała za wysokimi mężczyznami, którzy zdenerwowani spotkaniem z rannym i zapewne wściekłym dygnitarzem cały czas przyspieszali kroku. Do tego ciążyła jej apteczka, którą musiała zabrać ze sobą.

Lekarze i sanitariusze wmieszali się w tłum żołnierzy i nagle zniknęli jej z oczu. Nerwowo rozejrzała się dookoła. Wielkie futrzane czapy. Szarawo-brązowe szynele i równo skrzyżowane na piersi baszkyki. Strzelcy syberyjscy. Nie dało się pomylić ich z żadną inną formacją. A więc pogłoski, że rosyjskie dowództwo ściąga posiłki aż z dalekiej północy, okazały się prawdą.

– Dokąd siostrzyczka tak biegnie? – zagadnął ją nagle po rosyjsku wesoly męski głos.

Odruchowo zerknęła w górę i zobaczyła duże niebieskie oczy, roześmianą młodzieńczą twarz, kudłatą czapę i dystynkcje porucznika na pagonach.

– Z pomocą potrzebującemu – odparła i nieoczekiwanie dla samej siebie odwzajemniła uśmiech.

– A jak siostrzyczce na imię?

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż dostrzegła lekarzy, którzy rozglądali się za nią niespokojnie; najwyraźniej dopiero teraz zdali sobie sprawę, że gdzieś zgubili pielęgniarkę. Pobieгла w ich kierunku.

– Jestem – powiedziała, starając się złapać dech.

– Siostrzo. – Doktor Perlman popatrzył na nią z przyganą. – Gdzie się siostra podziewa? To nie czas na pogaduszki.

– Przepraszam. – Zawstydzona spuściła głowę. Jeszcze tylko brakowało, aby lekarze zaczęli uważać ją za kokietkę; kilka pielęgniarek, które zamiast pilnować swoich obowiązków, flirtowało z żołnierzami, pożegnało się ze szpitalem bardzo szybko.

– To chyba tam! – Jeden z sanitariuszy wskazał elegancką salonkę na samym końcu peronu. – Zaraz zapytam jakiegoś kolejarza... Matko Boska! – Spojrzał w górę i zrobił taki gest, jakby zamierzał się przereżnąć. – Co za czort?

Pozostała czwórka, w tym Ninka, jak na komendę odwróciła się we wskazanym kierunku. Od zachodu w stronę dworca majestatycznie sunął po niebie wielki, podłużny statek powietrzny.

Zeppelin. Nina natychmiast przypomniała sobie doniesienia prasowe z zeszłego miesiąca, które babcia Adela czytywała im podczas popołudniowej herbaty. Wtedy sterowce nie wyrządziły miastu krzywdy, raczej wzbudziły zaciekawienie mieszkańców. Najwyraźniej Niemcy postanowili użyć ich ponownie. Tylko w jakim celu?

Czekający na peronie strzelcy też musieli zauważyć dziwny obiekt; wokoło rozbrzmiewały ich podniecone głosy. Kilku próbowało nawet mierzyć do zeppelin z karabinu, choć na pewno wiedzieli, że zwykła kula nie dałaby rady zaszkodzić sterowcowi, który z każdą chwilą zdawał się robić coraz większy i większy.

Eksplzja wstrząsnęła powietrzem. Potężny podmuch wyrzucił w górę wózki, sterty pakunków, kamienie, nosze, bagaże, kawałki muru i grudki błota. Z wieży telegraficznej z brzdękiem sypały się szyby. Jacyś ludzie krzyczeli przeraźliwie. Ninka wiedziała, że musi iść, biec, ratować, ale nie była w stanie zrobić nawet kroku. Ściskając z całej siły uchwyt apteczki, wbiła wzrok w wolno opadającą kurzawę.

Wtem kątem oka dostrzegła, że jakiś ciemny kształt wali się z góry wprost na nią. A ona stała niczym sparaliżowana. Zapomniała nawet, jak się oddycha. „Koniec – powtarzała w myślach. – To koniec”.

Nim kawał litego drewna z wiaty peronu runął jej na głowę, ktoś mocno pchnął ją do przodu i wraz z nią spadł na tory w chwili, gdy druga bomba sięgała celu. Huknęło tak, że Nince zadzwoniło w uszach. Krzyknęła ze strachu i mocno wczepiła się paznokciami w poły płaszcz człowieka, który ocalił jej życie. I który teraz osłaniał ją własnym ciałem.

Trzeci pocisk uderzył dalej, gdzieś za wieżą zegarową. Potem zapadła cisza, przerywana tylko daleką monotonną kanonadą.

Kamienie i nierówne deski podkładów boleśnie wbijały się w plecy, ale dziewczyna nawet nie drgnęła. Wytrzyma, ile trzeba. Ufała, że jej towarzysz – kimkolwiek jest – wie, co należy robić.

– Już dobrze. – Mężczyzna złuzował uścisk, ale wciąż był na tyle blisko, że wyraźnie czuła jego obecność. – Polecili. Już dobrze – szeptał jej do ucha po rosyjsku. – Już wszystko dobrze.

Zdołał uspokoić ją na tyle, że odważyła się rozewrzeć powieki i wtedy ze zdumieniem odkryła, że obok niej, uwalany błotem i z gołą głową, leży ten sam młody porucznik, który zaczął ją kilka minut temu.

Chciała coś powiedzieć, podziękować mu za ratunek, ale oszołomiona nie zdołała wydobyć z siebie nawet jednego dźwięku. Drżąc niczym osika, uniosła się z trudem i siadła na ziemi, od której ciągnęło chłodem.

Gdzieś w oddali wściekle zaterkotały karabiny. Drgnęła i znowu skuliła się ze strachu.

Porucznik, który właśnie odnalazł i nacisnął na głowę swoją wysoką czapę, pochylił się nad nią i powiedział:

– Spokojnie, nie wróci. Zaraz go zestrzelą.

Kiwnęła głową bez przekonania, a on pomógł jej wstać. Nogi ugięły się pod nią, ale szybko chwyciła się latarni i jakimś cudem zdołała zachować równowagę.

– Jest siostra cała? – Doktor Zawilski, który na szczęście wyszedł bez szwanku z bombardowania, chwycił ją za ramię. – Myślałem, że już po siostrze...

Nie słuchała, co do niej mówił, wpatrując się jak zaczarowana w miejsce, w którym stała jeszcze kilka minut temu; ze sterty połamanych desek wystawał ciężki bal ze zniszczonej wiaty peronu, porzucona apteczka leżała kilka sążni dalej. Poszukała wzrokiem swojego wybawcy, ale oficer zniknął gdzieś w tłumie.

– Jesteśmy w komplecie. – Doktor Perlman też przetrwał nalot bez szwanku.

– Niech pan, kolego, bierze sanitariuszy i idzie do generała – polecił mu Zawilski. – Siostra i ja sprawdzimy, czy nie ma rannych. Ofiary są na pewno. – Wskazał krzątających się nieopodal pracowników dworcowego lazaretu, którzy akurat ładowali na wózek jakąś nieruchomą postać.

Na sąsiednim peronie strzelcy syberyjscy, jak gdyby nigdy nic, sprawnie ładowali się do pociągu. Ninka wypatrzyła wśród nich znajomą sylwetkę.

– Zaraz wracam.

Nie oglądając się na lekarzy, zeskoczyła na tory i ruszyła w stronę szykującej się do wsiadania kolumny żołnierzy. I nie, nie było to wcale przywidzenie, nad sprawnym przebiegiem operacji naprawdę czuł „jej” porucznik. Przeciskała się między strzelcami i choć zerkali na nią ze zdumieniem, żaden jej nie zatrzymał. Nie wiedziała, jak ma podziękować wybawcy, ale nie mogła odejść bez słowa. Wreszcie znalazła się tak blisko, że zdołała chwycić oficera za ramię.

Wydawał rozkaz, ale urwał w pół słowa i gwałtownie się odwrócił. Chyba był zły, że ktoś mu przeszkodził, kiedy jednak zobaczył, że to ona, najpierw zmieszał się, a zaraz potem uśmiechnął. Z zawstydzeniem i nie tak radośnie jak wcześniej.

– Dziękuję! – rzuciła Ninka, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, a potem kierowana niezrozumiałym impulsem wspięła się na palce i ucałowała go w oba policzki. Wyglądający z wagonów

żołnierze zaczęli śmiać się i głośno bić brawo. W zwyczajnych warunkach umarłaby ze wstydu, ale teraz nie dbała, co pomyśli sobie o niej strzelcy, a nawet lekarze. – Jak panu na imię?

– Stanisław... – Zarumienił się i mocno uściśnął jej dłoń. – A jak siostra się nazywa?! – Podniósł głos, bo lokomotywa akurat wypuściła kłąb pary i gwizdnęła przeciągle, dając sygnał do odjazdu. – Gdzie siostry szukać?!

– Nina Keller! Lazaret w Korpusie Kadetów! – Szybko wyrzucała z siebie słowa w obawie, że nie zdąży powiedzieć wszystkiego. – Będę się modliła. Do waszej Świętej Przczystej. Nawet w cerkwi!

Zbliżył twarz do jej twarzy, w oczach miał coś takiego, że poczuła szybsze bicie serca.

– Proszę modlić się w kościele. Do Matki Boskiej – powiedział po polsku z lekkim wschodnim zaśpiewem.

Polak? Ninka zdębiała, gdyż absolutnie nie spodziewała się takiego obrotu sprawy, zaś porucznik jeszcze raz uściśnął jej rękę, a potem zwinnie wskoczył do nabierającego prędkości pociągu i ukrył się w głębi wagonu.

Stała bez ruchu jeszcze przez długą chwilę, nie zważając na ponaglące nawoływania sanitariuszy, a zanim toczący się po szynach pojazd zniknął jej z oczu, zrobiła w powietrzu znak krzyża.

4.

Pola ostatnio starała się jak najrzadziej wychodzić do miasta. Nie miała nic przeciwko mało przyjemnej pogodzie – urodziła się w grudniu i w przeciwieństwie do sióstr żywiła sentyment do jesiennych i zimowych szarug. Za to o wiele bardziej przerażał ją inny żywioł, nad którym nikt nie potrafił zapanować już od kilkunastu dni.

Dzień i noc od strony rogatki mokotowskich niesły się złowrogie grzmoty wystrzałów, zaś po zmroku, niczym oślepiające odbłaski błyskawic, świeciły luno ognia coraz szczerzej otaczające miasto. A ciemność zapadała szybko, gdyż dla oszczędności zmniejszono liczbę działających latarni.

W Warszawie panował zgłęk i zamęt. Ulicami maszerowały coraz to nowe pułki wojska zwożone ze wszystkich zakątków Imperium i wysyłane kolejno w bój; później ci sami żołnierze trafiali do wyrastających w mieście, niczym grzyby po deszczu, szpitali i lazaretów, skąd czasem nie było już powrotu. Kolumny niemieckich jeńców wędrowały w odwrotną stronę, na Pragę, gdzie z Dworca Petersburskiego i Kowelskiego wywożono ich do Rosji. Przez ten tłum z trudem przedzierały się niezliczone furmanki uciekinierów wypełnione ubogim dobytkiem i przeważnie ciągnące za sobą konie, krowy i cielęta.

Ludzie stojący w kolejkach po coraz trudniej dostępne produkty powątpiewali w zwycięstwo Rosjan i opowiadali mrozące krew w żyłach historie o bestialstwie Niemców, a ona – chcąc, nie chcąc – musiała tego słuchać, była bowiem jedyną osobą, która pomagała Balbinie w zaopatrywaniu rodziny w żywność. Po powrocie do domu – szczęśliwa, że nadal ma miejsce, które może tak nazywać – długo nie potrafiła się uspokoić, ale nie okazywała tego, aby nie martwić domowniczek. Niekiedy łapała się nawet na myślach, że chce, aby wróg zajął wreszcie miasto; z trudem znosiła rosnące napięcie, niepewność i ciągnące się w nieskończoność oczekiwanie na nieznanne.

Tego dnia, targając wyczekany w piekarni chleb – ostatnio nawet z nim bywały problemy, gdyż zapobiegliwi klienci kupowali na zapas po kilkanaście bochenków – marzyła tylko o świętym spokoju.

Niestety, Opatrzność nie wysłuchiwała jej modłów: w domu panowało zamieszanie, jakiego nie pamiętała od dnia śmierci Katarzyny.

Zamknęła za sobą kuchenne drzwi, postawiła na stole zakupy, a potem w płaszczu i zabloconych trzewikach pobiegła do salonu, gdzie urzędowała cała rodzina.

– Co się dzieje? Coś z Balbiną? – zapytała. Nie mogła nic poradzić, ale taka myśl przyszła jej do głowy jako pierwsza.

– Z Balbiną wszystko w porządku – odparła Ninka, która jako jedyna zwróciła na nią uwagę. Nie powiedziała jednak nic więcej, gdyż zaraz pobiegła do łazienki.

– Co się dzieje?! – Głośno powtórzyła pytanie. – Czy ktoś mi wyjaśni?!

– Nie krzycz! – zrugła ją natychmiast ciotka, która leżała na sofie, przyciskając do czoła okład z mokrego ręcznika. – Głowa mi pęka i zaraz oszaleję.

– Napij się. – Babcia podsunęła córce kieliszek do połowy wypełniony koniakiem; mimo zakazu sprzedaży alkoholu jakimś cudownym sposobem zdobyła ostatnio kilka butelek. – Postawi cię na nogi.

– Niech mama da spokój – jęknęła Klara. – Nie wezmę tego do ust.

– A ja chętnie bym się napiła – wtrąciła Julia. – Trzęsę się jak galareta.

– Ninka! – Pola uczepliła się ramienia siostry, która wróciła do salonu z buteleczką waleriany w rękę. – Błagam cię, powiedz, co się stało. Inaczej zacznę krzyczeć.

Musiła wyglądać na zdesperowaną, ponieważ Nina nie wyrwała ręki z jej uścisku, tylko pochyliła się ku niej i półgłosem powiedziała:

– Znowu próbowali się włamać.

– Jezus Maria. Balbina...

– Balbinie nic nie jest – powtórzyła z naciskiem siostra. – Nie było jej w domu. Poszła do magła i kiedy wracała, spłoszyła bandziorów. Jeden stał na czatach, a drugi dłuwał w zamku...

– I co?! – dopytała niecierpliwie.

– Wiesz, że Balbina ma ciężką rękę...

– Zwiął mi, lajdus jeden – pożałowała służąca, która jak gdyby nigdy nic wmaszerowała do pokoju z kolejnym kompresem dla cierpiącej ciotki. – Grzmotnęłam go w bandziuch, ale się wyrwał i poleciał w abucgach. Tylko kaszkiet został mi w garści.

ROZDZIAŁ VII

I.

Sędzia Szuster pojawił się tak wcześnie, że Pola i babcia ledwo zdążyły zjeść śniadanie. Przywitał się uprzejmie, zdjął palto i ku konsternacji starej damy – w końcu, kto to widział, aby poważny człowiek dobrowolnie pchał się między gary – poszedł prosto do kuchni. Spędził tam mniej więcej pół godziny, rozmawiając z Balbiną, a one próbowały dociec, o co może ją wypytawać, wszak relacja z groźnego zajścia, którą służąca przedstawiła im wczoraj, nie trwała dłużej niż pięć minut.

Kiedy przesłuchanie dobiegło końca, urzędnik wciąż ściskający w dłoni notatnik i ołówek pojawił się w salonie.

– Proszę usiąść, panie sędzio – poprosiła go natychmiast babcia. – Napije się pan herbaty?

– Chętnie – rzucił, a kiedy dostrzegł, że Adela nabiera powietrza, aby wezwać służącą, szybko dodał: – Pozwoliłem sobie już poprosić.

– Doskonale. Mam nadzieję, że Balbina powiedziała coś przydatnego, bo widzi pan, wołałabym nie zbudzić się któregoś ranka z oderżniętą głową.

Sędzia przez moment miał taką minę, jakby z trudem powstrzymywał się od śmiechu, ale szybko spoważniał i powiedział:

– Wszystko potwierdza moją teorię, że to wynajęte zbiry. Co prawda ci, którzy włamali się do pań w sierpniu, już nie żyją, ale widać zleceniodawca wynajął nowych.

– Jak to: nie żyją?! – zapytała ze zdumieniem Adela. – Czy dobrze rozumiem, że pan ich znalazł? Na miłość boską, kiedy? I gdzie?

– Pod koniec września. I nie tyle ja, co agenci komisarza Górskiego. Na Pradze.

– Czemu pan nam o tym powiedział?

– Nie zdążyłem ich przesłuchać, więc nie było o czym mówić.

– Ale przynajmniej wiadomo, że mordercy Katarzyny nie chodzą bezkarnie po ulicy. – Babcia potrafiła znaleźć dobre strony każdej sytuacji.

– Rzeczywiście – zgodził się ostrożnie sędzia. – Zginęli raczej marnie.

Zaintrygowana Pola nadstawiła uszu, ale pan Szuster ewidentnie nie zamierzał wdawać się w szczegóły, wrócił za to do przerwane go wątku.

– Ten, który przysłał tu jednych i drugich, najwyraźniej żywi przekonanie, że są panie w posiadaniu czegoś, na czym bardzo mu zależy...

Urwał, bo do pokoju wmaszerowała Balbina z tacą, na której stały trzy szklanki herbaty, cukier – niestety, najgorszego sortu – i ciasto, które ostatnio często pojawiło się na ich stole. Pola wołała nie dociekać, z czego właściwie się składa, w każdym razie smakowało wszystkim domownikom.

– Dziękuję, Balbino – powiedziała Adela, a kiedy służąca opuściła salon, powiedziała z namysłem: – Tak sobie myślę, drogi panie sędzio, że te ataki naprawdę mają jakiś związek z bankructwem mojego syna. Nie daje mi spokoju ten otwarty sejf w willi.

– Niewykluczone. Gdybyśmy tylko wiedzieli, czego szukają... – Szuster zadumał się na chwilę. – Dobrze byłoby, żeby panie same spróbowały sprawdzić. Może w meblach są jakieś skrytki? Albo w pianinie. – Przyjrzał się zbytkowemu instrumentowi, a potem przeniósł wzrok na podobiznę mamy. – Albo coś zostało ukryte za ramą tego obrazu.

– Portret mojej synowej zdążyliśmy już obejrzeć i nic tam nie ma. Resztę przepatrzmy uważnie... Dawno powinnyśmy były to zrobić, ale ludziłyśmy się, że włamanie i śmierć Katarzyny to przypadek.

– Druga ważna rzecz – kontynuował urzędnik. – Trzeba wstawić lepsze zamki, a najlepiej żelazną sztabę. Czy któraś z pań potrafi strzelać?

– Jezu Chryste! – Klara uczyniła znak krzyża. – Ależ skąd, panie sędzio! Moje bratanice zostały wychowane na damy... Ich ojciec prędzej sprzedałby rodzinną fabrykę, niż dał którejś rewolwer do ręki.

– Szkoda – mruknął urzędnik.

– Spię z nożem pod poduszką – oświeciła go zaraz babcia. – Jeśli pan radzi, mogę nauczyć się i obsługi rewolweru. Teraz łatwo o broń. Mój syn... Matko Boska! – Uniosła ręce do piersi. – Wiem, co mogło zginać z sejfu w willi. Broń! Maksymilian od dziecka interesował się bronią... Trzymał kiedyś w domu całą kolekcję, ale Paulina – odruchowo zerknęła na portret – kazała mu to wynieść. Właśnie dlatego, by dziewczęta nie wzięły nic do ręki.

– Czy istnieje jakiś spis tej broni?

– Nie natknęłyśmy się na nic takiego – powiedziała z westchnieniem Adela. – Może trzeba zapytać mecenasa Finkiela. Problem jednak w tym, że przestał nas odwiedzać. Podejrzewam, że mógł się obrazić.

– Mecenas Finkel... Obawiam się, że jest zajęty własnymi kłopotami. – Szuster spojrział znacząco na Polę. Już zbierała się, aby wstać i wyjść z pokoju, ale babcia machnęła ręką i ku jej zdumieniu oświadczyła:

– Niech pan mówi przy mojej wnuczce. Powinna uczyć się życia, w końcu nie ma nikogo, kto by ją przed nim obronił.

– Dowiedziałem się całkiem prywatnie, że mecenas dorobił się ogromnych długów. – Sędzia starannie dobierał słowa. – Karcianych.

– Chce pan powiedzieć, że Henryk jest hazardzistą?! – zapytała ze zdumieniem starsza dama. – Jakim cudem tego nie zauważyłam? Wszystko przez ten koniak – odpowiedziała zaraz sama sobie. – Zbyt przyjaźnie nastraja mnie do ludzi.

Na szczęście urzędnik nie zdecydował się skomentować tego wyznania, za to podzielił się z nimi kolejną rewelacją:

– Niewykluczone, że mecenas będzie musiał spieniężyć cały majątek. Palestra też coraz mniej przyjaźnie patrzy na jego wybryki.

– Nie wierzę, że tego nie zauważyłam. Nie wierzę... – powtarzała przejęta Adela. – Choć wie pan, jak tak sobie pomyślę, to do niego pasuje. Czy myśli pan, że Henryk ma jakiś związek ze sprawą?

– Nie znalazłem dowodów, ale będziemy rozglądać się dalej. Niestety, wszędzie panuje taki bałagan, że nie da się przyspieszyć śledztwa. Przed wojną szłoby o wiele sprawniej.

– Nie wybiera się czasów do życia – mruknęła babcia. – Myślałam, że na starość będę mieć święty spokój, a tu taki ambaras! Albo moje wnuczki... – Spojrzała wymownie na Polę. – Zamiast haftować na tamborku, karmią bezdomnych i pielęgnują rannych żołnierzy.

Dziewczyna, słysząc to, otworzyła szeroko oczy. Jako żywo, żadna z nich nie uczyła się haftu. Może Julia, ale tylko odrobinę.

– Mój syn rwie się do wojska – powiedział sędzia z wahaniem.

Chyba rzadko mówił o osobistych sprawach, ale babcia jakimś sposobem umiała wzbudzać zaufanie mężczyzn. Wysłuchała więc w skupieniu słów gościa, a potem ostrożnie zapytała:

– A ile ma lat?

– Prawie osiemnaście.

– W takim razie nie nadaje się do poboru.

– Problem w tym, że on chce do polskiego wojska. Jak go nie upilnuję, ucieknie mi do Piłsudskiego.

– Polskie wojsko... – Adela zamyśliła się na chwilę. – Chciałabym dożyć chwili, kiedy zobaczę je na ulicach Warszawy. Ale czy będą to akurat legionieci Piłsudskiego? Różnie o nim mówią. Pamiętam, jak kilka lat temu jego bojownicy podkładali bomby pod różnych dygnitarzy.

– O mało przez pomyłkę nie zabił mego... – Szuster zawahał się, wyraźnie szukając odpowiedniego słowa – ...powinowatego.

Milczeli przez chwilę, wreszcie sędzia ocknął się z zadumy, zerknął na zegarek i zaraz powiedział:

– Pora iść. Okrutnie się u pań zasiedziałem, a czeka mnie mnóstwo pracy. Ludzie mordują się tak ochoczo, jakby nie wystarczała ta rzeź pod miastem.

Wstał i zaczął przejeździć się żegnać. A na odchodnym obiecał jeszcze, że będzie je niezwłocznie informował o wszelkich postępach w sprawie. Ciotka Klara odprowadziła go do drzwi.

– Uroczy człowiek – rzuciła babcia z zachwytem, kiedy tylko oboje opuścili salon. – Gdybym planowała wydać Klarcie za mąż, nie wymarzyłabym sobie lepszego zięcia... Tyle że twoja ciotka – dodała z ciężkim westchnieniem – nie ma podejścia do mężczyzn. Aż dziwię się, że to moja rodzona córka. Mnie by się nie wywinął, gdybym była te trzydzieści lat młodszą...

– Pan sędzia ma syna – przypomniała Pola – więc najprawdopodobniej i żonę.

– A widziałas, żeby nosił obrączkę? Za każdym razem, kiedy go spotykam, sprawdzam dokładnie. I nic. Pewnie wdowiec... A wdowiec, zapamiętaj sobie, drogie dziecko, to najlepszy materiał na męża! Jakaś kobieta wykonała już najgorszą robotę, żeby takiego wytresować.

Pola zachichotała pod nosem. Tego dnia wiele nauczyła się o życiu. Męczyła ją tylko jedna kwestia.

– Proszę babci – zaczęła nieśmiało. – Musimy powiedzieć panu sędzemu, że tatko wcale nie umarł na serce, tylko...

– Polciu. – Adela spojrzała na nią ze śmiertelną powagą. – Akurat ta wiadomość nie jest mu potrzebna do niczego.

2.

Na czwarty dzień od wyruszenia z Zagórza do Warszawy Zofia i „Marta” przebyły już większość drogi. Przejechały ją przeważnie na wynajmowanych po wsiach furmankach. Czasem wędrowały pieszo, gdyż ryzyko spotkania patroli na uczęszczanych traktach było zbyt duże. Do pokonania został im jeszcze ostatni kawałek: najkrótszy i jednocześnie najtrudniejszy, zbliżały się bowiem do terenów przyfrontowych, gdzie sytuacja zmieniała się niczym w kalejdoskopie.

Za Rawą Mazowiecką zeszły z drogi wiedeńskiej i obrały azymut na Tarczyn, gdzie spędziły noc u krewnych jednej z koleżanek z oddziału, prawie nie śpiąc – huk armat niosący się od strony Grójca nie dawał im zmrzyć oka. Wczesnym rankiem podziękowały gospodarzom za gościnę i wysiadły na wynajętą poprzedniego wieczoru furmankę. Niestety, nie ujechały daleko, gdyż przybierająca na sile kanonada przerażała konia, który i bez tego chyba dożywał swoich dni. Wreszcie, kiedy zwierzę prawie wpadło w panikę, woźnica mocno ściągnął lejce, zatrzymał wóz i kategorycznie oświadczył:

– Nie jadę dalej ni wiorsty.

Cóż było robić? Zapłaciły chłopu część umówionej kwoty – miał je dowieźć jak najbliżej Piaseczna – zebrały swoje skromne bagaże i wysiadły wprost w niemilosiernie lepiące się do butów i mlaskające błoto.

– Pójdziemy lasem – powiedziała „Marta”, spoglądając w kierunku ciemniejącej na horyzoncie ściany drzew. – Zajmie to więcej czasu, niż planowaliśmy, możemy więc nie dotrzeć dziś do Warszawy.

Zofia ścisnęła mocno ucha torby podróżnej, do której spakowała najpotrzebniejsze rzeczy oraz trochę jedzenia, które dali im na drogę znajomi z Tarczyna, a potem posłusznie ruszyła w ślad za

koleżanką.

Co prawda, kilka razy przemykała samotnie przez granicę i nawet nieźle sobie radziła, ale wtedy w okolicy nie toczyła się żadna bitwa. Teraz sytuacja uległa zmianie, więc bez sprzeciwu oddała dowodzenie „Marcie”, która jako bohaterka kilku brawurowych akcji miała większe doświadczenie od niej w ratowaniu się z nagłych opresji.

Istniało ryzyko, że tym razem misja może się nie udać; w czasie działań wojennych cywile włócząc się przy linii frontu budzili podejrzania. Zofia pocieszała się jednak, że oficerowie rosyjscy uważali kobiety za całkowicie niegroźne i w swej daleko posuniętej rycerskości nigdy ich nie rewidowali.

Piaszczysta droga do lasu wiodła – mniej lub bardziej – pod górę. Nie zważając na to, dziewczęta szły różnym krokiem, chwilami nawet podbiegając: zależało im, aby szybko ukryć się w zagajniku. Zatrzymały się tylko raz, kiedy „Marta” podniosła leżącą na poboczu częściowo oheblowaną deskę.

– Wygląda, że ktoś zgubił kawałek furmanki. Bierzemy ją ze sobą?

– Oczywiście – odparła lekko Zofia. – Nie chcemy przecież uwalać bucików.

– Moje prawie przemiękły. Na pewno złapię katar.

Kiedy cień drzew zasłonił je przed ciekawskimi oczami, przez chwilę łapały oddech, a potem „Marta” podwinęła rękaw płaszcza i ściągnęła z przegubu małą busolę Adrianowa, którą nosiła jak zegarek.

– Zobaczmy, co pokaże – powiedziała, kładąc przyrząd na dłoni.

Przez chwilę ustalały kierunek wędrowki tak, jak uczono je na ćwiczeniach strzeleckich. Niestety, okazało się, że rozjeżdżony przez chłopskie wozy leśny dukt biegnie w przeciwną stronę od celu ich podróży.

– Zawsze muszę iść tą gorszą drogą – rzuciła z westchnieniem Zofia. – I przedzierać się przez krzaki.

– Będzie i twarda szosa – pocieszyła ją „Marta”. – Kiedyś do niej dotrzemy.

Ściółka, po której stąpały, na szczęście nie była rozmiękła, a posyćcie dosyć rzadkie, więc, wbrew obawom, nadal mogły maszerować. Nie wyrzuciły jednak deski; obie wiedziały, że na pewno im się przyda w podróży.

Grzmoty armatnich wystrzałów stawały się coraz głośniejsze.

– Słyszysz? – Zofia zatrzymała się na moment. – Brzmiać jak orkiestra. Mają różne tony. I rytm. Dodałybyśmy do tego kilka głosów i wyszłaby opera.

– Nie podoba mi się ten koncert – odparła „Marta”. – Chcę, żeby skończył się jak najszybciej.

W milczeniu, ale przy nieustannym akompaniamentie wojennej muzyki, przeszły pewnie w wiorstę. Minęły rozległą polanę i zaraz za nią zrobiły sobie przystanek, by odetchnąć, coś zjeść i ponownie użyć busoli; nie zabrały mapy, gdyż w razie wypadki niechybnie zaaresztowano by je za szpiegostwo.

– Gdyby ciotka mnie teraz zobaczyła, nie uwierzyłaby własnym oczom – zaśmiała się Zofia, kiedy ruszyły w dalszą drogę. – Jak nic, dostałaby spazmów.

– Ciotka? – zapytała „Marta”. – Myślałam, że babcia.

– Mojej babci nic nie jest w stanie zadziwić. Mam wrażenie, że domyśla się, co robię.

– I o nic nie pyta?

– Nie. Jak zawsze czeka, aż sama opowiem. Lubiała kiedyś słuchać o moich wielbicielach... A potem ich oceniała. Zazwyczaj trafnie.

– À propos wielbicieli... – zaczęła ostrożnie koleżanka. – Czy z „Gryfem” łączy cię coś poważnego?

Zofii na chwilę stanęło serce, a przez głowę przemknęła myśl, że jej związek z porucznikiem Janem Gryf-Dębickim stał się tajemnicą poliszynelem. A robili przecież wszystko, aby utrzymać go w tajemnicy. Wszystko? Musiała niechętnie przyznać, że bywali nieostrożni.

– Wiesz, że on u nas we Lwowie ma... – kontynuowała „Marta”, gdy nie usłyszała odpowiedzi.

– Wiem. – Zofia wpadła koleżance w słowo. – Proszę cię, nie rozmawiajmy o tym.

„Marta” spojrzała na nią ze zdziwieniem, ale na szczęście umilkła. Nie był to zresztą odpowiedni czas na rozmowy: co prawda armaty przycichły, ale ziemia zrobiła się grząska. Natrudziły się nieźle, pokonując za pomocą deski zapadliny i kałuże. Zofia musiała przyznać, że budowanie prowizorycznych mostów szło „Marcie” doskonale, a ona straciła równowagę tylko raz. Niestety, stąpnęła tak pechowo, że zamoczyła cały trzewik: woda wlała się nawet do środka. Natychmiast poczuła nieprzyjemną wilgoć i chłód. Jeśli dalej tak pójdzie, od przeziębienia nie uchroni jej cały domowy zapas soku malinowego.

Wydostały się w końcu na twardsze i suchsze podłoże.

– Zostawmy już tę dechę – powiedziała zarumieniona z wysiłku „Marta”. – Tu jest wyżej, nie powinno być błota.

Odetchnęła z ulgą; deska zaczynała ciążyć jej coraz bardziej, poza tym wystające z niej drzazgi boleśnie raniły dłonie.

Kolejną część marszrutę także przebyły w ciszy. Działa grzmiały tuż przed nimi i Zofia nie zdziwiłaby się wcale, gdyby nagle zza drzew wyjrzała lufa jakiejś armaty.

– Znalazłyśmy drogę – powiedziała, całym ciężarem opierając się o pień sosny. – Spójrz, tam widać prześwit.

– Chodź, zobaczymy, gdzie jesteśmy.

Po kilku minutach dotarli do skraju lasu i lustrując uważnie otoczenie, wyszły na szeroki, mocno ubity trakt.

– Zobacz. – „Marta” wyciągnęła rękę, a Zofia natychmiast spojrzała we wskazanym kierunku. Nieopodal nich, tuż przed zakrętem, stała murowana i pobielona wapnem kapliczka; mniej więcej w połowie jej wysokości, w dużej wnęce, stała figura Marii. Całość wieńczył metalowy krzyż.

– Matka Boska Łaskawa... – powiedziała cicho. – Patronka Warszawy.

– To dobry znak?

– „Marta”, to cud! Widziałam już tę kapliczkę. Kiedyś szłam tędy. Zaraz las się skończy i wejdziemy do wsi. Zaraz za nią jest szosa na Piaseczno. Zaraz! Co to za odgłos? – Nadstawiła ucha. – To wcale nie armaty.

– Konie – odpowiedziała koleżanka. – Tętent koni. I śpiew. Niech to diabli, wojsko.

Pospieszenie wróciły za linię drzew i padły na ziemię, od której ciągnął przejmujący chłód. Zofia zadrżała, z trudem powstrzymując szczykanie zębami.

Po kilku minutach oczekiwania – skoczny marsz stawał się stopniowo coraz głośniejszy – zobaczyły najpierw spory oddział niemieckiej kawalerii, a zaraz za nim nadeszła rozśpiewana piechota. Zapewne były to ciągnące na front posiłki, gdyż żołnierze, jak na wojenne warunki, wyglądali całkiem czysto i porządnie. Przemaszerowało przed nimi pięć pułków, zanim śpiew zaczął się oddalać i w końcu ucichł.

– Nie ma na co czekać. – „Marta” podjęła decyzję. – Ruszajmy.

– Dokąd?

– Wstawać! – zawołał ktoś tubalnym głosem.

Odrzuciły się natychmiast i jednocześnie spojrzały w górę. Zobaczyły wąsatego feldfebla w pikielhaubie i z mauserem w rękę, który – to niewiarygodne! – mówił do nich po polsku. Zza drzew wyłaniał się kolejny żołnierz, otaczając je zwartym kręgiem.

Zofia i „Marta” podniosły się z ziemi i błyskawicznie porozumiały wzrokiem. Nadszedł właściwy moment, aby rozpocząć przedstawienie.

– Panie oficerze, niech pan nam nie robi krzywdy – powiedziała „Marta” drżącym głosem i też po polsku, a następnie rozplakała się w głos.

Obie znały niemiecki, ale wołały, aby pozostało to tajemnicą; porządne wykształcenie nie pasowało do prostych dziewcząt, których role zamierzały odegrać.

– Cicho, cicho – uspokajała ją Zofia, która też zaczęła pochlipywać. – Pan oficer nas puści. Nie robimy nic złego. My tylko wracamy do matki.

Żołnierze półgłosem wymieniali między sobą uwagi. Kellerówna natychmiast zrozumiała, że nie zachwyciły ich urodą. Nic dziwnego, po kilku godzinach mozolnej wędrówki przez las były ubłocone i poczochrane jak nieboskie stworzenia.

– Dokumenty – zażądał feldfelbel po niemiecku i opuścił broń. Nie zareagowały na wezwanie, więc powtórzył to samo po polsku.

W te pędy rzuciły się wyciągać paszporty. Miały ze sobą rosyjskie dokumenty, doskonale podrobione – każda z dziewcząt w oddziale wywiadowczym opanowała do perfekcji chemiczne pranie dokumentów i wstawianie do nich nowych danych – i oba na to samo nazwisko.

Podoficer długo wpatrywał się w papiery. Najwyraźniej nie potrafił przeczytać grażdanki.

– Zofia Kwiatkowska – powiedziała półgłosem. – I Maria Kwiatkowska.

– Siostry?

– Tak. – Potwierdziły jednocześnie. „Marta” nadal popłakiwała żałośnie; gdyby zamiast konspiracji wybrała scenę, zaćmiłaby samą Messalkę.

– Skąd?

– Z Warszawy.

– Aż z Warszawy? – zapytał zaciekawiony. – A co tu robią, te?

– Pojechałyśmy do rodziny. Po prowiant, bo w mieście głód – tłumaczyła mu gorliwie Zofia. – Tam. – Wskazała ręką bliżej nieokreślony kierunek. – Pod Tarczynem. Ale zaczęła się bitwa. Musimy wrócić do matki.

– Akurat przez front? – Feldfelbel schował ich dokumenty do kieszeni na piersi.

– Nie ma innej drogi – powiedziała „Marta”. – Nie mogłyśmy czekać. Z nerwów nie wzięłyśmy nawet jedzenia. Mama umiera z niepokojem. Jest chora na serce. – Każde kolejne zdanie wypowiadała coraz bardziej łamiącym się głosem, by na koniec trysnąć łzami niczym fontanna w Ogrodzie Saskim.

– Dopiero się zmartwi, jak was zabiją.

– Nie zaszczyliś chyba takich szwanych dziołszek? – zapytał feldfelbla stojący nieopodal młody kapral. Miał czarne wąsiska i zawadiacki błysk w oku. – Biermy je z sobą.

– Idziemy. Niech oficerzy martwią się, co z wami zrobić. Tylko nie uciekać, bo wtedy będę strzelał.

Zajrzał do toreb, ale ich samych nie zrewidował, przynajmniej na razie. Nie nosiły przy sobie żadnych podejrzanych rzeczy – meldunki zaszyły starannie w białiznie – ale kto wie, co feldfelbel mógłby pomyśleć na widok busoli. A nuż jego narodowa dobra wola mogłaby się skończyć.

Szły ze spuszczonej głowami, otoczone przez żołnierzy. Skraj lasu i pobocze szosy przypominały jedno wielkie wojskowe obozowisko; piechurzy odpoczywali wszędzie – siedząc na pniakach, rozpostartych gdzie popadnie szynelach lub bezpośrednio na ziemi. Grzali się przy niezliczonych ogniskach. Wokoło tych prowizorycznych biwaków wały się przeróżne elementy wyposażenia: dziewczęta widziały porzucone granaty, szrapnele, a także kilka wywróconych dział z urwanymi kołami. Zewsząd dochodził tylko język niemiecki. Zofia uświadomiła sobie nagle, że choć powinna uważać żołnierzy cesarza Wilhelma za sojuszników, nie chce, aby zajęli Warszawę. Wolałaby już Austriaków, a najlepiej polskie wojsko.

Wreszcie oddział wyszedł z lasu i wkroczył do wsi rozłokowanej po obu stronach drogi. Zofia przechodziła tędy zaledwie kilka tygodni wcześniej i kiedy znaleźli się między opłotkami, ze zdumieniem spostrzegła, że nie widzi mieszkańców, wszędzie kręcili się tylko żołnierze.

Drzwi większości domów stały otworem, a na podwórzach leżały sprząty i rzeczy zgubione przez wyjeżdżających w popłochu gospodarzy lub wywleczone na zewnątrz przez wojsko; dostrzegła nawet pierzynę w białej, ale mocno już przybrudzonej poszwie. W stodołach Niemcy młóćli zboże.

Przydomowe ogródki, podwórza i pobocza rozkopano; najwyraźniej trwały przygotowania do odparcia rosyjskiego natarcia.

Feldfelbel zaprowadził dziewczęta do budynku stojącego na samym brzegu osady, gdzie urzędowało dowództwo, które miało postanowić o ich dalszym losie.

Zostały na zewnątrz wraz z żołnierzami – na szczęście mogły przycupnąć na lawce – a feldfelbel poszedł złożyć meldunek przełożonym. Ledwie jednak zdążył przekroczyć próg budynku, zaraz z niego wyszedł w towarzystwie kilku oficerów różnych szarż. Jako ostatni dom opuścił starszy krępy podpułkownik z sumiastymi wąsami; to on najwyraźniej tu dowodził.

– Nie zawracajcie mi głowy, Kaczmarek, jakimiś dziewczuchami! – mówił do feldfelbla ze złością w głosie. – Zaraz tu będą Rosjanie! Zamknijcie je gdzieś – zdecydował i ruszył w stronę furtki. Kazał sobie podać lornetkę i zaczął uważnie oglądać zryte okopami pola za wsią.

Feldfelbel pokręcił głową, a potem kazał dziewczętom i strażnikom pójść za sobą. Szedł przez podwórze, na którym piętrzyły się nieporządne sterty słomy i stopy drewna w balach. W błocie taplały się dwie wyraźnie zadowolone z życia kaczki; aż dziw, że nikt nie złapał ich jeszcze i nie wrzucił do kotła.

Dotarli do kamiennej piwnicy częściowo przywalonej ziemią i porosłej zeschłym już zielskiem. Z prowadzących do niej drzwi zwiślała otwarta kłódka, wielka niczym talerz. Podoficer nakazał im wejść do środka.

– Schowajcie się – powiedział cicho, kiedy wykonały polecenie. – Niedługo będzie tu gorąco.

– A paszporty? – „Marta” wbiła w niego błagalne spojrzenie. – Prosimy.

Podoficer popatrzył na nie jeszcze raz, a po chwili zastanowienia sięgnął do kieszeni i wyjął z niej dokumenty.

3.

Przez cały wieczór i noc nad ich głowami szalało piekło. Słyszały nieustający huk i zajadły terkot karabinów. Pociski padały tak blisko, że ziemia drżała w posadach, a fragmenty sufitu sypały się na głowę. Jakiś granat albo szrapnel wybuchł tuż nad nimi, ale na szczęście nie poradził sobie z solidną kamienną konstrukcją. Choć dzwoniło im w uszach, słyszały głośne niemieckie komendy i krzyki żołnierzy.

W zięjącej chłodem i stęchlizną piwnicy najwyraźniej już wcześniej służył za areszt, gdyż dziewczęta znalazły tam blaszankę z wodą, sporą kupkę słomy oraz trzy wojskowe derki w znośnym stanie. Podskakując co chwila ze strachu i modląc się, aby nikt nie przypomniał sobie o nich i nie postanowił zlikwidować na wszelki wypadek, zjadły resztki zapasów, a potem zakopały się w słomie, przytuliły do siebie i szczególnie okryte kocami, czekały ranka i tego, co ze sobą przyniesie.

Tuż przed świtem ostrzał przybrał na sile. Wreszcie usłyszały gromkie „hurra!” i wydawane po rosyjsku rozkazy. Moskale odbili wieś. A one, w ten oto sposób, znalazły się pod drugiej stronie frontu.

Czekały cierpliwie na rozwój wydarzeń, a kiedy przez niewielką szparę w drzwiach zaczęło sączyć się światło, oczyściły się ze żdźbeł słomy i poprawiły włosy, a następnie postanowiły sprawdzić, czy uda im się uwolnić samodzielnie.

Niestety, ciężkie odrzwia zostały zamknięte na głucho i nawet obie razem nie miały siły, by je sforsować.

– Myślisz, że ktoś nas znajdzie? – zapytała z rezygnacją Zofia, kiedy przycupnęła na wyszczerbionym kamiennym stopniu i przyłożyła ucho do grubej deski.

– Mam nadzieję – mruknęła „Marta”. – Nie chcę tu umrzeć śmiercią głodową.

Nagle z zewnątrz dobiegło rżenie koni i podniesione męskie głosy. Rosjanie.

– Pora wezwać pomoc – zdecydowała Zofia. – Ale jak przyjdą, ty znowu płaczesz.

– Do końca życia mam być dziewczęciem w opałach? – Koleżanka udąa oburzenie.

– Nic nie poradzę, że w lamentach jesteś lepsza ode mnie. Było się tak nie starać. Zaczynamy. Ratunku! – wrzasnęły jednocześnie, z całej siły waląc w drzwi tym, co wpadło im w ręce. – Ratunku!

Zdzierały sobie gardła przez dobre kilka minut i już zaczynały tracić nadzieję, że ktoś przyjdzie im z pomocą, kiedy męskie głosy nagle zaczęły się przybliżać.

– Kto tam? – zapytał wreszcie ktoś po drugiej stronie.

– Kobiety! – odpowiedziała Zofia. – Ratunku!

Żołnierze naradzali się przez chwilę, w końcu jednak pomajstrowali przy zamku i drzwi stanęły otworem. W piwnicy natychmiast zrobiło się tak jasno, że stojąca na progu Kellerówna zmrużyła powieki. Kiedy jej wzrok przyzwyczaił się do światła, tuż przed sobą zobaczyła pięciu wysmarowanych błotem strzelców z pułku syberyjskiego, uzbrojonych w mosiny-naganty. Jeden z nich nosił rękę na temblaku, a najstarszy rangą nie skończył pewnie dwudziestu pięciu lat i miał stopień plutonowego. I to on mierzył ją uważnym spojrzeniem. Ani chybi jakiś bystry chłopak.

– Coście za jedne? – zapytał groźnie.

– Rosyjskie poddane. Niemcy chcieli nas rozstrzelać.

Spuściła głowę i wtedy jej wzrok padł na kłódkę, w której wcale nie było klucza. A więc feldfelbel nie zamknął ich na amen, tylko przełożył pałąk przez uchwyty.

– Za co?

– A Bóg raczy wiedzieć.

Zofia mówiła piękną ruschczyzną bez cienia obcego akcentu – w swoim czasie zdała doskonale egzamin maturalny, co w rusyfikowanej przemocą Warszawie stanowiło trudne zadanie; za jedno nieprawidłowe *udarienje* sroga komisja odsyłała kandydatkę z niczym – dlatego plutonowy uwierzył, że nie mają nic wspólnego z Niemcami.

– Wychodzić. I pokazać papiery!

Już na zewnątrz bez słowa podały mu paszporty.

– Nie zabrali wam tego?

– Nie zdążyli sprawdzić. Na szczęście zaczęliście atakować.

Plutonowy kazał jednemu z żołnierzy zrewidować ich skromny bagaż, a sam dokładnie przestudiował oba dokumenty – dziewczęta na chwilę wstrzymały oddech – ale nie znalazł w nich niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Nie oddał ich jednak właścicielkom.

– Idziemy.

Zryte pociskami podwórze wyglądało inaczej niż poprzedniego popołudnia. Drewno walało się w najmniej spodziewanych miejscach, słoma została wdeptana w ziemię, a budynki strawił ogień. Jakimś cudem ocalały tylko kaczkki, znowu – jak gdyby nigdy nic – taplające się w kałuży. Koło studni leżały ciała w niemieckich i rosyjskich mundurach; pierwsze przeważały w tej ponurej arytmetyce. Żywych Rosjan było za to o wielu więcej niż stacjonujących tu przed kilkunastoma godzinami Niemców. Soldaci szukali rannych, sprawdzali wszystkie zakamarki, a na nie zerkali z ciekawością.

Straż prowadziła je w stronę lasu. Zofia rozglądała się ze zdumieniem: już wczoraj uważała, że osada została okropnie zniszczona, ale to, co ujrzała dzisiaj, przerosło jej najgorsze wyobrażenia. Większość domów i stodół spłonęła doszczętnie i w całej okolicy nie ostało się chyba ani jedno drzewo; tu i ówdzie sterczały tylko ich wypalone kikuty.

Wreszcie dotarli do częściowo zniszczonego budynku pod lasem; tam, na podwórzu, w tłumku oficerów, Kellerówna dostrzegła generała, a dokładnie, generała majora. Zapewne nie raczy im się przedstawić. Szkoda, byłoby co wpisać do raportu.

Plutonowy zameldował się służbiście młodemu kapitanowi i oddał mu papiery aresztantek. Kapitan przekartkował je szybko, a następnie podszedł do dowódcy i powiedział coś, czego z racji odległości nie

zdołały usłyszeć. Kiedy oficer skończył mówić, niektórzy z jego kolegów odwrócili się i spojrzeli na nie z ciekawością.

– Płacz – wycedziła przez zęby Zofia. – Na co czekasz? – Ciche pochlipywanie koleżanki w jednej chwili przeszło w rzewny lament.

Generał podszedł do nich, chcąc najwyraźniej obejrzeć je dokładniej i samodzielnie ocenić stopień stwarzanego przez nie zagrożenia. Omiótł wzrokiem Zofię i już zamierzał odwrócić się i odejść, kiedy zatrzymał wzrok na szlochającej „Marcie”. Na jego twarzy pojawił się wyraz nieledwie przerażenia.

„Dobra nasza. Boi się kobiecych lamentów”. Kellerówna ledwo zdążyła tak pomyśleć, a już rozpląkała się w głos. Nie, wcale nie dlatego, aby dodatkowo zmiękczyć serce dygnitarza – po prostu koleżanka uszczypnęła ją w ramię tak mocno, że lzy same pociekły jej po policzkach.

Łkały więc obie, a doświadczony generał major, który nie lękał się armii cesarza Wilhelma, wyglądał na bliski paniki.

– Siostry Kwiatkowskie – poinformował go kapitan, który wciąż ścisnął w garści paszporty. – Z Warszawy.

– Co panny tu robią?

– Ona... – Zofia z trudem złapała oddech. – Siostra szuka narzeczonego. Gdzieś tu walczy – dodała szybko, widząc konsternację oficerów; „Marta” ciągle zawodziła niczym syrena straży ogniowej. – Jest w naszej armii. – Słowo „naszej” wyraźnie zaakcentowała. – Słyszała, że zginął, ale nie wierzy. Nie mogłam puścić jej samej.

– A w którym pułku walczy ten naręczony?

– W Drugim Batalionie Saperów – rzuciła nazwę pierwszej formacji, jaka przyszła jej do głowy. – Przy granatach.

– To gdzieś bliżej Grójca trzeba go szukać... – zadumał się dygnitarz. – Ale później. Teraz czas wracać do domu i czekać na wieści. Ojciec wie, gdzie panny się włóczą!?

– Nie – odezwała się po raz pierwszy „Marta”, nie przestając płakać.

– Mam córki w waszym wieku! I hołbym skórę nie wlezie za takie pomysły. – Pogroził im palcem.

– My już chcemy do domu – powiedziała Zofia słabym głosem. – Nawet gdyby tatko miał łać. Ta bitwa taka straszna... A Niemcy... O mało nas nie zabil. Myśleli, że szpiegujemy.

Oficerowie spojrzeli po sobie i nagle wybuchnęli gromkim śmiechem. Dwie wiotkie umorusane błotem dziewczuszki z warkoczami pełnymi żdźbeł słomy zupełnie nie pasowały do ich wyobrażeń na temat niebezpiecznych wywiadowców. One zaś wiedziały doskonale, że im głupsze i bardziej bezradne będą się wydawać, tym lepiej dla nich.

– Dobrze – mruknął zde gustowany generał. – Zabiorę was do Grójca. A tam wsadzę w pociąg. Trochę pomożecie przy rannych i dotrzecie bezpiecznie do Warszawy.

Udało się.

4.

Zapiski Poli

Zosia wróciła! Błada i wymęczona, ale cała i zdrowa! Babcia z radości wypita aż dwa kieliszki koniaku, ale ciocia Klara wpadła w furję. Powiedziała, że jeśli coś takiego się powtórzy, to ona, jak nic, umrze na serce z niepokoju i będzie nas wszystkie straszyć po nocach.

Na szczęście Zosia przysięgła jej, że w najbliższym czasie nigdzie się nie wybiera. Moim zdaniem nie zabrzmiało to przekonująco, ale ciocia na szczęście uwierzyła.

Wciąż zgaduję, czym naprawdę zajmuje się moja siostra. Chętnie bym ją zapytała, ale nie mam śmiałości. Podejrzewam jednak, że musi to mieć coś wspólnego z Legionami, o których tak często opowiada, oraz z panem Piłsudskim. Jeśli tak, to może nagle okazać się, że stoimy po dwóch różnych stronach barykady.

Czy w takim razie powinnam bać się własnej siostry? A może mam lękać się o nią, bo gdyby wpadła w ręce Rosjan... Wolę nawet nie myśleć, co mogłoby jej wtedy grozić. Na szczęście chyba nikt jej o nic nie podejrzewa.

Niemcy znowu atakują. Armaty walą dzień i noc, aż drży ziemia i trzęsą się budynki. Turbin wydał kolejną odezwę. Pisze, że mamy zachować spokój, gdyż obrona Warszawy będzie doprowadzona do najwyższego napięcia. Wolę nie myśleć, co to może oznaczać. A jeśli chodzi o spokój... Dawno już zapomniałam, co to takiego.

ROZDZIAŁ VIII

I.

– Co dziś wyprawia się pod tym Grójcem? – rzucił ze złością doktor Zilber, najstarszy z lekarzy zatrudnionych w lazarecie, przyglądając się pacjentowi, którego sanitariusze położyli przed nim na stole operacyjnym. – Sama dzieciarnia. Z którego gimnazjum was przywieźli, kolego? – Zwrócił się do żołnierza.

Ranny spojrział na chirurga nieprzytomnie, a potem przymknął ciężkie powieki. Miał strzaskane lewe ramię, więc w punkcie opatrunkowym nie pożałowali mu morfiny, a i w sali przedoperacyjnej dostał pewnie kolejną dawkę.

– Gołowąsy!

Doktor Zilber słynął z wybuchowego temperamentu. Czasem przesadzał, jednak tym razem Nina przyznała mu rację. Ona także od kilku godzin ze zdumieniem i niedowierzaniem oglądała twarze kolejnych pacjentów: to naprawdę byli sami młodzi chłopcy.

Wiedziała oczywiście, że według prawa musieli mieć co najmniej dwadzieścia jeden lat, ale na przykład ten, którego młodzieńcza twarz tak zdenerwowała krewkiego chirurga, wyglądał najwyżej na szesnastkę. Szczupły i ciemnowłosy, do złudzenia przypominał Nince młodszego brata Krysi Jasnocianki, dawnej przyjaciółki z pensji, i gdyby nie rosyjskie nazwisko starannie wykaligrafowane w karcie, pomyślałaby, że to rzeczywiście on.

– Siostró, proszę nie spać! – ponaglił ją zniecierpliwiony Zilber. – Czekamy na znieczulenie!

– Przepraszam, panie doktorze.

Płynnym ruchem nałożyła rannemu na twarz kawałek gazy z wyciętym na środku owalnym otworem; musiała bardzo uważać, ponieważ niektóre osoby broniły się przed tym odruchowo. Następnie sięgnęła po przypominającą druciany koszyczek maskę Schimmelbusha starannie owiniętą warstwą jałowej materii i tak jak została nauczona w szkole pielęgniarstwie, przytrzymała ją jeden cal nad twarzą pacjenta. Odkręciła zawór aparatu Clovera, a wtedy uwolniony z szklanego cylindra chloroform zaczął w równych odstępach czasu skapywać na gazę. W skupieniu liczyła krople, a kiedy skończyła, odczekała chwilę i odchyliła jedną z powiek rannego, chcąc sprawdzić, czy znieczulenie zadziało. Nie do końca, więc cierpliwie powtórzyła całą operację.

– Gotowe! – zameldowała wreszcie.

– Dziękuję – mruknął chirurg, który akurat skończył oglądać fotografię rentgenowską pacjenta. – Niech mi to siostra oczyści, jak trzeba – zwrócił się do zakonnicy, wskazując na odsłonięte pole operacyjne. Kiedy Aniela sprawnie wykonała polecenie, przyjrzał się ranie, następnie jeszcze raz zerknął na kliszę i oświadczył: – Jeśli się postaramy, uratujemy mu tę rękę.

– Zrobię, co w mojej mocy – odparła spokojnie Aniela, która pracowała w szpitalach dłużej, niż Nina żyła na świecie. – Liczę, że pan doktor także.

– A kolega bardzo zmęczony? – Zilber spojrział na doktora Pakulskiego, który asystował mu tego dnia. – Nie chcę, żeby haki trzęsły się jak przy poprzedniej operacji.

– Dam radę, panie doktorze – zapewnił młody lekarz, który dopiero zgłębiał tajniki zawodu chirurga.

– Idealny zespół. – Zilber pokręcił głową z rozbawieniem. – Proszę o skalpel – powiedział i wyciągnął rękę.

– Skalpel – powtórzyła niczym echo szarytka i podała mu żądany instrument.

– Szczypce.

– Szczypce.

– I proszę, mamy niespodziankę. – Po kilku minutach uważnej pracy połączonej z nieustannym instruowaniem podwładnych Zilber wyciągnął z rany okrągły kawałek szrapnela. Niczym prestidigitator zademonstrował go młodszemu koledze i pielęgniarkom, po czym wrzucił do stojącej na szafce metalowej nerkii. – Żeby nie aparat rentgena, nie mielibyśmy szansy go znaleźć... A teraz trzeba wszystko złożyć tak, żeby znowu działało.

Reszta operacji przebiegła we względnej ciszy. Nina, z trudem przezwyciężając zmęczenie, co jakiś czas sprawdzała stan pacjenta; chloroform bywał zdradliwy i wystarczyła chwila nieuwagi, aby go przedawkować i doprowadzić do tragedii. Mimo ryzyka wolała to monotonne zajęcie niż kilkugodzinne stanie przy stole, podawanie instrumentów i przyglądanie się zmasakrowanym ciałom, do których nadal nie umiała przywyknąć.

– Kończymy – zdecydował wreszcie Zilber. – I szyjemy, kolego Pakulski. Szyjemy. Tylko równo! Niech ma chłopak ładny wzorek... Siostró Anieli, gdzie są nici? Znowu siostra wyniosła szwaczkom do prześcieradeł?

Dobry humor chirurga mógł świadczyć tylko o tym, że operacja przebiegła po jego myśli. Nie dało się jednak ukryć, że jest zmęczony: po tym jak sprawdził poczynania młodszego kolegi, z ciężkim westchnieniem opadł na krzesło.

– Chwilę odpocznę – zaczął usprawiedliwiającym tonem – i bierzemy następnego pacjenta.

– Minęło dwanaście godzin – powiedziała spokojnie siostra Anieli, wciąż asystująca Pakulskiemu. – Zaraz pan doktor pójdzie do domu. Doktor Kijewski kazał mi tego osobiście dopilnować.

– Zanim zaczęliśmy tę operację, przywieźli kolejnych rannych. Każda para rąk jest potrzebna.

– Właśnie. – Zakonnica pokiwała głową. – Byłoby szkoda, gdyby któryś z kolegów zamiast pacjentów, musiała ratować pana doktora. Wszyscy odpoczywamy. Jutro też będzie co robić.

– Siostra jest bardziej uparta niż moja żona – zażartował Zilber. – Widzę, że nie mam szans w tej dyskusji.

Zapisał w karcie ostatnie dyspozycje, a potem kazał wezwać sanitariuszy, aby zabrali pacjenta do sali pooperacyjnej. Nina uporządkowała zaś swój sprzęt, sprawdziła zapasy gazy, po czym wyszła na korytarz. Była zmęczona, ale zadowolona, że kolejna operacja miała szczęśliwe zakończenie. Swoją drogą, ostatnio nie poznawała samej siebie: im więcej i ciężiej pracowała, tym bardziej lubiła swoją pracę. Trudno uwierzyć, że nie dalej jak kilka tygodni temu uważała, że pielęgniarstwo nie jest zajęciem dla niej. Babcia miała rację, mówiąc, że trzeba robić, co należy, i nie zastanawiać się zbyt wiele.

Chciała napić się czegoś ciepłego, najchętniej herbaty. Postanowiła jednak zajrzeć najpierw do sali przedoperacyjnej, żeby sprawdzić liczbę nowych pacjentów. Ośmiu. Następnej zmiany nie zabraknie pracy.

– Ninka, z drogi!

Odskoczyła od drzwi i odwróciła się szybko. Sabina z mozołem pchała szpitalne łóżko, na którym leżał ranny ze ściśle obandażowaną głową. Koleżanki właściwie nie powinno tu być, gdyż na oddział chirurgiczny wpuszczano tylko zatrudnione tu osoby, księży oraz sanitariuszy; czasem jednak ci ostatni mieli tyle roboty, że pielęgniarki z innych oddziałów musiały im pomagać.

Nie rozmawiała z Sabiną od kilku dni. Brakowało ku temu okazji, mijały się bowiem nieustannie. Poza tym Kellerówna odnosiła nieodparte wrażenie, że szkolna znajoma zapomniała o niej. Najwyraźniej znalazła tu sobie nowe, znacznie weselsze towarzystwo.

– Ilu rannych zostało na dole?

– Chyba ze dwudziestu. Przywieźli ich przed chwilą – westchnęła koleżanka, zatrzymując się przed drzwiami do sali przedoperacyjnej. – Pani Bispingowa powiedziała, że kolejnych będziemy odsyłać do

Ujazdowskiego. Naprawdę nie wiem, jak dajesz tu sobie radę. Ja bym nie wytrzymała nawet dnia.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, ranny jęknął. Przywołana tym do porządku Dresslerówna znowu pchnęła łóżko, ale ono uparcie tkwiło w miejscu. Ninka, która widziała już takie sytuacje, pospieszyła z pomocą: schyliła się i odblokowała zaklinowane przednie kółka. We dwie wwozily pacjenta do środka i ustawiły w miejscu, które wskazała im nadzorująca salę siostra Franciszka.

– Idziesz do domu?

– Nie. – Sabina pokręciła głową. – Muszę uporządkować dokumenty w kancelarii. Byłabym zapomniała, jeden z nowych rannych pytał o ciebie.

– O mnie? – Zdziwiła się szczerze.

– Nie znam w tym szpitalu innej Niny Keller z brązowymi oczami.

Boże drogi, mógł to być tylko jeden jedyny człowiek. Nikt inny nie opisałby jej w taki sposób.

– Gdzie on jest?

– Pewnie na dole. Jak odchodziłam, doktor Perlman właśnie go oglądał.

– Dziękuję – rzuciła pospiesznie i nie oglądając się na koleżankę, opuściła salę.

Minęła hol, w którym znajdowały się umywalnie, płyny dezynfekujące oraz szafki z białą odzieżą, a potem co sił w nogach pobiegła w kierunku schodów. U ich szczytu dwaj sanitariusze ostrożnie przekładali rannego z noszy na łóżko. Podeszła do nich i spojrzała na twarz pacjenta.

Stanisław. Porucznik syberyjskiego pułku, który kilka dni temu uratował jej życie. Błady, z włosami posklejanymi potem, ze spierzchniętymi wargami i ściśniętą bólem twarzą – na jego lewym policzku widniała długa wąska rana o poszarpanych i osmalonych brzegach. Gruba warstwa bandaża spowijająca pierś w kilku miejscach była przesiąknięta krwią, która zdążyła zaschnąć; pomniejsze opatrunki chroniły też ramiona. Ranny sprawiał wrażenie nieprzytomnego, ale raz po raz kaszlał ciężko.

A więc jej błogosławieństwo i modlitwy nie zdały się na wiele.

– Ktoś znajomy? – zapytał jeden z sanitariuszy.

– Tak – odparła, nie spuszczać wzroku z rannego. – Co mu dolega?

– Rany klatki piersiowej. Na szczęście w pociągu ci z Czerwonego Krzyża odessali powietrze z płuca i założyli porządną opatrunkę. – Wskazał zakrwawione bandaże. – Doktor Perlman na triażu nakazał, żeby tego nie ruszać. A jak będzie fotografia, zabiorą go na operację.

– Czy mogę z nim zostać? Mam czas, skończyłam dyżur.

– A zawieszę go siostra na prześwietlenie? – zapytał szybko drugi sanitariusz. – My jesteśmy potrzebni na dole.

– Oczywiście.

– Proszę, tu wszystko jest napisane. – Chłopak podał jej kartę.

Nina położyła dokument na koldrze w nogach pacjenta i nagle jej wzrok zatrzymał się na wykaligrafowanych grażdanką informacjach.

Stanisław Jakowlewicz Woyda. Rok i miejsce urodzenia: 1891, Irkuck. 15. Pułk Strzelców Syberyjskich. Porucznik.

Rzeczywiście, z takim imieniem i nazwiskiem mógł być tylko Polakiem. Nie sądziła jednak, że jest taki młody. Tylko o rok starszy od niej, jak Zofia.

Chwyciła mocno tylną ramę i pchnęła. Chciała jak najszybciej dotrzeć do gabinetu rentgenowskiego. Wtaczała już łóżko do holu, kiedy spostrzegła wracającą z oddziału Sabinę. Koleżanka zerknęła na jej pacjenta.

– O, to ten, który pytał o ciebie. Skąd go znasz?

– Nie mam czasu opowiadać. – Nie zatrzymała się nawet na moment, wręcz przeciwnie: przyspieszyła kroku.

Skręciła w korytarz, gdzie mieściła się sterylizatornia, gabinet dentystyczny i pracownia rentgenowska. Widziała z daleka, że już jeden ranny czeka pod drzwiami na swoją kolej. Czuwała nad nim siostra Franciszka. Ninka zaniepokoiła się, gdyż nie wiedzieć czemu żywiła przekonanie, że porucznik natychmiast musi znaleźć się pod aparatem. Przerazała ją ten męczący go nieustanny kaszel.

Popędzała w myślach doktora Ignatowicza i jego pomocników. Wreszcie, po upływie kilku minut, sanitariusz wywiózł z gabinetu swojego pacjenta, a do środka wezwano podopiecznego siostry Franciszki. Nina zaś podjechała w pobliże drzwi i ustawiła łóżko w taki sposób, aby móc nim sprawnie manewrować. Pochyliła się nad rannym, a on ocknął się nieoczekiwanie. Oddychając z trudem, wbił ją w nią wzrok – jego oczy wydały się jej większe i ciemniejsze, niż zapamiętała.

– Nina... Znalazłem siostrę – wyszeptał po polsku i rozkaszał się znowu.

– Proszę się nie męczyć. – Odruchowo poszukała jego ręki; splelił palce tak mocno, jakby nie mieli rozłączyć się już nigdy. – Proszę nic nie mówić.

– Siostró... Nie chcę umierać.

– Nie umrze pan. Mamy tu doskonałych chirurgów... – Klepała pierwsze frazesy, jakie przyszyły jej na myśl. – Wyleczą pana. Wróci pan do domu. Do rodziny. Cały i zdrowy.

– Nie mam nikogo. Jestem sam...

– To nieprawda. Ma pan mnie – rzuciła z rozpędu, zanim zdążyła przemyśleć znaczenie tych słów.

Spróbował się uśmiechnąć, ale uśmiech szybko przeszedł w grymas bólu i ranny jeszcze mocniej ścisnął jej rękę.

– A wyjdzie siostra za mnie? – Patrzył na nią z taką nadzieją, że poczuła wzruszenie, ale przecież nie mogła potraktować poważnie takiego pytania. Na pewno nie w tej chwili.

– Za krótko się znamy, panie poruczniku.

– Myślałem, że całe lata.

– Zaręczam, że nie dłużej niż kwadrans, razem ze spotkaniem na dworcu. Ale zaopiekuję się panem. Obiecuję.

– Jak wyżyję, wywiozą mnie do Rosji.

Rzeczywiście, rannych, których życiu nie zagrażało już niebezpieczeństwo, na dalszą kurację odsyłano w głąb Imperium. Zostawali tylko ci, którzy mieli na miejscu rodziny mogące zająć się nimi odpowiednio.

– Im dalej od frontu, tym lepiej.

– Nie chcę wracać – powiedział jeszcze ciszej niż poprzednio i z większym trudem. – Skoro przyjechałem, chcę zostać. Mój dziadek pochodził stąd... Zesłali go na Sybir.

– Może kogoś zawiadomić? Ma pan w mieście jakichś krewnych?

– Nie wiem. – Przymknął powieki i znowu zakaszał.

Drzwi otworzyły się z rozmachem i na korytarz wytoczył się wózek pchany przez siostrę Franciszkę, a po chwili z gabinetu wyjrzał felczer Grygier.

– Zapraszam. – Ponaglił Ninę gestem.

– Już. – Delikatnie uwolniła palce z uścisku porucznika, chwyciła poręcz wózka i wjechała do środka. – Dobry wieczór – przywitała się grzecznie z lekarzem.

Gabinet rentgenowski był przestronny jak większość pomieszczeń Korpusu Kadetów, a na samym jego środku królował duży metalowo-drewniany aparat składający się ze specjalnej lampy w obsadzie, przypominającej stożek albo odwrócony smukły kielich do szampana, z drewnianego łóżka, dającego się ustawić w pozycji pionowej lub poziomej, oraz pulpitu, na którym znajdowały się przeróżne regulatory, dźwigienki i mierniki. Nina zawsze, kiedy tu przychodziła, z ciekawością przyglądała się urządzeniu będącemu prawdziwym cudem techniki. Doktor Ignatowicz, główny szpitalny specjalista od radiologii, miał na sobie duży ochronny fartuch z ołowiem; raz przymierzyła go z ciekawości i ledwo

zdołała unieść. Na doktorze, który choć skończył sześćdziesiąt lat, ale wciąż był krzepki, ten ciężar nie robił żadnego wrażenia.

– Myślałem, że siostra już po dyżurze.

– Czasem trzeba zostać – odparła zdawkowo.

Doktor uważnie przeczytał kartę pacjenta, a następnie powiedział do swoich pomocników.

– Prześwietlamy klatkę piersiową.

Dyżurujący w pracowni sanitariusz oraz felczer Grygier ostrożnie przenieśli pacjenta na łóżko aparatu i ułożyli w odpowiedniej pozycji. Porucznik nie ruszał się wcale, nawet przestał kaszleć i gdyby nie to, że otworzył oczy i zamrugał, pomyślałaby, że wyzionął ducha.

Z nieukrywaną fascynacją obserwowała, z jaką precyzją Ignatowicz ustawia ruchomą lampę nad pierśią rannego, następnie sprawnie manewruje pokrętkami i wreszcie wykonuje fotografię.

Miała nadzieję, że rany porucznika nie są poważne. Że skoro wytrzymał jazdę koleją i transport do szpitala, ma duże szanse na przeżycie. Tak, obchodził ją jego los. Ten mężczyzna stał się jej bliski w chwili, kiedy oszołomiona po nalocie sterowców usiadła na torach kolejowych i spojrzała mu w oczy. Chciała dowiedzieć się o nim czegoś więcej i odwzajemnić za pomoc.

– Skończyłem – oświadczył lekarz. – Można go zabierać.

2.

– Ależ siostra niecierpliwa – powiedział doktor Ignatowicz, kiedy po kilkunastu minutach wróciła do pracowni radiologicznej. Udało się jej wślizgnąć do środka pomiędzy jednym a drugim pacjentem.

– Zaniósł zdjęcia doktorowi Jasińskiemu. Zaraz ma się zająć porucznikiem Woydą.

– Proszę bardzo, są gotowe. – Wskazał jej biurko, na którym piętrzyło się z kilkanaście przeróżnych klisz. – Zamierzałem wysłać z nimi pana Tomasza. – Sięgnął po dwie fotografie leżące na samym brzegu. – Wygląda na to, że nie ma pośpiechu. Przykro mi, siostrze.

– Myślałam...

– To siostry znajomy?

– Można tak powiedzieć.

– Niech siostra lepiej się z nim pożegna. Proszę spojrzeć. – Radiolog podsunął jej pierwszą z fotografii. – Gdyby chodziło o te dwa odłamki w płucach, sprawa nie byłaby przesądzona, zręczny chirurg wydluwałby je bez problemu. Ale widzi siostrze, gdzie jest trzeci?

Kiwnęła głową, bo nagły skurcz gardła nie pozwolił jej powiedzieć nawet słowa. Patrzyła z przerażeniem na jasny nieregularny kształt widoczny na tle nieco ciemniejszego organu i oddałaby wiele, aby ten obraz stanowił tylko wytwór jej wyobraźni. Niestety, Ignatowicz rozwiął ostatnie nadzieje.

– Serce. On ma odłamek w sercu! Dziwne, że jeszcze żyje... Nie zazdrozczę Jasińskiemu. Nigdy nie robił takiej operacji.

– Żaden z naszych lekarzy nie robił – wtrącił felczer Grygier, który dotąd w milczeniu słuchał ich rozmowy. – Chłopak umrze na stole. Może lepiej zostawić go w spokoju?

– Może i tak... to zapewne kwestia godzin.

– Wezmę te zdjęcia – wykrztusiła wreszcie. – Pokażę doktorowi. Może coś poradzi.

Lekarz podał jej klisze. Odniosła wrażenie, że spogląda na nią ze współczuciem. Nie pożegnała się nawet, tylko od razu wypadła na korytarz i pobieгла do holu. Doktor Jasiński stał przy umywalni.

– Panie doktorze – rzuciła zdyszana. – Proszę... – Wyciągnęła rękę, w której ścisnęła fotografie. – Od doktora Ignatowicza. Porucznika Woyny, tego z ranami klatki.

– Najwyższy czas – mruknął lekarz, sięgając po klisze. – Pacjent czeka w sali. – Zaczął przyglądać się obrazowi uwiecznionemu na kliszy i nagle zbladł. – Niech to diabli... – rzucił półgłosem, nie zważając na obecność jej i kilku sióstr szarytek. Nina spojrzała na niego ze zdumieniem, bo chirurg, stateczny i nieco kostyczny pięćdziesięcioletek, nigdy nie zachowywał się w taki sposób. – Potrzebuję konsultacji. Jest doktor Ruciński? – zwrócił się do siostry Franciszki, która zaniepokojona hałasami wyjrzała z sali pooperacyjnej.

– Poszedł do domu – odpowiedziała zakonnica, a potem szybko zaczęła wyliczać: – Ale jest doktor Zawadzki, doktor Sommer, doktor Nowicki i doktor Kuryłowicz. Doktor Zawilski przed chwilą skończył operację. Mam go poprosić?

– Sami smarkacze – zachnął się Jasiński i znowu spojrzął na zdjęcie. – Niech siostra prosi Zawilskiego – polecił wreszcie z ciężkim westchnieniem. – Musi mi potwierdzić, że to beznadziejny przypadek.

– Ktoś o mnie wspominał? – zapytał młody chirurg, który akurat wyszedł z jednej z sal. – Mogę w czymś pomóc?

– Niech pan, kolego, zerknie na to.

Zawilski wziął klisze, ustawił je pod światło, po czym obejrzał dokładnie i bez słowa.

– Chodźmy do gabinetu – powiedział wreszcie zmienionym głosem. – Musimy porozmawiać.

Nina z trudem powstrzymywała łzy. Tak bezradna nie czuła się od dnia śmierci ojca. Tyle że wtedy nie mogła nic zrobić ani w żaden sposób odwrócić nieszczęścia. A teraz?

– Niech siostra się uspokoi – powiedziała Franciszka, podając jej kawałek starannie złożonej gazy. – I proszę iść do niego. Potrzebuje, żeby ktoś z nim teraz był. A ja poszukam księdza. Widziałam go przed chwilą.

Nina pokiwała głową, a potem wytarła oczy i wyczyściła nos. Zakonnica miała rację – jeszcze nie nadeszła pora na lamenty.

– Do której sali go zawieźli?

– Do ostatniej.

W innej sytuacji nie odważyłaby się wejść do pomieszczenia, gdzie za chwilę rozpocznie się operacja, nie należąc do zespołu, który będzie ją przeprowadzał. Teraz nie myślała o tym, zresztą wiele wskazywało, że zabieg nie odbędzie się wcale. Pewnie położą porucznika na pooperacyjnej, naszpikują morfiną do granic możliwości i będą czekali, aż umrze. A potem pochowają na nowym powązkowskim cmentarzu, hen za granicami miasta, gdzie Rosjanie grzebią swoich zmarłych żołnierzy i gdzie nikt nie zdoła go odnaleźć. Błyskawicznie podjęła decyzję: nie pozwoli na to! Jej rodzina, co prawda, straciła majątek, ale nadal miała duży grób w dobrym miejscu na starych Powązkach. Mogła zrobić chociaż tyle.

– Co tu robisz? – zapytała z pretensją siostra Maria wyznaczona do czuwania nad pacjentem, kiedy Nina stanęła przed nią w pogniecionym fartuchu, bez maski i bez rękawiczek. – Wyjdź natychmiast. Wiesz, że rozsiewasz mikroby.

– Nie wyjdę. Muszę z nim zostać.

– W takim razie przebierz się i wymyj porządnie.

– Nie mam czasu. Muszę z nim zostać – powtórzyła. – Jak chcesz, idź na skargę do doktora Jasińskiego.

Maria prychnęła nerwowo i pospiesznie opuściła salę. Kellerówna wiedziała, że prędko nie wróci, gdyż chirurg zaraz wyjaśni jej, co wydarzy się najpóźniej za kilka godzin.

Podeszła do stołu operacyjnego, na którym leżał porucznik. Na szczęście był przytomny. Ucieszył się na jej widok, a ona, jak poprzednio, wzięła go za rękę.

– Nie wiedziałem, że siostra jest taka waleczna. – Oddychał coraz ciężiej.

– Zależało mi, żeby pana zobaczyć – powiedziała cicho, z trudem powstrzymując płacz. On zaś natychmiast się rozpromienił. Wyglądał tak pięknie, że nie mogła oderwać od niego wzroku; nie szpeciła go nawet poszarpana rana na policzku.

– Ożenię się z siostrą, jak tylko stąd wyjdę. Przekonam siostrę...

Kiedy dwadzieścia minut temu powiedział, że nie ma domu i jest sam na świecie, pomyślała, że nie tyle kłamie – bo kto mógłby kłamać w obliczu śmierci? – ale przesadza, chcąc wzbudzić w niej litość. Teraz wierzyła mu bez zastrzeżeń. Zrozumiała też, że jego oświadczenia, choć zapewne podyktowane strachem przed samotnością, były szczerze.

Ukradkiem wytarła oczy.

– Po co czekać? Pobierzmy się teraz – rzuciła desperacko. Niewiarygodne, że zdołała wypowiedzieć głośno tak szalone słowa. Nie zamierzała jednak ich cofać, choć znowu przestraszyła się samej siebie.

– Zgoda. – Zakaszła. – Nie zaryzykuję, że siostra zmieni zdanie.

Zostało mu niewiele czasu, ale przynajmniej będzie spokojniejszy, jeśli uwierzy, że sprawy ułożą się po jego myśli. I że nie będzie musiał wracać do Rosji. Przysięgła sobie, że dopilnuje, aby nikt inny nie ośmielił się powiedzieć mu, że i tak nie grozi mu żaden powrót, ponieważ jedyne, co go czeka, to pogrzeb. Jako żona będzie miała też prawo zostać przy nim do końca.

– Powiedziano mi, że jestem potrzebny. – W drzwiach sali operacyjnej stanął szpitalny kapelan, ksiądz Żemralski, gotowy do udzielenia ostatniego sakramentu. Porucznik nie domyślił się celu jego wizyty, gdyż wyraźnie się ożywił.

– Skąd ksiądz wiedział?

– Siostra Franciszka powiedziała mi, że...

– Udzieli nam ksiądz ślubu? – Nina wpadła kapłanowi w słowo. Nie chciała, aby zaczął mówić o śmierci. – W tej chwili?

Ksiądz westchnął, ale nijak nie skomentował tej prośby. Siostra Franciszka na pewno opowiedziała mu o wszystkim bardzo dokładnie.

– W tak nagłej sytuacji mogę. Jesteście oboje pewni, że chcecie się pobrać?

– Tak – odpowiedzieli jednocześnie.

– Dobrze... – Ksiądz dyskretnie odłożył na szafkę bursę i oleje, potem zastanowił się chwilę i powiedział: – Siostrę znam i wiem, że nie ma przeszkód do zawarcia małżeństwa. O panu, panie poruczniku Woyda – zerknął w kartę rannego – nie wiem nic. Jest pan kawalerem? I katolikiem?

– Jestem – szepnął ranny, a potem odrobinę głośniejszym głosem dodał: – Nie ma żadnych przeszkód. Przysięgam na grób rodziców. – Zakaszła mocno, zranione płuco nieustannie dawało o sobie znać. Czas darowany mu przez los chyba się kończył.

– W ostatnią niedzielę byłam u spowiedzi – powiedziała Nina.

– Co tu się dzieje?

Do środka wmaszerował doktor Zawilski ubrany jak do operacji. Miał nawet maskę na twarzy. I rękawiczki. Za nim dreptała wystraszona siostra Maria i jeszcze siostra Eugenia, doskonała instrumentariuszka, która podobno brała udział w wojnie japońskiej. Pochód zamykał doktor Sommer, najmłodszy z chirurgów zatrudnionych w szpitalu.

– Siostro, niech siostra opuści salę, zanim trzeba będzie wszystko zdezynfekować... – Urwał na widok księdza Żemralskiego i wszystkich jego utensyliów. Nie wątpił, że ta wizyta jest pacjentowi potrzebna. – Czy ksiądz już skończył?

– Jeszcze pięć minut – odpowiedział spokojnie kapelan. – Udzielę tylko ślubu narzeczonym. – Spojrzał znacząco najpierw na porucznika, a potem na nią.

– Jakiego znowu ślubu? Musimy zaczynać operację. Natychmiast.

A więc wbrew opinii doktora Jasińskiego postanowił zaryzykować? A doktor Sommer razem z nim? Bogu dzięki, że postanowili dać rannemu przynajmniej cień szansy.

– W takim razie nie ma na co czekać – powiedział ksiądz Żemralski. – Im prędzej dam im ślub, tym wcześniej będziecie panowie mogli zacząć. Chyba że narzeczeni się rozmyślili?

– Bez ślubu nie będzie operacji – odezwał się nagle ranny zadziwiająco pewnym głosem, jednocześnie mocniej ściskając rękę Niny.

Doktor Zawilski spojrział na niego jak na szaleńca, ale nie zaproponował przeniesienia uroczystości na inny termin.

– Proszę nas zawołać, kiedy będzie po wszystkim.

– Proszę nie wychodzić, doktorze. Potrzebuję świadków.

Chirurg dłużej nie dyskutował, został w sali, a wraz z nim Maria, Eugenia i doktor Sommer. Nina zdawała sobie sprawę, że koleżanki natychmiast rozniosą tę romantyczną historię po całym szpitalu, ale w tej chwili nie obchodziło to jej wcale.

Ksiądz dłużej nie zwlekał.

– Żałuj za grzechy – zwrócił się do porucznika, a potem przez czas jakiś modlił się w skupieniu, wreszcie zrobił nad rannym znak krzyża i powiedział: – Odpuszczam tobie grzechy w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Następnie polecił im, aby podali sobie prawe dłonie, które owinął stułą. Powtarzali za nim słowa przysięgi małżeńskiej. Stanisław, któremu oddychało się coraz ciężiej, szeptem, a ona głośno i wyraźnie. Na koniec ksiądz udzielił im komunii świętej.

Wcześniej – w odróżnieniu choćby od Julii – Nina nie wyobrażała sobie własnego ślubu. Oczywiście wiedziała, że jeśli zdecyduje się wyjść za mąż, uroczystość zostanie urządzona tak samo jak te, w których uczestniczyła wiele razy. Że będzie karetą zaprzężoną w kilka koni, biała suknia, welon i wianek z kwiatu pomarańczy, ojciec prowadzący ją do ołtarza i do człowieka, którego sama sobie wybrała.

Tymczasem los przyszykował dla niej coś innego. Salę operacyjną w wojennym szpitalu, sfatygowany pielęgniarski fartuch i chustkę szczerlnie zasłaniającą włosy. Nie miała przy sobie nikogo z rodziny, tylko obcych ludzi oraz mężczyznę, którego ledwo знаła i zapewne nie zdąży poznać lepiej. Co więcej, wciąż nosiła żałobę po ojcu. Wierzyła jednak, że postępuje słusznie.

– Bierzemy się do roboty – powiedział doktor Zawilski, kiedy ksiądz zakończył błogosławieństwo. – Najwyższa pora. Czy ktoś z państwa chce jeszcze zrezygnować?

Nikt nie zgłosił zastrzeżeń ani obaw; doktor Sommer oraz obie pielęgniarki byli gotowi na arcytrudne zadanie, jakie ich czekało.

– Nie będziemy dłużej przeszkadzać – powiedział kapelan, poprawiając stułę, która krzywo zwisała z jego ramienia, zaś Nina spojrzała niepewnie na chirurga i zapytała:

– Czy mogę zostać i pomóc? Natychmiast przebiorę się i umyję.

– Wolne żarty – rzucił Zawilski. – Jako osoba z rodziny nie ma tu siostra nic do roboty. Proszę się pożegnać i czekać na korytarzu.

Nie chciała zabierać lekarzom cennego czasu, więc nie oponowała. Pochyliła się nad mężem – Boże drogi, jak dziwnie brzmiało to słowo – i musnęła ustami jego czoło.

– Poradzisz sobie – wyszeptala, patrząc mu w oczy. Nie mogła pozbyć się myśli, że najprawdopodobniej po raz ostatni widzi go żywego.

– Poradzę. – Uśmiechnął się do niej z wysiłkiem. – Obiecuję.

Dobrze, że nie zdawał sobie sprawy ze swojego stanu... Jeszcze raz uścisnęła jego rękę, a potem nie oglądając się za siebie, wyszła na korytarz, gdzie czekał na nią ksiądz Żemralski.

– Nie udzielił mu ksiądz ostatniego namaszczenia. – Wytarła oczy wierzchem dłoni.

– Myślę, że ten sakrament, który przyjął, bardziej mu pomoże – powiedział kapelan w zamyśleniu.

– Książd wierzy, że on...
– Proszę się za niego modlić – przerwał jej z westchnieniem. – I za zręczność palców doktora Zawilskiego.

3.

Czas nawet nie włókł się, ale pełzał, zaś Nina siedząca pod drzwiami sali operacyjnej przeżywała katusze i najkoszmarniejsze godziny od czasu śmierci ojca.

Najgorsza była nieświadomość tego, co działo się w sali operacyjnej, oraz wynikająca z niej bezsilność. Gdyby pozwolono jej zostać, miałaby poczucie, że choć odrobinę panuje nad sytuacją.

Pierwszy raz serce podeszło jej do gardła, kiedy na korytarz wyskoczyła zdenerwowana siostra Maria i co sił w nogach popędziła do sterylizatorni. Po kilku minutach wróciła już spokojniejszym krokiem, niosąc oburącz metalową tacę, na której leżały instrumenty chirurgiczne starannie owinięte białymi ściereczkami. Nina zerwała się z krzesła i otworzyła koleżance drzwi; Maria kiwnęła głową w podziękowaniu, nic więcej. Skoro jednak operacja nadal trwała i chirurdzy potrzebowali dodatkowych narzędzi, pacjent jeszcze żył. Trzeba więc mieć nadzieję. I czekać.

Znowu zaczęła się modlić, potem długo chodziła w tę i z powrotem, aż wreszcie usiadła dokładnie naprzeciwko drzwi i wbiła w nie wzrok. Czasem zaglądały do niej dyżurujące pielęgniarki i przynosiły szklanki z wodą; zapewne przy okazji chciały posłuchać ekscytującej opowieści o wielkiej miłości, ale ona wciąż milczała, więc zniechęcone szybko odchodziły. Nina wypijała zaś wodę do ostatniej kropli.

Nagle ze środka dobiegły ją krzyki; rozpoznała podniesiony głos doktora Zawilskiego, ale choć podeszła do drzwi i przyłożyła do nich ucho, nie zdołała zrozumieć słów.

Wreszcie zapadła cisza. Szarpiąc nerwowo skórki przy paznokciach, znowu zaczęła krążyć po korytarzu. Nie wiedząc już, co robić, wyszła do holu i dopiero tam spojrzała na zegar. Przed kwadransem minęła północ, a więc operacja trwała od ponad pięciu godzin. Ona zaś cały ten czas spędziła na czekaniu. Nie czuła zmęczenia. Nie czuła nawet głodu.

– Powinna siostra iść do domu. Odpocząć.

Odwróciła się i zobaczyła Franciszkę, która wciąż pełniła dyżur w sali pooperacyjnej.

– Nie. – Pokręciła przecząco głową. – Zaczynam pracę dopiero za trzydzieści godzin.

– Pani Bispingowa wydłużyła siostrze przerwy między dyżurami, żeby siostra wreszcie odetchnęła.

– Muszę czekać. – Spojrzała zakonnicy w oczy. – Nie mogę zostawić męża. – Pierwszy raz nazwała tak Stanisława w rozmowie z inną osobą. Dziwne, ale zdołały się do tego przyzwycząić.

– Widać, że siostra bardzo go kocha.

– Ja... – Zawahała się. – Przepraszam siostrę, muszę wracać.

– Modlę się za niego. Za was oboje.

– Dziękuję – powiedziała cicho i wróciła na swoje miejsce przed salą operacyjną.

Znowu usiadła na krześle, które wydało się jej o wiele bardziej niewygodne niż przed kilkoma minutami. Zamknęła oczy, a wtedy wróciły do niej słowa wypowiedziane przed chwilą przez szarytkę: „Widać, że siostra bardzo go kocha”.

Dziwne. Nie spodziewała się, że ktoś w taki sposób mógł odebrać jej zaangażowanie. Boże drogi, w grę wchodziła wdzięczność i troska, a może nawet i współczucie, ale nie zakochanie! Nie umiała by pokochać człowieka, o którym nie wiedziała absolutnie nic. Jaki ma charakter? Co lubi? Co go złości? Kim byli jego rodzice? Miłość to zbyt poważna sprawa, aby podchodzić do niej beztrudnie i nieodpowiedzialnie. Miłość to...

– Sostro... Proszę się obudzić.

Do rzeczywistości przywołał ją głos doktora Zawilskiego. Rozwarła powieki i natychmiast poderwała się z miejsca. Spoglądała nieprzytomnie na chirurga i serce podchodziło jej do gardła, gdyż wyglądał jak śmiertelnie zmęczony człowiek. Tylko oczy błyszczały mu nienaturalnie.

– Doktorze, czy on... czy on... – Bała się dokończyć zdanie. – Co z nim?

– Żyje.

– Bogu dzięki.

– Najpierw wyciągnęliśmy mu kawałki granatu z lewego płuca – kontynuował lekarz – potem wycięliśmy się za serce... Zdążyliśmy w ostatniej chwili, bo odłamek zaraz wpadłby do krwiobiegu... Nigdy wcześniej nie robiłem czegoś takiego! Ale myślałem, że może się udać. Kolega Sommer doskonale się sprawił... Naprawdę niebezpiecznie zrobiło się dopiero, gdy siostra Maria nie upilnowała chloroformu. Musiałem robić masaż na tym rannym sercu.

– Jezu Chryste!

– Że on to wszystko przeżył... – Podekscytowany Zawilski z niedowierzaniem kręcił głową. – Niesamowicie mocny organizm. Albo Bóg wysłuchał siostry modłów. W każdym razie niech siostra modli się dalej. Wciąż tego potrzebuje.

– Modliłam się i za pana, panie doktorze. Dziękuję, że pan się odważył...

– Doktor Jasiński chciał odesłać mnie do Tworek, ale uznałem, że nie ma nic do stracenia, a wiele do wygrania. – Zdjął czepkę i odruchowo potarł czoło.

Z sali operacyjnej wytoczył się wózek, na którym leżał uśpiony pacjent. Nina jeszcze raz podziękowała doktorowi i szybko dogoniła sanitariusza. Ten spojrzął na nią niepewnie i zatrzymał się w miejscu. Skinęła mu głową z wdzięcznością, a potem spojrzała na męża: był jeszcze bledszy niż przed operacją i spał tak twardo, że na pierwszy rzut oka wyglądał jak nieżywy.

– Mogę z nim zostać? – zapytała Zawilskiego, który podszedł do nich i stanął przy wezgielciu pacjenta.

– Wykluczone – oświadczył. – Pan porucznik będzie teraz spać, ale ktoś musi czuwać nad nim.

– Ależ panie doktorze, ja...

– Ktoś przytomny. – Chirurg pogroził jej palcem. – Proszę natychmiast iść do domu i wrócić, kiedy siostra odpocznie. Gdyby coś się działo, zatelefonujemy.

Sanitariusz znowu pchnął wózek i potoczył go w kierunku sali pooperacyjnej.

ROZDZIAŁ IX

I.

Przez szparę między niedokładnie zaciągniętymi zasłonami sączyło się łagodne słoneczne światło. Nina usiadła na łóżku i przez chwilę wpatrywała się w tak rzadko spotykany tej jesieni widok. Nie zdążyła jeszcze całkowicie dojść do przytomności. Ciężka jej głowa i piekły oczy; mocno potarła je dłońią i rozejrzała się po pokoju. Drugie łóżko było puste i starannie zasłane; Zosia zapewne z samego rana udała się do swoich tajemniczych zajęć.

Która godzina? Prawie południe. A więc przespała bite dziesięć godzin. Wcześniej spędziła w lazarecie półtorej doby, ale zmęczenie dopadło ją dopiero, kiedy weszła do domu.

Przymknęła powieki, a wtedy wróciły do niej obrazy minionego wieczoru. Ranny porucznik Woyda. Budząca groźę fotografia. Natychmiastowy ślub. Operacja i godziny czekania. Dające nadzieję słowa doktora Zawilskiego.

Stanisław przeżył. I na pewno żył do tej pory, bo w innym przypadku któraś z domowniczek odebrałaby telefon, a potem przybiegła do niej z tragiczną informacją i żądaniem wyjaśnienia.

Musiała jak najszybciej wyszykować się, coś zjeść – wreszcie czuła, że naprawdę jest głodna – a potem iść do szpitala. Rozpocząła dyżur dopiero o szóstej po południu, ale chciała dowiedzieć się, co z mężem. Zobaczyć go na własne oczy.

Mąż? Od dziecka przywykła do myśli, że dopóki Zofia jest panną, ona ma czekać cierpliwie na swoją kolej. Inna sprawa, że nie potrafiła wyobrazić sobie życia u boku któregokolwiek ze znanych jej mężczyzn. Natomiast Stanisław... Jakiegokolwiek rozważania na temat przyszłości mijają się z celem, ponieważ w każdej chwili mogła owdowieć. Choćby jednak to małżeństwo miało trwać tylko jeden dzień, powinna powiedzieć o nim rodzinie, bo jeśli, nie daj Boże, zdarzyłoby się najgorsze, zamierzała pochować go w rodzinnym grobowcu.

Wstała z łóżka, narzuciła na siebie jedwabny peniuar, który pozostał jej z lepszych czasów i przemknęła do łazienki, a kiedy stamtąd wracała – umyta i odświeżona – zajrzała do salonu. Babcia, jak zwykle o tej porze, siedziała w swoim ulubionym fotelu pod oknem i zawzięcie studiowała „Kurier Warszawski”. W kolejce czekały jeszcze „Kurier Poranny” i „Gazeta Warszawska”.

Nina nie wiedziała, w jaki sposób powiedzieć rodzinie o zmianie, jaka zaszła w jej życiu, ale jednego była pewna – najpierw należało porozmawiać z babcią. Jej wsparcie mogłoby pomóc w zażegnaniu awantury, którą niechybnie wywoła ciotka Klara wstrząśnięta postępkami bratanicy.

– Dzień dobry babci.

– Dzień dobry, kochanie. – Adela odłożyła gazetę i pospiesznie zdjęła okulary; nie lubiła pokazywać się w nich komukolwiek. – Wyspałaś się choć odrobinę?

– Dziękuję, tak... Czy... czy nikt nie telefonował?

– Ze szpitala? Nie. Dzwoniła tylko pani Zapiórkiewiczowa, że sekcja dostała jakiś nowy budynek dla bezdomnych. Klara i Julia natychmiast tam pobiegły. Dziwne, że Julia wytrzymuje w tej pracy tak długo.

– Jest uparta i wstydzi się przyznać, że dobroczynność ją rozczarowała.

– No dobrze, my tu sobie rozmawiamy, a ty przecież jesteś głodna. – Babcia wróciła do rzeczywistości. – Balbino! – zawołała. – Balbino chodź tu zaraz. Przynies śniadanie dla panienki!

Pani i służąca porozumiewały się w ten sposób od kilku tygodni; Adela uznała dzwonienie dzwonkiem na jedyną służącą w domu za zbyt pretensjonalne.

Nie minęły trzy minuty, a Balbina wkroczyła do salonu z tacą przygotowanych zapewne wcześniej wiktuałów oraz dwiema szklankami herbaty. Rozstawiła wszystko na stole i powiedziała:

– Niech panienka zje jak najwięcej, bo już kości widać.

– Jedz, dziecko – poparła ją Adela. – Balbina przed chwilą wróciła z zakupów.

Nina usiadła przy stole naprzeciwko babci i sięgnęła po chleb, który ku jej zaskoczeniu okazał się świeży, oraz masło i twaróg. Nie znalazła żadnej wędliny, ale wcale jej to nie zdziwiło; tocząc się wciąż bitwa odcięła wiele szlaków zaopatrzenia.

– Proszę babci – zaczęła, odruchowo podnosząc wzrok na spoglądającą z portretu matkę, jakby oczekiwała od niej pomocy. – Czy mogłabym z babcią porozmawiać? O bardzo osobistej sprawie.

– Nie mów, że zgłosiłaś się na front! – Adela złożyła ręce jak do modlitwy. – Za nic nie pozwolę ci popełnić takiego głupstwa.

– Nie, proszę babci, nie zgłosiłam się na front. Wcale mi tam niespieszno.

– W takim razie mów, dziecko, zanim rozboli mnie serce.

Już miała zacząć tę trudną rozmowę, kiedy w drzwiach salonu stanęła Pola, która najwyraźniej nie wychodziła dziś z domu. Dziewczyna spojrzała najpierw na siostrę, a potem na babcię i w lot pojęła, że im przeszkadza.

– Przepraszam – rzuciła zmieszana. – Już wracam do siebie.

Ninę nagle coś tknęło.

– Polciu. Chodź tutaj. Chcę, żebyś i ty wysłuchała tego, co mam do powiedzenia. – Wiedziała, że siostra nie będzie jej oceniać. I że może jej zaufać.

Pola posłusznie weszła do pokoju i usiadła obok niej.

– Co to za sprawa, moje dziecko? – zapytała łagodnie babcia.

– Sama nie wiem, od czego zacząć.

– Nie owijaj w bawełnę – zaproponowała młodsza, biorąc ją za rękę. – Przecież żadna z nas nie zrobi ci nic złego.

– Masz rację. – Zerknęła ponownie na namalowaną przez Axentowicza łagodną twarz matki, a potem wyprostowała się i nie puszczając dłoni siostry, rzuciła: – Wczoraj wieczorem wyszłam za mąż.

– Co takiego?! – Babcia, która akurat słodziła herbatę, upuściła na stół szczypczyki od cukru. Pola otworzyła usta, ale nie wykrztusiła ani słowa.

Nina spuściła głowę i powiedziała:

– Przepraszam, ale musiałam tak postąpić.

– Jesteś przy nadziei? – jęknęła ze zgrozą Adela, nie zważając na obecność najmłodszej wnuczki. – Kto ośmielił się...

– Ależ skąd! – wpadła babci w słowo. – Po prostu musiałam... chciałam mu pomóc.

– Kim on jest? – zapytała babcia nieco uspokojona tym wyznaniem. – Czy to ktoś znajomy?

– Spotkałam go kilka dni temu... – zaczęła niepewnie.

– Mów dalej... Mów.

– Nazywa się Stanisław Woyda. To Polak i katolik. Urodził się na Syberii. Ma dwadzieścia trzy lata i jest rosyjskim oficerem... porucznikiem w Pułku Strzelców Syberyjskich. On... on uratował mi życie.

– Myślę – Adela westchnęła, nie spuszczać z niej wzroku – że powinnaś opowiedzieć nam całą historię od początku. Zaczekaj tylko chwilę, bo muszę sobie nalać koniaku.

2.

Zofia, pokaszując od czasu do czasu, siedziała w kawiarni Loursa i popijając kawę, czekała na koleżankę, która miała dostarczyć jej raporty zebrane z kilku warszawskich szpitali. Ich przełożeni bardzo szybko zorientowali się, że są to miejsca, gdzie łatwo i szybko można zdobyć istotne informacje: ranni żołnierze i oficerowie bez najmniejszych oporów, a wręcz nader chętnie opowiadali opiekującym się nimi uroczym sanitariuszkom o frontowych przygodach, nie szczędząc przy okazji ważnych szczegółów na temat swoich jednostek.

– Przepraszam. – Zadyszana i zarumieniona Sabina klapnęła na sąsiednie krzesło. – Nie zmieściłam się do tramwaju. Musiałam czekać na następną.

W normalnych warunkach córka bajecznie bogatego przemysłowca przyjechałaby na spotkanie ze znajomą własnym autem albo w najgorszym przypadku dorożką. W obecnych czasach, zwłaszcza parając się tak ryzykownymi zajęciami jak szpiegostwo, należało robić wszystko, aby nie rzucić się w oczy.

– Nie chciałam tracić czasu, więc zamówiłam kawę przy ladzie. Proszę, a to dla ciebie. – Dresslerówna położyła na stoliku tomik wierszy Lermontowa.

– Dziękuję. – Dla zachowania pozorów przejrzała książkę, w której wszystko, co najważniejsze znajdowało się za płócienną okładką, a po chwili, trochę od niechcienia, schowała ją do torebki. – Szybko to przygotowałaś.

– Pomagają mi dwie koleżanki, które zatrudniły się w lazarecie razem ze mną – wyjaśniła Sabina. – Raz Ninka nakryła nas prawie na gorącym uczynku.

Kelner przyniósł kawę i ciastko. Przez jakiś czas obie panny siedziały w milczeniu. Nie mogły po prostu wstać i rozejść się w różne strony, tym razem ich spotkanie miało wyglądać na niewinne ploteczki dwóch przyjaciółek.

Zofia nie dawała łatwo wytrącić się z równowagi, ale w towarzystwie tej dziewczyny czuła się nieswojo. Zapewne z tej przyczyny, że Sabina niedawno zaręczyła się z jej niedoszłym narzeczonym. Co prawda sama nie darzyła Tarłowskiego uczuciem i wiedziała, że on także nie kocha jej, ale o ich planowanym mariażu mówiło niegdyś całe miasto. Sytuacja była więc nieco niezręczna. Inna sprawa, że żywiła pewne podejrzenia co do prawdziwych intencji szczęśliwej narzeczonej Witolda.

Chcąc trochę rozładować napięcie, postanowiła podzielić się z koleżanką najnowszymi wiadomościami.

– Podobno mają przysłać z Krakowa nowego komendanta – powiedziała cicho. – Wreszcie naprawdę się zacznie... – Zakaszła. Od powrotu z Zagórza dręczył ją uporczywy ból w piersiach i drapanie w gardle.

– To dobrze – przyznała z uśmiechem Sabina, która siedziała w warszawskiej konspiracji prawie od początku. – Czy aby nie jesteś chora, moja droga?

– Nie. – Pokręciła przecząco głową. Nie dopuszczała do siebie myśli, że głupie przeziębienie mogłoby wykluczyć ją z pracy w momencie, kiedy działy się naprawdę ważne rzeczy. – Zwykły kaszel. Balbina poi mnie herbatą z miodem, pewnie niedługo przejdzie.

– Jako pielęgniarka radziłabym ci zasięgnąć porady lekarza. Siła i zdrowie będą ci potrzebne.

– Wiem, praca...

– W domu też nie zaznasz wiele spokoju. – Sabina wpadła jej w słowo. Zofia odniosła nieprzyjemne wrażenie, że znajoma bawi się jej kosztem.

– Mogłabyś wyjaśnić, co masz na myśli? – zapytała chłodno.

– Wczorajszy ślub twojej siostry.

– Ślub? – zapytała z niedowierzaniem. Od początku przeczuwała, że Julia właśnie w ten sposób zakończy swą zabawę w dobroczynność. Tylko jakim cudem zdołała tak szybko i w zupełnie tajemnicy

znaleźć sobie narzeczonego, zapewne z pieniędzmi, i załatwić wymagane formalności? I czemu nie pisnęła nikomu ani słowa? Ciotka Klara nie wybaczy jej tego do końca życia.

– Naprawdę nie wiesz, że Nina wyszła wczoraj za mąż? – Sabina wyraźnie się speszyła. – Myślałam, że zdążyła porozmawiać z rodziną.

– Co takiego?! – Zofia zdumiała się tak głośno, że kilka osób odwróciło się od stolików, zerkając na nią podejrzliwie. – Nie wierzę. Ninka nie zwraca uwagi na mężczyzn.

– Gdyby chciała czekać z zamążpójściem, aż ty zrobisz to pierwsza – Dresslerówna szybko odzyskała kontenans – musiałaby zapomnieć o nich raz na zawsze. Nie przejmowałaś się nigdy losem sióstr, prawda?

– Uważasz, że powinnam była wyjść za byle kogo, żeby moje siostry znalazły sobie mężów?

– Uważam, że powinnaś staranniej dobrać słowa.

– Przepraszam. – Znowu zakaszła. – Nie miałam na myśli Witolda. Nie mogę tylko uwierzyć, że Nina zrobiła coś takiego. I to w czasie żałoby po ojcu. Nie, to do niej zupełnie niepodobne.

– Nieważne, czy podobne, czy nie. Od wczoraj cały szpital mówi tylko o tym, że z wielkiej miłości poślubiła rosyjskiego porucznika.

– Oszalała!

Zofia jednym haustem wypila wystygłą kawę. Myślała, że doskonale zna swoje siostry, a zwłaszcza młodszą o niecały rok Ninę, o której Julia zwykła mawiać, że jest przewidywalna jak tabliczka mnożenia. Co więcej, za nic w świecie nie potrafiła wyobrazić sobie do bólu powściągliwej siostry w stanie miłosnego uniesienia.

– Z pochodzenia to Polak. Bardzo ładny i bardzo młody chłopak. Tyle że śmiertelnie ranny i nie pociągnie długo. O ile jeszcze żyje.

Zofia uspokoiła się w jednej chwili. Wyglądało na to, że Ninka, która już w dzieciństwie ratowała ranne ptaki i inne skrzywdzone przez los stworzenia, wbrew pozorom nie zmieniła się ani na jotę.

3.

Dotarła do szpitala na trzy godziny przed rozpoczęciem dyżuru, wymyła się błyskawicznie, włożyła fartuch, chustkę, a potem co tchu pobiegła na górę. Stanisław leżał zapewne w sali pooperacyjnej. Chyba że przejęty swoim zawodowym sukcesem doktor Zawilski nakazał umieścić go w jakimś spokojniejszym miejscu. I rzeczywiście, siostra Celestyna, która rano zastąpiła na posterunku siostrę Franciszkę, wskazała jej pokój, który pełnił rolę dodatkowego magazynu na opatrunki, a ostatnio stał pusty.

Drzwi były uchylone, więc natychmiast zajrzała do środka.

– Dzień dobry – przywitała się z siostrą Anielą, która została oddelegowana do czuwania nad pacjentem. – Czy mogę wejść?

– Proszę – odparła ucieszona koleżanka. – Czekałam na ciebie.

Podeszła do łóżka, obok którego stały aż trzy stojaki do kroplówek, ale tylko na jednym z nich wisiała butelka do połowy wypełniona cieczą i to do niej został podłączony śpiący Stanisław.

– Wszystko w porządku?

– Obyło się bez alarmów – odparła Anieli. – Twój mąż wybudził się jakieś pięć godzin temu, zapytał o ciebie, napił się wody i znów zasnął. Uparł się, że przeżyje – dodała z uśmiechem. – Jak chcesz, możesz z nim zostać. Doktor Zawilski pozwolił.

– Skąd wiedział?

– Domyślił się, że przyjdiesz wcześniej. Aha, kiedy skończy się ta kroplówka, nie podłączaj nowej. Doktor niedługo tu zajrzy i wyda nowe dyspozycje.

Kiedy koleżanka zostawiła ich samych, Nina przysunęła krzesło do łóżka i usadowiła się na nim tak, aby widzieć twarz męża. Rana na jego policzku zaczynała się zasklepiać i wyglądała nieco lepiej niż poprzedniego dnia.

Stanisław poruszył się przez sen i przekreślił głowę, a wtedy Nina, nie wiedząc czemu, pomyślała, że jest w nim coś znajomego. Widziała już u kogoś podobne rysy i duże migdałowe oczy w ciemnej oprawie; zgadzał się nawet ich kolor. Ale u kogo? Tego nie umiała sobie przypomnieć.

Bez zastanowienia zanurzyła palce w zmierzwionych włosach męża. Przeczesała je ostrożnie, a następnie powiodła kciukiem po lekko kłującym zarostu. Nie potrafiła nic poradzić na to, że ten męczyzna budził w niej ciepłe uczucia. Gdyby tylko mogła wierzyć, że najgorsze już za nim...

Obudził się, ale ona zauważyła to dopiero, gdy dotknął jej ręki. Zawstydzona ją własna zuchwałość, ale on nie zwrócił na to uwagi, tylko z wysiłkiem powiedział:

– Bałem się, że mi się przyśniłaś... I ślub też.

– Nie. Kiedy pan... kiedy poczujesz się lepiej, podpiszemy dokumenty i nie będzie żadnych wątpliwości, że jesteśmy mężem i żoną.

– Wiem, że ty... – Urwał, z trudem chwyając oddech.

– Nic nie mów. – Pochyliła się nad nim jeszcze bardziej. – Kiedy wyzdrowiejesz, będziemy mieli czas na rozmowy.

– Zostaniesz?

– Tak. Dopóki nie wezwą mnie do operacji.

Zamknął oczy i jego głowa natychmiast bezwładnie opadła na poduszkę. Prerażona Nina zerwała się na równe nogi i już chciała biec po pomoc, kiedy usłyszała równy oddech. Zasnął. Z ulgą z powrotem opadła na krzesło.

4.

– Poślubiła tego mężczyznę z litości – oświadczyła kategorycznie Zofia. – Akurat to do niej podobne.

– Mężczyznę? Toż to jeszcze dziecko. – Ciotka załamała ręce. – Nic o nim nie wiadomo. Może jest jakimś draniem albo utracjuszem? I z jakiej rodziny w ogóle pochodzi?

– Skoro jest oficerem, zapewne ze szlacheckiej – odparła babcia z westchnieniem.

Zaraz po tym, gdy zasiadły do kolacji, spełniła prośbę Niny, która poszła wcześniej na dyżur, i powiedziała reszcie domownicy o jej nagłym zamążpójściu. Reakcje na niespodziewaną wiadomość były – jak wcześniej przewidywała Pola – bardzo różne, przeważało jednak niedowierzenie.

Nina od zawsze miała opinię osoby mocno stąpającej po ziemi i najrozsądniejszej z czterech sióstr, więc jej postępek szokował tym bardziej. Nie dziwiła się ciotce i siostrom, sama w pierwszej chwili zaniemówiła ze zdumienia, ale przez kilka godzin zdążyła nieco przywyknąć do myśli, że ma szwagra.

– Podobno przystojny z niego chłopak – powiedziała Zofia i ciężko zakasłała.

– Skąd wiesz? – zapytała Julia. – Tobie też powiedziała o swoim ślubie? Zaraz okaże się, że tylko ciocia i ja nie mamy pojęcia, co dzieje się w tym domu.

– Dowiedziałam się przypadkiem, od znajomej. Podobno cały szpital nie może się nadziwić i plotkuje o naglej romantycznej miłości. I jak widać, miasto też zaczyna.

– Naprawdę nie wiem, jak mogła wyjść za obcego – jęknęła Klara. – Bez naszej wiedzy i obecności... I to w czasie żałoby po ojcu! W czarnej sukience? Nie wypada przecież.

– Podejrzewam, że raczej w białym fartuchu – wtrąciła Zofia. – I chustce zamiast welonu.

– Trwa wojna i wszystko toczy się szybciej, nawet żałoba. – Adela nie zwróciła uwagi na słowa najstarszej wnuczki. – Poza tym, kochana Klarciu, ty w jej wieku nie byłaś wcale mądrzejsza. Mam ci przypomnieć co nieco?

Ciotka skurczyła się pod oskarżycielskim wzrokiem swej matki i zaczęła pochlipywać w chusteczkę. Julia zaś postanowiła pocieszyć ją po swojemu.

– Niech ciocia się nie martwi – rzuciła ironicznie. – Babcia powiedziała, że ten człowiek jest ciężko ranny. Trzeba mieć nadzieję, że szybko umrze.

– Julia! – W oczach Adeli błysnęła furia. – Jak śmiesz?! Ten człowiek uratował twojej siostrze życie. Czy nie rozumiecie tego?! – Lodowatym wzrokiem spojrzała na Klarę i Zofię. – Nie życzę sobie, aby ktokolwiek w tym domu mówił o nim bez szacunku!

Przy stole zapadła głucha cisza, przerywana tylko niedającym się stłumić pokaszływaniami Zofii. Pola, choć nie ponosiła winy za nic, poczuła się przytłoczona atmosferą. Spuściła głowę i zaczęła wpatrywać się w barwny wzorek zdobiący talerz, myśląc jednocześnie, że nie wierzy, aby Nina poślubiła tego mężczyznę wyłącznie z wdzięczności albo litości. Kiedy dziś rano opowiadała o nim, jej twarz promieniała.

– Rozumiem – ciotka z trudem odzyskała głos – że mama przeszła do porządku dziennego nad wyczynem wnuczki? Że nic mamy nie martwi ani nie niepokoi? I że powinniśmy bez szemrania przyjąć do rodziny obcego mężczyznę?

– Przydałby się jakiś w tym domu – mruknęła pod nosem Julia, ale widząc minę babki, natychmiast umilkła.

– Stanisław – powiedziała z mocą Adela. – Ten mężczyzna ma na imię Stanisław. Jest Polakiem i wnukiem powstańca z 1863 roku. Nie wahał się nawet przez chwilę, żeby pomóc Nince. Myślę, że zasługuje na odrobinę zaufania.

– Ale on... – zaczęła Zofia, jednak starsza dama nie zamierzała dopuścić nikogo do głosu, zanim sama nie powie wszystkiego, co ma do powiedzenia.

– Wszystkie uważamy, że Nina jest rozsądna. Wcześniej nie zrobiła nic, co kazałoby nam w to wątpić. Wierzę, że gdyby żywiła choć cień wątpliwości co do osoby kandydata, nie zdecydowałaby się na ten ślub. Zamierzam więc przyjrzeć się sytuacji, zanim odsądzę wnuczkę od czci i wiary. Wam też to sugeruję. – Zaciśnęła wargi na znak, że skończyła.

– Nie damę temu małżeństwu szans – oświadczyła ciotka, do której nie trafiły argumenty matki. – Może dałoby się je unieważnić? Na pewno ze ślubem nie wszystko było tak, jak należy.

Pola uważała, że nie będzie żadnego unieważniania, ale bała się powiedzieć o tym głośno. Poza tym skoro całą kolację przesiedziała w milczeniu, lepiej tego nie zmieniać i nie zwracać na siebie uwagi.

Zofia najwyraźniej nie żywiła takich obaw.

– Ninka nie zgodzi się na unieważnienie – oświadczyła między jednym atakiem kaszlu a drugim. – Pamiętajcie, jak w dzieciństwie znosiła do domu jaskółki z połamanymi skrzydłami? On... ten Stanisław jest dla niej właśnie taką jaskółką. Opiekuje się nim. Teraz z przekonania, a potem z obowiązku. I takie to będzie małżeństwo.

– Nieprawda! – Pola nie wytrzymała.

Na szczęście zanim najstarsza siostra, zdążyła się wykaszleć i zażądać od niej wyjaśnień, Julia znowu postanowiła wtrącić do rozmowy swoje trzy grosze.

– Jesteś zła – zwróciła się do Zofii – ponieważ Ninka pierwsza wyszła za mąż, nie oglądając się na ciebie. A to oznacza, że my z Polą też nie musimy – zakończyła, nawet nie starając się ukryć satysfakcji.

5.

Jak na złość kaszel nie ustępował i z każdą godziną Zofia czuła się coraz gorzej. Uważała jednak, że za nic w świecie nie może położyć się do łóżka i zostać w domu. Od kiedy kurierki przywoziły wiadomość, że w warszawskiej organizacji nastąpią zmiany, w napięciu czekała na nowego komendanta.

Musiła też koniecznie dostarczyć w umówione miejsce raporty ze spotkań z pracującymi w szpitalach dziewczętami. Zasłaniając ręką usta, usiadła na łóżku. Podniosła się, aby sięgnąć po szlafrok, ale zamaria wystraszona nagłym zawrotem głowy. Było jej zimno i zaczynała się trząść. Jak na złość, ciało zawiodło w najważniejszym momencie. Słabość doprowadzała ją do rozpacz.

– Zosiu? – Ninka podniosła głowę z poduszki. – Dobrze się czujesz?

– Tak – odparła z niezachwianą pewnością w głosie. Niestety, zaraz po tym dostała takiego ataku, że o mało nie wykasłała płuc.

– Nie wydaje mi się. – Siostra szybko wyskoczyła spod koldry i jednym susem pokonała odległość dzielącą ich łóżka. – Pokaż się. – Wprawnym gestem dotknęła jej czoła. – Jezus Maria... Zośka, jesteś cała rozpalona! Kładź się z powrotem.

– Nie mogę... Muszę iść.

– Nie dyskutuj.

– Nie rozkazuj mi – rzuciła wściekła na cały świat, a najbardziej na Bogu ducha winną siostrę, która zauważyła jej chorobę. – Nie jestem twoim porucznikiem.

– Stanisław jest mądrzejszy od ciebie – odcięła się natychmiast Ninka. – Wie, kiedy przestać udawać bohatera. Kładź się, bo zaraz wezwę ciocię Klarę, a ona przywiąże cię sznurkiem do łóżka.

Zofia nie zamierzała wypełniać poleceń siostry. Musiała przynajmniej zrobić to, co miała dziś do zrobienia, a dopiero potem wrócić do domu i ewentualnie chorować. Najdłużej do jutra rana. Próbuje z całej siły zapanować nad drzeniem całego ciała, ostrożnie podniosła się z łóżka.

Wtem pokój zawirował. Spróbowała chwycić się poręcz, ale nie zdążyła. Upadła na podłogę, boleśnie tłukąc sobie łokieć lewej ręki.

– Czy mogłabyś czasem słuchać innych? – Nina ostrożnie pomogła jej wstać, a potem wrócić do łóżka. Na koniec otuliła ją koldrą i dodatkowo okryła pledem. – Zaraz wezwę doktora. I poproszę Balbinę, żeby napaliła w piecu. Oszczędności oszczędnościami, ale nie możesz leżeć w zimnie.

Narzuciła na siebie szlafrok, wyszła z pokoju i już po chwili Zofia usłyszała, jak wydaje polecenia służącej i rozmawia z babcią. Rozpoznała też głos Poli, która informowała wszystkich, że telefon nie działa, ponieważ władze nakazały wyłączyć wszystkie prywatne aparaty w mieście; Ninka natychmiast poprosiła młodszą siostrę, aby jak najszybciej sprowadziła doktora.

Zofia nie próbowała już wstawać. Zwinęła się w kłębek, gdyż uparty dygot nie ustępował. Obiecała sobie jednak, że będzie leżeć tylko tyle, ile to naprawdę konieczne.

A skoro nie może nigdzie zadzwonić, powinna znaleźć kogoś, kto wykona zadanie za nią. Z tą myślą zasnęła.

6.

Zapiski Poli

Zosia jest ciężko chora. Próbowala nie przyjmować tego do wiadomości, ale szybko okazało się, że upór nie zdola wygrać ze słabością, więc w końcu skapitulowała i położyła się do łóżka. Babcia i Balbina leczą ją po

swojemu – to znaczy Balbina sokiem malinowym i naparami z lipy, zaś babcia herbatą z koniakiem. Na dokładkę Ninka postawiła jej bańki.

Aż dziw, że znalazła na to czas, gdyż prawie każdą wolną chwilę spędza w szpitalu – albo w pracy, albo przy łóżku męża, który ponoć robi się silniejszy. Nie ma wątpliwości, że ogromnie ją to cieszy. Co by nie mówiły Julia z Zosią i ciocia Klara, od razu widać, jak ważny jest dla niej ten mężczyzna. Modłę się więc, żeby przeżył i żeby okazał się dobrym człowiekiem, który nie rozczaruje jej i nie skrzywdzi.

Choć tak po prawdzie, wciąż nie umiem przywyknąć do myśli, że Ninka wzięła ślub i to pierwsza z nas wszystkich. Nie spodziewałam się, że wystarczy jej odwagi, aby zrobić coś takiego, i to jeszcze w tajemnicy. Julia powiedziała niedawno, że za jakiś czas ktoś będzie musiał zaopiekować się babcią, a potem ciocią Klarą, więc oczywiście było, że ten obowiązek spadnie na Ninę, która do końca życia pozostanie sama. Tymczasem w ciągu jednego dnia wszystko się zmieniło.

Zosia poprosiła mnie wczoraj, abym coś dla niej zrobiła. Nie napiszę, o co chodzi, gdyż obiecałam jej solennie, że zachowam tajemnicę. Domyslam się, że to niebezpieczne zadanie, ale jestem rada, że mi zaufała, i zrobię wszystko, aby jej nie zawieść. Mam tylko nadzieję, że tą pomocą nie zasłużę sobie na miano zdraźczyni. Chyba jednak rodzona siostra nie wciągnęłaby mnie w aferę, której później musiałabym się wstydzić?

I nareszcie coś będzie się działo!

Julia dostała kolejne kwiaty od doktora Warlińskiego. I stał się cud. Nie kazała wyrzucić ich do kosza. Co więcej, postawiła na stole w naszym pokoju. Oczywiście w żaden sposób nie zamierza się z tego tłumaczyć...

7.

Zanim zaczęła się wojna, Pola nigdy nie przekroczyła progu Aleksandryjsko-Maryjskiego Instytutu Wychowania Panien. Co prawda znała kilka dziewcząt, które pobierały tam nauki, ale sama oglądała wielki gmach na Wiejskiej tylko z zewnątrz.

Obecnie znajdował się tam drugi wojenny szpital rosyjskiego Czerwonego Krzyża i Kellerówna też nie miała powodu tu być – aż do dzisiaj. Zofia, prawie nieprzytomna z gorączki – doktor Jezierski bez najmniejszych wątpliwości zdiagnozował zapalenie płuc – poprosiła ją, aby jak najszybciej odniosła książkę jednej z pracujących w kancelarii pań.

Włożyła rękę do kieszeni, aby sprawdzić, czy wolumin znajduje się na miejscu; był to Krótki rys ratownictwa dla wszystkich doktora Zawadzkiego. Pola chętnie sama by go przeczytała, podejrzewała jednak, że Zofia coś w nim ukryła, a ona za nic w świecie nie chciałaby tego zgubić.

Wysiadła z tramwaju na placu Świętego Aleksandra i szybko rozłożyła parasol. Deszcz co prawda tylko siał, ale robił to tak uparcie, że przemacał wszystko, co spotkał na swojej drodze, a szczególnie kapelusze i palta. Na szczęście Wiejska znajdowała się w pobliżu, więc już po kilku minutach Pola stała przed imponującą białą budowlą o wysokich, zwieńczonych łukami oknach. Nad wejściem wisiał wielki dwugłowy orzeł.

Tuż przed furtką szpitala zatrzymały się dwa ambulansy, z których sanitariusze wynosili rannych, a trzy kolejne czekały na swoją kolej. Zewsząd dochodziły krzyki, jęki i nawoływania. Pola, przyglądając się panującemu wokół zamieszaniu, zastanawiała się, czy powinna wchodzić do środka, gdyż bała się, że komuś przeszkodzi. Zosia powiedziała jej jednak, że sprawa, którą ma załatwić, jest naprawdę bardzo ważna.

Weszła na teren Instytutu i tuż przed drzwiami budynku złożyła parasol, a potem starając się nikogo nie potrącić, wsunęła się do środka. Zatrzymała się w przestronnym westybulu, który, niestety, przywodził na myśl pobojowisko. Wszędzie leżeli ranni. Pozawijani w zakrwawione bandaże prosili o pomoc, o wodę, o coś na ból. Między nimi kręcili się lekarze, wydający polecenia sanitariuszom

i siostrom miłosierdzia ubranym w uniformy bardzo przypominające ten, który w pracy nosiła Ninka. W powietrzu unosił się zapach krwi, zastalego potu i jakichś medykamentów.

Wreszcie zdołała wypatrzeć kancelarię. Podeszła tam, starając się nie wchodzić nikomu w drogę, i już zamierzała zapukać, kiedy za plecami usłyszała chłodny damski głos:

– A panna co tu robi?

Odwrociła się natychmiast i stanęła oko w oko z chudą siostrą zakonną, która wbiła w nią podejrzliwe spojrzenie. Jak nic, musiała wziąć ją za złodziejkę.

– Szukam panny Ireny Dobrowolskiej – wyjaśniła.

– Jest zajęta – odparła zakonnica, która najwyraźniej chciała szybko się jej pozbyć. – Poszła przed chwilą do magazynu.

– Czy mogłabym zaczekać?

– To może długo potrwać. Widzi panna, co się dzieje.

– Mam ważną sprawę. Naprawdę.

– W takim razie niech panna czeka – mruknęła siostra i jeszcze przez chwilę patrzyła na nią, jakby chciała ją zapamiętać, a potem podreptała do swoich spraw.

Pola stanęła przy oknie i znowu zaczęła przyglądać się dantejskim scenom rozgrywającym się na szpitalnym korytarzu. Łzy cisnęły się jej do oczu, kiedy spoglądała na ten ogrom nieszczęścia i cierpienia.

Wreszcie, ku jej ogromnej uldze, na szczycie schodów zobaczyła znajomą postać. Bez najmniejszych wątpliwości rozpoznała szkolną koleżankę Zosi, którą spotkała niegdyś kilka razy, ale dzisiaj nie skojarzyła nazwiska. Nie namyślając się dłużej, podeszła do panny Dobrowolskiej, która zdążyła już zejść na dół.

– Pola? – zapytała Irena, spoglądając na nią z nieukrywaniem zdziwieniem. – Aleś wyrosła. Co tu robisz? – Zniżyła głos.

– Przyszłam zamiast siostry – odparła prawie szeptem. – Przyniosłam to. – Ostrożnie wyciągnęła z kieszeni książkę i podała adresatce, a ta natychmiast ukryła ją w kieszeni fartucha. – Zosia dostała zapalenia płuc. Doktor mówi, że choroba potrwa kilka tygodni. Poprosiła mnie o pomoc – tłumaczyła szybko. – Nie miała innego wyjścia. Jeśli trzeba, jeszcze wam pomogę...

– Dzielną z ciebie dziewczyną – powiedziała Irena z uśmiechem. – Uściskaj Zośkę i życz jej zdrowia. I idź stąd, to nie miejsce dla ciebie – zakończyła, a potem odwróciła się, gdyż akurat ktoś ją zawołał.

Pola wyszła na zewnątrz i mocno odetchnęła. Przed szpitalem dostrzegła kolejne sanitarki i rannych żołnierzy. Koszmar trwał nadal, a ona pojęła, że nie chce przyglądać się mu beczynnianie.

8.

Zapiski Poli

Wiesz, że Niemcy zaczynają się cofać, trzy dni temu obiegła miasto lotem błyskawicy. W pierwszej chwili nie mogłyśmy uwierzyć, ponieważ jeszcze przed tygodniem władze wojskowe chciały ewakuować na wschód całą Warszawę, łącznie z mieszkańcami.

Kiedy jednak armaty zaczęły cichnąć, dotarło do nas, że wygraliśmy tę straszną bitwę i miasto jest bezpieczne. Niemcy naprawdę uciekli, a zwycięscy Rosjanie natychmiast rozpoczęli ofensywę. Mam nadzieję, że raz na zawsze wypędzą stąd wroga – im dalej, tym lepiej.

Nie umiem przyzwyczaić się do spokoju. Ostatnio budzę się w nocy i nastuchuję w napięciu. Dobiega mnie tylko pochrapywanie zakatarzonej Julii, a oprócz tego żadnych wybuchów, żadnego dudnienia. Ziemia też nie drży, a za oknem nie widać pożarów i znowu jest naprawdę ciemno.

Koniec. Wreszcie.

Ludzie na ulicach uśmiechają się do siebie i wyglądają, jakby spadł im z piersi ogromny ciężar. Niektórzy poczuli się tak dobrze, że zaczęli urządzać sobie wycieczki na niedawne pole bitwy. Wczoraj, stojąc w kolejce po chleb, słyszałam, jak jedna kobieta opowiadała drugiej, że jej szwagier przywiózł sobie spod Piaseczna niemiecką pikielhaubę. „Kurier Warszawski” podaje zaś, że pozostawione w okopach pociski niekiedy wybuchają i ranią ciekawskich. Ktoś zginął też od szrapnela, który zabrał sobie do domu „na pamiątkę”. Babcia mówi, że przez tę przekłętą wojnę ludzie naprawdę tracą rozum.

Wczoraj zrobiłam to, o co prosiła mnie Zosia. Była ze mnie bardzo zadowolona i zapytała mnie, czy pomogłabym jeszcze jednej z jej koleżanek. Zgodziłam się od razu, a wtedy kazała mi przysiąc na krucyfiks, że nikomu nie pisnę ani słowa. Może jak się sprawdzę, zatrzymają mnie na stałe, gdyż po tym, co widziałam w szpitalu, natychmiast odechciało mi się kursu sanitarnego. Ninka miała rację, to nie jest praca dla mnie.

ROZDZIAŁ X

I.

Ledwo Nina zdążyła wyjść z sali operacyjnej po zakończonym dyżurze, kiedy jedna z koleżanek przybiegła z informacją, że do jej męża przybyła jakaś komisja złożona z dwóch wysokich rangą oficerów: podobno jeden był nawet pułkownikiem i wyglądał na rozszluszczonego.

Przestraszyła się, gdyż natychmiast przyszło jej do głowy, że armia postanowiła ukarać Stanisława za to, że ożenił się bez pozwolenia. Zanim wybuchła wojna, w ogóle nie zwracała uwagi na rosyjskich oficerów, choć w Warszawie stacjonowało ich prawdziwe mrowie, więc nie wiedziała, jak twarde reguły rządzą ich życiem, także osobistym. Obecnie była już świadoma, że kariera młodego porucznika zawisła na włosku.

Uznała, że nie może zostawić męża samego z tym całym rozgardiaszem. Poza tym przełożeni nie powinni karać go za coś, co zrobił, będąc praktycznie jedną nogą na tamtym świecie.

Zdjęła zabrudzony krwią fartuch, wrzuciła go do kosza z praniem i szybko włożyła nowy, potem wcisnęła pod chustkę niesforne kosmyki włosów; zależało jej, aby wyglądać jak najschludniej i najpoważniej. Wyszła z oddziału chirurgicznego i szybkim krokiem poszła w kierunku sali, gdzie leżał jej mąż.

Z polecenia doktora Kijewskiego, dumnego, że to w jego szpitalu przeprowadzono z sukcesem pionierski zabieg, Stanisława umieszczono w izolatce. To było dobre rozwiązanie, także z tego powodu, że nieustannie ściągały do nich pielgrzymki lekarzy – w tym najznamienitszych profesorów – chcących zapoznać się ze szczegółami operacji i osobiście obejrzyć rekonwalescenta.

Zanim zdążyła dotrzeć do drzwi, już wiedziała, że przeczucia jej nie myliły. Usłyszała bowiem grzmiący bas jednego z oficjeli, który nie przebierając w słowach, rugał podwładnego za to, że zmieniając tak nieoczekiwanie stan cywilny, złamał prawie wszystkie punkty wojskowego regulaminu. Nie poprosił o pozwolenie, nie zaczekał, aż dowódcy zdecydują, czy wybranka jest godna zostać żoną oficera, nie przedstawił żadnych dowodów na to, że będzie w stanie utrzymać rodzinę, a na dodatek ślubu udzielił mu duchowny katolicki, którego nic nie łączyło z wojskiem. Co to zresztą za porządki, aby żenić się podczas wojny i na dodatek z Polką, która na pewno nie jest odpowiednią partią, ponieważ sama na siebie zarabia.

Z każdym słowem Nina denerwowała się coraz bardziej, a kiedy dowódca zaczął grozić Stanisławowi sądem oficerskim i wydaleniem z armii, nie wytrzymała – pchnęła drzwi i bez pukania wpadła do środka.

Pułkownik – bo to on wrzeszczał na jej pobladłego z przejścia męża, któremu na szczęście nie kazał wstać z łóżka – widząc ją, przerwał w pół słowa i zamrugał oczami; najwyraźniej nie przyszło mu do głowy, że ktoś ośmielił się przerwać jego diatrybę.

– Dzień dobry – powiedziała po rosyjsku, siłąc się na uprzejmość.

– Chce siostra podać porucznikowi lekarstwa? – zapytał drugi z przybyszów, wysoki chudy kapitan z największymi wąsiskami, jakie widziała w życiu. – Niech siostra przyjdzie później.

– Nie. – Mocno zacisnęła pięści, aby opanować drżenie rąk. – Jestem żoną porucznika Woydy i...

– A więc to pani zawlekła go do otarza?! – Pułkownik odzyskał wreszcie mowę, podszedł bliżej i beceremonialnie obejrzał ją od stóp do głów. – Należało przewidzieć, że będą z tego kłopoty.

– Wasza wielmożność! – Stanisław próbował unieść się na łóżku. – To moja wina.

– Właśnie, że moja! – Nina spojrzała na męża w taki sposób, że natychmiast zamilkł i z powrotem opadł na poduszkę. – Chciałam, żeby przeżył tę operację. Żeby wiedział, że ma dla kogo...

– To już Najjaśniejszy Pan i Matuszka Rosja nie wystarczą? – Pułkownik pokręcił głową z dezaprobatą. – Oficer w pierwszej kolejności winien myśleć o nich.

– Namówiłam go, dlatego proszę ukarać mnie – poprosiła żarliwie. – A jemu darować.

– Nieprawda – odezwał się znowu Stanisław. – To ja namówiłem ją.

Pułkownik w milczeniu spoglądał to na jedno, to na drugie, wreszcie zatrzymał na Ninie wzrok, z którego nie dało się nic wyczytać i oficjalnym tonem zapytał:

– A pani Polka?

– Tak. – Kiwnęła głową. – Miejscowa.

– Co robi pani ojciec?

– Nie żyje. Posiadał fabrykę wyrobów żelaznych.

– Szlachcianka?

– Nie. Ale rodzina matki jest spokrewniona z Branickimi.

– Ma pani doskonały akcent – zauważył nieoczekiwanie kapitan. – Niczym rodowita Rosjanka.

– Zdałam maturę w Warszawie. Tutejsi egzaminatorzy mają srogie wymagania co do rosyjskiej mowy. Największe w całym Cesarstwie.

Przesłuchanie nie było przyjemne, ale znosiła je cierpliwie; jeśli dowódca uzna, że Stanisław, co prawda, ożenił się samowolnie, lecz z odpowiednią kandydatką, może nie wyrzuci go z armii.

– Nazywała się pani Keller – kontynuował wojskowy. – Ewangeliczka?

– Rzymska katoliczka.

– Poruczniku. – Pułkownik zwrócił się do Stanisława. – Ile razy mówiłem, że skoro pan sam nie chce zmieniać wyznania, niech chociaż weźmie prawosławną żonę.

– Wiele razy, wasza wielmożność – odpowiedział natychmiast chory. – Tyle że serce nie sługa.

– Musiał pana trafić nie tylko granat – mruknął kpiąco kapitan – ale i grom z jasnego nieba. Ile czasu się znaliście? Kwadrans?

– Melduję, że to nie było nasze pierwsze spotkanie. Grom trafił mnie już wcześniej.

– Cud, że pan wytrzymał do dwudziestych trzecich urodzin... Ma pani jakiś posag? – zapytał pułkownik.

– Niestety. – Spuściła głowę, przestraszona tym, że brak majątku przeważy szalę na jej niekorzyść. Czy pieniądze naprawdę musiały przesądzać o wszystkim?

– Dam radę utrzymać... – zaczął Stanisław.

– Ciebie, huncwocie, nikt nie pyta! – Dowódca pogroził mu palcem.

– Tak jest.

– Dlaczego pani tu pracuje? To nie jest miejsce dla damy, a tym bardziej dla żony oficera.

– Przed wojną skończyłam szkołę pielęgniarstwa w Paryżu i zgłosiłam się na ochotnika. Wzięłam przykład z hrabiny Szuwałow.

Pułkownik lypnął na nią podejrzliwie, a kapitan – nie umknęło to jej uwadze – z trudem stłumił śmiech. Może więc sytuacja nie wyglądała tak tragicznie, jak przypuszczała na początku. Tym bardziej że starszy wojskowy, choć szorstki w obyciu, nie budził w niej lęku. W jej mężu najwyraźniej też.

– Zastanowię się, co z wami zrobić – oświadczył wreszcie pułkownik nieco łagodniejszym tonem.

– Dziękuję, waszej wielmożności – powiedział Stanisław.

– Niech pan nie spieszy się z podziękowaniami. Nie podoba mi się ten przykład niesubordynacji, jaki dał pan kolegom.

– Myślałem, że to ostatnia rzecz, jaką robię w życiu.

– I tylko to jedno pana usprawiedliwia.
– A ja – odezwała się znowu Nina – obiecuję, że moje postępowanie nie rzuci najmniejszego cienia na opinię męża.
– Dobrze, że przynajmniej to pani rozumie – mruknął pułkownik. – A teraz proszę zostawić nas samych, mamy do omówienia kilka ważnych kwestii.
– Oczywiście. – Spojrzała jeszcze raz na Stanisława, na szczęście sprawiał wrażenie zupełnie spokojnego i posłusznie wyszła na korytarz, zamykając za sobą drzwi.
Dopiero tam poczuła, ile sił kosztowało ją to spotkanie. Oparła się ciężko o ścianę, aby dojść do siebie choć odrobinę, i wtedy usłyszała, jak dowódca, o wiele łagodniejszym tonem, mówi do jej męża:
– Jestem rad, że pan przeżył, poruczniku. Wystąpiłem z wnioskiem o Świętego Jerzego za to, co pan zrobił dla swoich żołnierzy.
– Krzyż? – zapytał wyraźnie zaskoczony tą wieścią Stanisław.
– Nie, poruczniku. Order.
Nina odetchnęła z ulgą.

2.

– Proszę bardzo, dojechaliśmy – powiedział doktor Warliński, zatrzymując auto na Kawęczyńskiej w niewielkiej odległości od fabryki Kellerów.
Julia wygrzebała się spod koców i wzdrygnęła z zimna. Ambulans marki Renault miał całkowicie otwartą szoferkę, po której lodowaty wiatr hulał, jak chciał. Na dodatek kierowca jechał szybciej niż dozwolone przez władze trzynaście wiorst na godzinę, korzystając z tego, że przepis nie dotyczył akurat sanitarek.
Nie oglądając się na towarzyszącego jej mężczyznę, szła poboczem drogi równoległej do ceglanego muru, aż dotarła do głównej bramy fabryki, która została zamknięta na wielką kłódkę. Przez grube metalowe wrota nie mogła dojrzeć niczego oprócz komina głównej hali produkcyjnej, niegdyś wiecznie spowitego dymem, a teraz sterczącego samotnie na tle ciemnego od chmur listopadowego nieba.
– Zamknięte. – Doktor spoglądał w górę, uważnie obserwując zwieńczenie płotu. – Taka duża i nowoczesna fabryka powinna działać pełną parą. Zwłaszcza że mamy wojnę i bezrobocie.
– Nie podoba mi się to wcale – odparła Julia. – Willa stoi pusta, fabryka nie pracuje, ktoś włamuje się nam do mieszkania i morduje służącą... O co tu chodzi?
– Naprawdę nikt nie mógłby tego wyjaśnić?
Tak szczerze, to panna chętnie porozmawiała by na ten temat z mecenasem Finkielem, ale on nadal nie pokazywał się w ich domu. Babcia uważała, że śmiertelnie się obraził po spotkaniu z sędzią śledczym, ona jednak nie żywiła złudzeń – prawnik nie miał żadnego interesu w utrzymywaniu kontaktów z rodziną, która od kilku miesięcy nie płaciła mu nawet złamanej kopiejki. Inna sprawa, że nie potraktowałby poważnie jej pytań, w końcu lekcewał nawet babcie.
– Obawiam się, że nie – odparła. – Chyba że dowiem się, kto przejął majątek i fabrykę. Może gdybym weszła do środka...
– Przez parkan nie damy rady. – Warliński zakończył oględziny. – Za wysoki i za gładki.
– Zbudował go mój dziadek, a on wszystko robił porządnie. Tatko bujał w obłokach i przez to nie zauważał różnych rzeczy... Chodźmy, sprawdzimy, czy nie ma przypadkiem dziury w płocie. – Odruchowo złapała doktora za rękę i pociągnęła za sobą.
Szli wzdłuż muru, aż dotarli na tyły fabryki. Tam Julia zatrzymała się i uważnie rozejrzała wokoło; wszystko wyglądało tak samo jak w dniu, kiedy była tu po raz ostatni. Tylko krzaki i drzewa zrobiły się

o wiele większe. Na szczęście robotnicy regularnie je przycinali, więc nie przypominały nieprzebranych chaszczy, a raczej zapomniany kąt miejskiego parku, w którym od tygodni nie grabiono zwiedłych liści.

– Kiedyś zabłądziłam tu razem z siostrą – wyjaśniła doktorowi i dopiero w tym momencie spostrzegła, że nadal ściska jego dłoń. Puściła ją natychmiast, aby nie zaczął wyobrażać sobie zbyt wiele. – I trochę pomyszkowałyśmy.

Podeszła do samego parkanu – liczyła, że dobrze zapamiętała miejsce – pochyliła się i zaczęła odgarniać gołe krzaki.

– Jest – rzuciła ucieszona. – Niech pan zobaczy.

W murze, nisko nad ziemią, ziała spora dziura, od wewnątrz zakryta kawałem blachy. Nie wiadomo, kto ją wydtubał i kiedy, w każdym razie pracownicy porządkujący teren przylegający do zakładu wykorzystywali ją jako skrót, bo komu chciałoby się biegać dookoła płotu i to z narzędziami w garści. Od bocznej bramy też dzielił ich spory kawałek.

– Idziemy? – zapytał doktor. – Naprawdę pani tego chce?

– Nie mam wyjścia. Tylko tak mam szansę poznać prawdę.

Nie pytał o nic więcej, tylko zaczął siłować się z blachą, która od drugiej strony musiała być czymś podparta albo zastawiona. Zafrasowana Julia pomyślała, że nic z tego nie wyjdzie, Warliński nie wyglądał bowiem na siłacza.

A jednak poradził sobie. Blacha runęła na ziemię z głośnym hukiem, a ich oczom ukazały się resztki rachitycznej i poźółklej trawy rosnącej za płotem. Julia zamierzała precyzyjnie się przez otwór, ale towarzysz złapał ją za ramię.

– Panno Julio – powiedział. – Proszę pozwolić, że pójdę pierwszy. Wolę mieć pewność, że nic tam pani nie grozi.

Była zaskoczona, ponieważ uważała go za nieszkodliwego dziwaka, który z jakiegoś niezrozumiałego powodu ubzdurał sobie, że zdobędzie jej zainteresowanie. Poprosiła, aby z nią przyjechał, tylko dlatego że nie miała innego wyboru. A tymczasem on, w razie potrzeby, potrafił zejść na ziemię.

Warliński zwinnie precyzyjnie się przez dziurę, a po chwili powiedział:

– Wygląda, że nie ma nikogo.

Nie czekając ani chwili dłużej, przeszła na drugą stronę, a potem wyprostowała się, poprawiła kapelusz, otrzepała płaszcz i z trudem kryjąc wzruszenie, popatrzyła na znajome miejsce. Dwa lata temu przyjeżdżała tu kilka razy w tygodniu, wraz z Ninką, która postanowiła nauczyć się zarządzania zakładem.

Tatko oczywiście zlekceważył te plany. Częściowo miał rację, gdyż Nina ze swoim wręcz chorobliwym poczuciem obowiązku nie nadawała się do interesów. Julia nie wątpiła, że ona poradziłaby sobie lepiej, ale zanim doszła do takiego wniosku, ojciec zdążył pożegnać się i z firmą, i ze światem doczesnym.

Fabryka nie działała od kilku miesięcy i już widać było zaniedbania. Wszędzie sterczały badyle zwiedłego zielska, a na placach wokół budynków zalegały prawdziwe hałdy poźółkłych liści i innego śmiecia. Hale produkcyjne pozamykano na głucho, Julia zerknęła więc do środka przez okno – aż dziw, ale nikt jeszcze nie wytłukł szyb – i dostrzegła przynajmniej tyle, że maszyny stoją na swoich miejscach.

– Mam nadzieję, że zakład ruszy, zanim zniszczy – powiedział doktor, który także obejrzał sobie wszystko przez szyby. – Ile osób mogłoby tu pracować!

– Kilkaset – mruknęła w odpowiedzi Julia. – Chodźmy do biura.

Po drodze minęli galwanizernię, stajnię z wozownią – oczywiście pustą – i portiernię, w której nie było żywego ducha, wreszcie dotarli do obszernego budynku administracyjnego, który zgodnie z przewidywaniami, był zamknięty na głucho. Julia sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyciągnęła pęk kluczy.

– Skąd pani je wzięła? – zapytał zaskoczony Warliński.

– Ojciec nie zdążył oddać urzędnikom bankowym. I ja też o tym zapomniałam... – mruknęła pod nosem, szukając jednocześnie klucza pasującego do zamka. – Na górze są dwa apartamenty mieszkalne. Jeden zajmował dyrektor fabryki, pan Grosman, a w drugim pomieszkiwał tatko, kiedy pracował do późna i nie chciał jechać nocą przez całe miasto. O proszę, gotowe. – Pchnęła drzwi, które cicho zaskrzypiały. – Idziemy.

Pamiętała, jak gwarно było niegdyś w biurach – sekretarki bez przerwy wystukiwały pisma na maszynach, dzwoniły telefony, handlowcy przekrzykiwali się wzajemnie, a inżynierowie nieustannie wyklócali z działem zaopatrzenia. Urzędujący w eleganckim gabinecie tatko – dostępu do niego broniła zawsze czujna panna Stefania – osobiście przyjmował tylko najważniejszych klientów i kontrahentów. Teraz wszędzie panowała cisza, przerywana odgłosami ich kroków. Zaglądali do kolejnych pokoi – wszystkie wyglądały jak po przejściu tajfunu. Szafy i szuflady zostały pootwierane, a dokumenty wały się po biurkach, krzesłach, parapetach, nawet po podłodze.

– Fachowa rewizja – rzucił z przekąsem doktor. – Ochrona by się nie powstydziała.

Gabinetu Maksymiliana Kellera także nie oszczędzono, nawet sejf – tak samo jak niegdyś ten w willi – pozostał otwarty na oścież, zaś wyciągnięte z niego papiery piętrzyły się na stole. Przeszukanie musiało odbyć się jakiś czas temu, ponieważ na blatach, kominku, kałamarzu i poprzewracanych bibelotach zebrała się spora warstwa kurzu. Fotografię przedstawiającą córki zmarłego ktoś wyrwał z ramki; pewnie, żeby sprawdzić, czy czegoś za nią nie ukryto.

– Muszę zobaczyć mieszkanie – powiedziała Julia i prosto z gabinetu wyszła na niewielki korytarz wiodący na prywatną klatkę schodową.

Apartament ojca znajdował się na pierwszym piętrze. Okazało się, że do niego nie potrzebowała klucza – przeszukujący wyrwali drzwi z zawiasów. I o ile w biurze nieco się hamowali, tutaj najwyraźniej nie zważali na nic. Zawartość szaf, półek i szuflad kłębiła się na podłodze, zwinięty dywan leżał w kącie, a część dębowego parkietu została zerwana i zniszczona, obrazy – na szczęście tatko nie trzymał tu cennych dzieł sztuki – powycinane z ram, a porcelana wytłuczona w drobny mak: w odludnym miejscu nikt nie musiał obawiać się, że hałas zwróci uwagę sąsiadów. Meble wybebeszono dokładnie w ten sam sposób, jak w ich mieszkaniu, a zasłony i firanki smętnie zwisły z karniszy.

Julia szybkim krokiem podeszła do zajmującej całą ścianę witryny, z której ktoś z przerażającą dokładnością wytłukł wszystkie szyby.

– Zabrali broń – rzuciła. – Ojciec trzymał tu całą kolekcję. Pistolety, rewolwery... Najwięcej miał karabinów. Nie została ani jedna sztuka.

Oszołomiona nagłym odkryciem, rozglądała się po wnętrzu i czuła coraz mocniejsze dławienie w gardle. Po śmierci tatki nie płakała: była zbyt zrozpaczona, wstrząśnięta i wściekła, ale w tej chwili czuła szczypanie pod powiekami. Warliński przez cały czas stał oparty o futrynę i nie spuszczał z niej czujnego spojrzenia.

Cofnęła się o krok i w tym momencie na coś nadepnęła. Odsunęła stopę, odruchowo spojrzała w dół – myślała, że to kawałek porcelany – i zmartwiała. Na podłodze leżała złota obrączka. Podniosła ją i ledwo zdążyła wsunąć do kieszeni, kiedy usłyszała dochodzące z zewnątrz głosy. Wstała, dopadła do okna i ujrzała dwóch rosyłych mężczyzn uzbrojonych w karabiny. Wstrzymała oddech. „Co robić? – zastanawiała się gorączkowo. – Co robić? Nawet we dwójkę mieli marne szanse w starciu z groźnie wyglądającymi przeciwnikami. Gdyby został choć jeden karabin...

– Proszę się schować – powiedział cicho Warliński, który stanął tuż za nią i spoglądał w tym samym kierunku; mężczyźni dotarli już prawie do drzwi wejściowych. – Ja...

– Nie ma mowy. – Odwróciła się i spojrzała mu w twarz. Nie powinien ryzykować i poświęcać się dla niej. Wciągnęła go w swoje sprawy nie po to, aby spotkało go nieszczęście.

Strażnicy weszli do środka. Słyszała odgłosy kroków. Coraz głośniejsze i wyraźniejsze.

I wtedy ją olśniło. Pomysł był głupi, ale lepszy głupi niż żaden.

- Proszę mnie pocałować – zażądała, a potem chwyciła doktora za ramię i pociągnęła ku sobie.
- Co... – Patrzył na nią zdezorientowany. – Co pani...
- Niech pan całuje. – Nie czekając, stanęła na palcach i objęła go za szyję. – Nie ugryzę pana. Już!

Coś błysnęło w jego oczach – liczyła, że rozum – wsunął ręce pod jej rozpięty płaszcz i objął w pasie. Przez batyst bluzki i koszulkę poczuła ciepły dotyk. Zrobiło się jej nieswojo; nigdy nie przytulała się do mężczyzny w tak zuchwały sposób. Wbrew wcześniejszym obawom nie wywahała formaliny; doktor pachniał mydłem i wodą kolońską, a ona wcale nie miała ochoty, aby odsunąć się od niego choć o cal. Wręcz przeciwnie: niezgrabnym gestem strąciła mu kapelusze i zanurzyła palce w kędzierzawych włosach.

Kiedy zażądała, aby udawali zabląkaną parę, nie wiedziała, czego się spodziewać, gdyż w sprawach miłosnych brakowało jej doświadczenia; właściwie ograniczało się ono do kilku całusów skradzionych pospiesznie przez Andrzeja. Za to Warliński nie był ani nieśmiały, ani speszony. I dobrze wiedział, czego chce. Całował ją tak... Mocno. Zaborczo. Jakby niczego nie udawał. I jakby miał do tego pełne prawo. Julia, choć początkowo zdumiona, poddała mu się bez protestu.

W ich pocałunkach było coś z szaleństwa. I na miłość boską, to szaleństwo zachwyciło ją, jak niewiele rzeczy w życiu! Nieważne, że doktor działał jej na nerwy. Nieważne, że zaczynała tracić dech. Nieważne, co wydarzy się za chwilę.

- Co to za ksiuty?!

Głośnie pytanie strażnika otrzeźwiło ich niczym kubek zimnej wody wylanej z nienacka na głowę. Julia niechętnie odsunęła się od swojego towarzysza. Mrugała powiekami, gdyż odniosła wrażenie, że przzerwano jej sen, z którego wcale nie chciała się budzić. Warliński wypuścił ją z objęć; on też oddychał ciężko, a oczy błyszczały mu podejrzanie.

Zerknęła spod rzęs na intruzów. Rzeczywiście dwóch. Obaj uzbrojeni. Młodzi i silni. Sądząc po języku i strojach, jakieś miejscowe andrusy.

Wyprostowała się i bez ostrzeżenia wymierzyła Warlińskiemu siarczysty policzek. Zaskoczony lekarz jęknął i uniósł ręce do twarzy. Rzuciła się na niego z pięściami.

- Co mówiłeś?! Co mówiłeś?! Że nikogo nie ma! Że pusto! Ty draniu! Ty łajzo! Ty... – Tłukła go i szarpała z całej siły, gdyż dla dobra sprawy nie mogła udawać. – Ty łajdaku! Co żeś obiecywał?! Co?!

Otrząśnięcie się z pierwszego szoku zajęło strażnikom bardzo długą chwilę, wreszcie, zgodnie z przewidywaniami, ruszyli na pomoc nieszczęśliwej ofierze jej furii. Ten wyższy i starszy rzucił karabin i zaszedł ją od tyłu. Odwróciła się i z rozpędu strzeliła go w nos. Na szczęście nie oddał ciosu, tylko złapał ją za nadgarstki, wykręcił ręce do tyłu i unieruchomił.

- Swolocz! Taki wstyd! – krzyczała, próbując się wyrwać. – Co ludzie powiedzą?! Matka spuści mi manto! A bracia tobie!

- Cicho, lalka – mruknął oprawca i ścisnął ją jeszcze mocniej.

Zabolało, ale nawet nie jęknęła. Znieruchomiała na moment i nim strażnik odetchnął z ulgą, wybuchnęła żalonym płaczem. Od dziecka ćwiczyła tę sztukę na ciotce Klarze i ojcu.

- Wszystko cacy? – Młodszy drab spojrzal ze współczuciem na Warlińskiego, a następnie, chcąc udzielić mu męskiego wsparcia, podniósł jego sponiewierany kapelusze i niezdarne otrzepał z kurzu. – Ale się panu szanownemu trafiła charakterna lalunia. – Pokręcił głową i uśmiechnął się w taki sposób, że Julia chętnie spralaby po gębie także jego. Niestety, wciąż płakała, a na dodatek nie była w stanie ruszyć się nawet o cal.

- Trochę nerwowa – mruknął w odpowiedzi doktor, poprawiając ukradkiem koszulę, z której o mało nie rozebrała. – Ale wiecie, panowie, miłość nie wybiera. – Rozłożył bezradnie ręce. – I czasem człowieka najdzie ochota... – Mrugnął porozumiewawczo, a Julia znowu załkała żalownie. – U mnie w domu, jak nie matka, to ojciec. Jak nie ojciec, to siostra. Jak nie siostra, to szwagier... Myślałem, że tu pusto.

– Łachudra – wychlipała Julia.

– Spokój, lala! – nakazał jej strażnik i poprawił chwyt; wyraźnie obawiał się, że znowu rzuci się na doktora, który wyglądał jak siedem nieszczęść i zdeptana męska duma razem wzięte.

– Panie szanowny – młodszy strażnik uśmiechnął się chytrze – jakby toto stało puste, dawno by wszyscy podebrali. Wzięli nas i jeszcze kilku innych, to filujem dzień i noc. Tylko akurat interesik mielimo do załatwienia...

– A tak detalicznie, to czyje toto jest? – zapytał przytomnie doktor.

– A tego i sam czort nie wie. – Mężczyzna podrapał się po nieogolonej brodzie. – Przylązi taki jeden w aliganckim abcugu i płaci. Papuga jakiś.

– Chcecie więzić mnie do końca świata? – Julia wtrąciła się do rozmowy, dla lepszego efektu malowniczo pociągając nosem. – Ręce mnie bolą. I potrzebuję chustki. Zaraz panu szanownemu usmarkam buty.

– Dobra – mruknął strażnik. – Tylko, lala, rączki przy sobie, bo zaraz zamknę ze szczurami.

Wzdrygnęła się z obrzydzenia. Nie musiała wcale udawać, naprawdę bała się szczurów. Za czasów tatki było ich tu jak na lekarstwo, gdyż terenu fabryki pilnowało stale co najmniej dziesięć upasionych kotów. Ciekawe, co się z nimi stało?

– Złość już mi przeszła – mruknęła, a kiedy drab ją uwolnił, najpierw sięgnęła do kieszeni po chustkę i wytarła nos, a potem rozmasowała zdrętwiałe nadgarstki.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – zapytał potulnie doktor. – Przepraszam, najdroższa. Nie wiedziałem...

– Tym razem ci wybaczam – oświadczyła z emfazą. – Odprowadź mnie do matki, zanim bracia zwiędą się o tej eskapadzie.

– Panowie szanowni. – Doktor spojrzał błagalnie najpierw na jednego, a potem na drugiego strażnika. – Ona ma tych braci sześciu.

Julia znowu wsadziła nos w chusteczkę; tym razem robiła wszystko, aby się nie roześmiać.

3.

Zasnął niedługo po tym, kiedy pułkownik i kapitan opuścili szpital, więc Nina mogłaby spokojnie pójść do domu. Uznała jednak, że posiedzi z nim kilka minut dłużej. Po dzisiejszej porcji nerwów bardzo tego potrzebowała.

Spojrzała na męża z czułością, na którą pozwalała sobie tylko wtedy, gdy nikt na nią nie patrzył. Stas... Zwracała się do niego w taki sposób. Jak ponoć wszyscy koledzy z wojska i znajomi.

Wyglądał pięknie, kiedy spał. Mimo okropnych przeżyć na jego twarzy malował się spokój, który udzielał się także i jej. Inna sprawa, że w ogóle był pogodnym człowiekiem. I takim... Z zawstydzeniem przyznawała to sama przed sobą, ale ogromnie jej się podobał; na brzydką ranę na policzku nie zwracała już najmniejszej uwagi.

Widywała wcześniej tak przystojnych mężczyzn i mówiąc szczerze, trochę się ich bała, gdyż przeważnie byli zbyt pewni siebie i zepsuci własnym powodzeniem. Choćby taki Andrzej Turzyniecki, który podczas ostatniego karnawału zalecał się do Julii... Jego atencja zachwycała siostrę do tego stopnia, że gdyby nie rodzinna tragedia, wierciłaby ojcu dziurę w brzuchu tak długo, aż pozwoliliby jej na małżeństwo poza kolejnością. Stanisław wydawał się jednak inny, nie miał w sobie nawet cienia arogancji.

– Myślałam, że już wyszłaś. – Do sali zajrzała siostra Franciszka. – Przyszłam sprawdzić, czy z nim wszystko dobrze.

– W najlepszym. – Wstała z krzesła i uśmiechnęła się do zakonnicy. – Nie jestem zmęczona, więc posiedziałam dłużej.

Siostra spojrzała na nią z niedowierzaniem, bo choć Niemcy odstąpili od szturmowania miasta, sytuacja w szpitalu nie uspokoiła się ani trochę. Armia rosyjska kontynuowała ofensywę, pod Łodzią trwała właśnie wielka bitwa, której ofiary przysyłano kolejną do warszawskich lazaretów. Ozdrowieńców niezmiennie ewakuowano w głąb Cesarstwa albo oddawano pod opiekę rodzin. Zostawali tylko ci, którzy mogli nie wytrzymać transportu albo potrzebowali nieustannego nadzoru lekarzy. Do tego ostatniego grona zaliczał się Stanisław.

Nie wiadomo, czy sprawiły to jej modlitwy, czy też siła młodego organizmu, ale z dnia na dzień odzyskiwał siły: doktor Zawilski za każdym razem, kiedy go badał, kręcił głową z niedowierzaniem i uśmiechał się coraz szerzej.

Nadeszła pora, aby wreszcie poinformowała rodzinę, a przede wszystkim babcię, że za jakiś czas jej mąż wprowadzi się do nich. Powinna o tych planach opowiedzieć także jemu.

Tylko czy spodoba mu się pomysł zamieszkania w jednym domu z sześcioma kobietami? A nawet siedmioma, jeśli doliczyć Balbinę. Po chorobie będzie potrzebował spokoju, a u nich nieustannie coś się działo. Ktoś przychodził. Albo się włamywał. Z drugiej strony miałby zapewnioną ciągłą opiekę.

Ostatni raz zerknęła na śpiącego męża, a potem wyszła na korytarz, gdzie też panował mniejszy ruch niż przed kilkoma dniami i powędrowała w stronę klatki schodowej.

– Ninka, dzień dobry!

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się do Sabiny pchającej wózek z czystą bielizną.

Ostatnio widywały się częściej, ale Nina i tak odnosiła wrażenie, że koleżanka jej unika. Zdziwiło ją więc to entuzjastyczne powitanie.

– Odwiedziłaś męża? Zajrzałam do niego wczoraj w zastępstwie Anieli... Pogawędziliśmy chwilę. To bardzo miły człowiek. Wiesz, że dziewczęta zaczynają pojmować, czemu za niego wyszłaś? Kilka chętnie zamieniłoby się z tobą.

– Nie żartuj w ten sposób.

– Nie żartuję. Karolina, ta z drugiego piętra, nie może przeboleć, że nie miała dyżuru, kiedy go przywieźli. Może oświadczyłby się jej, a nie tobie.

– Rozczarowałyby się bardzo. – Nina zaśmiała się, choć wcale nie było jej do śmiechu. – Stas i ja poznaliśmy się wcześniej.

– Ach, rzeczywiście. Zapomniałam, że uratował ci życie.

– Skąd wiesz? – zapytała ze zdziwieniem. – Nie wspominałam o tym nikomu ze znajomych.

Sabina zmieszła się, ale zaraz odzyskała rezon.

– Musiałaś wspominać – oświadczyła z niezachwianą pewnością. – Inaczej skąd bym wiedziała?

– Nie pamiętam... – Zawahała się. Ostatnimi czasy bywała tak zmęczona, że mogło wypaść jej z głowy, że coś komuś powiedziała. Tyle że to akurat nie był drobiazg, tylko ważna sprawa. Powinna pamiętać.

– Dam ci dobrą radę, chcesz? – Sabina najwyraźniej postanowiła zmienić temat. – Nie przejmuj się koleżankami, ale lepiej...

– Tak? – zainteresowała się Nina dla świętego spokoju.

– Lepiej dowiedz się, co z twoim mężem wyprawia Zawilski.

– Co masz na myśli?

– Nic. – Sabina wzruszyła ramionami. – Nie lubię roznosić plotek, ale na twoim miejscu akurat tę bym sprawdziła.

– Ale jaką?

Dresslerówna najwyraźniej nie zamierzała udzielić jej konkretnej odpowiedzi.

– Ach, właściwie to nic ważnego. Przepraszam, muszę iść do pracy – rzuciła jak gdyby nigdy nic, unikając jej wzroku, a potem bez pożegnania ruszyła w swoją stronę.

Ninka zastanawiała się zaś, co takiego zaszło, że ich dawna szkolna przyjaźń prawie przestała istnieć. I czy jeszcze może wierzyć koleżance.

4.

– Szorujcie stąd i żebym więcej was nie widział – powiedział na pożegnanie starszy strażnik, wypuszczając ich na ulicę przez furtkę przy bocznej bramie.

– Dziękujemy. – Warliński uprzejmie się uklonił, zaś Julia tylko kiwnęła głową. A kiedy podwoje fabryki zamknęły się za nimi z nieprzyjemnym zgrzytem, szybko ruszyła w stronę Kawęczynskiej, gdzie czekał automobil. Woląla zniknąć stąd, zanim któryś z drabów zorientuje się, że komedia, którą odegrała wraz doktorem, była jednym wielkim kłamstwem.

– Naprawdę mieliśmy szczęście. – Jej towarzysz przez jakiś czas podążał za nią, ale w końcu przyspieszył kroku i teraz szli już obok siebie. – Cud, że nie zapytali, jak tam w ogóle weszliśmy.

– Przepraszam za te wszystkie wyzwiska i bicie. Nie mogłam inaczej.

– Gdyby nie była pani przekonująca, pewnie by nas nie puścili. – Uśmiechnął się, a ona nie wiedzieć czemu zapatrzyła się bezmyślnie na ten uśmiech i nie zauważyła nierówności chodnika, kiedy więc zrobiła kolejny krok, potknęła się i byłaby upadła, gdyby doktor nie zdążył jej złapać.

Kiedy minął pierwszy szok i pewnie stanęła na własnych nogach, oparła się o mur i spojrzała Warlińskiemu w oczy. Myślała, że zobaczy w nich triumf – w końcu dostał dziś więcej, niż kiedykolwiek mógł się spodziewać – ale ujrzała... czułość? Spieła się momentalnie. Cóż on sobie wyobrażał? Że może gapić się na nią jak na jakąś mdłą heroinę z romansu Mniszkówny?

Uniosła rękę, gdyż chciała go odepchnąć, ale zaraz opuściła ją z powrotem. Dlaczego? Nie rozumiała samej siebie. Powinna natychmiast zostawić doktora i odejść, nie oglądając się wstecz. Był w końcu tylko przypadkowym znajomym. Kimś bez znaczenia. Nie potrafiła zdobyć się na to żadnym sposobem.

– Panie doktorze... – Urwała. Nawet nie zdołała poprosić, aby to on zostawił ją.

– Panno Julio... – Warliński pochylił głowę.

Napięcie nerwów stało się nie do zniesienia. Posyłając do diabła to, co podpowiadały jej resztki rozsądku, odgarnęła z czoła lok, który akurat opadł mu na oko, a potem z wahaniem objęła go za szyję. Przytulił ją do siebie delikatniej niż poprzednim razem.

Przycisnęła usta do jego warg i przerażona własną śmiałością, zaraz chciała się wycofać. Na szczęście nie pozwolił na to, więc w jednej chwili zapomniała, że nie dba o niego. Wywietrzyła jej z głowy plany na przyszłość i rozliczne postanowienia. Znowu pozwalała doktorowi, aby całował ją w taki sposób, jakby oboje mieli nie doczekać jutra.

Oprzytomniał jako pierwszy. Łagodnie przerwał pocałunek, ale wciąż nie wypuszczał jej z objęć. Stali przez jakiś czas blisko siebie, czekając, aż uspokoją się ich oddechy.

– Chodźmy stąd, zanim zdąży pani się przeziębic – powiedział wreszcie.

– Ma pan rację – bąknęła, odsuwając się od niego. Nie zauważyła nawet, że zaczęło padać.

W milczeniu pokonali ostatni kawałek drogi. Julia, nie czekając na zaproszenie, wsiadła do auta i wciąż bez słowa zaczęła owijać się kocami, gdyż z każdą chwilą robiło się jej coraz zimniej.

Warliński zajął miejsce za kierownicą, ale nie włączył silnika. Zaniepokojona podniosła głowę; oczywiście patrzył na nią i – niech porwą go diabli! – tym razem uśmiechał się z zadowoleniem. A do niej z całą ostrością dotarło, że zachowała się skandalicznie. Jak mogła zgodzić się na poufałość

zarezerwowaną dla męża albo przynajmniej narzeczonego? Nie wątpiła, że będzie tego żałować i to pewnie prędzej niż później.

Co w nią w ogóle wstąpiło? Przecież doktor nie podobał się jej wcale: był za chudy, za kudłaty i za bardzo rozczochrany. Do tego miał ostre rysy, duży nos i ciemne oczy, których spojrzenie zaczynało ją przerażać. O miejscu pracy i wysokości jego dochodów wołała nawet nie myśleć.

– Panno Julio – odezwał się nagle obiekt jej rozważań. – Jestem gotów ożenić się z panią choćby dzisiaj.

Koniec świata. Czy naprawdę wydawało mu się, że po jednym... nie, po dwóch pocałunkach, zgodzi się go poślubić?

– Proszę się nie obawiać, w niczym nie uchybił pan mojej czci – odparła oziębłe. – Już prędzej ja pańskiej. Czy bardzo przejmujesz się pan swoją reputacją w tym względzie?

– Żle mnie pani zrozumiała. – Chciał wziąć ją za rękę, ale nie pozwoliła na to. – Uważam, że jest pani najbardziej niezwykłą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem. A całuje pani...

– Pan się zapomina! – Przerwała mu ostro. Gdyby dokończył to zdanie, oblałyby się pąsem od czubka głowy aż po pięty. A i tak umierała już ze wstydu.

– Przepraszam, rzeczywiście zagalopowałem się nieco – powiedział i ku jej wielkiej uldze zabrał się do uruchamiania auta. – Ale kiedyś wrócimy do tej rozmowy... Bo zamierzam udowodnić pani – znowu na nią zerknął – że lepszego męża nie znajdzie pani nigdzie.

Proszę, proszę, ten to ma o sobie mniemanie! Julia z trudem powstrzymała nieparlamentarne słowa cisnące się jej na usta, wzniosła oczy ku sufitowi szoferki i pomyślała, że chętnie przyłożyłaby doktorowi po raz drugi.

5.

– Odzwyczyłam się od ciszy – powiedziała młodsza siostra, siadając na łóżku chorej. – Dobrze, że ta przeklęta bitwa wreszcie się skończyła.

– To zrozumiała. – Zofia, pokaszłując, uniosła się nieco na poduszkach. – Masz więcej czasu dla męża.

Ku swojemu niezadowoleniu Nina poczuła, że się rumieni. Nie potrafiła z nikim rozmawiać o tym, co działo się między nią a Stanisławem. Inna sprawa, że Zofia nigdy nie była dla niej oparciem.

– Widzę, że wraca ci dowcip – mruknęła. – A to dobry znak. Daj termometr – dodała głośniejszym głosem, a kiedy chora wyciągnęła spod pachy żądany przyrząd, obejrzała go bardzo dokładnie. – Trzydzieści siedem i dwie kreski. Zdrowiejesz.

– Nie wytrzymam dłużej w łóżku. Mam tyle pracy.

– À propos... Czy musisz do tej pracy wciągać Polę?

– Skąd wiesz? – zapytała stropiona Zofia.

– Pola nie umie kłamać i od razu widać, że coś kręci. Posłuchaj. Nie mam wątpliwości, czym się zajmujesz. Nie pochwalam tego, ale to twoje sprawy i chyba wiesz, co robisz... Pola nie ma nawet osiemnastu lat. Jeśli coś jej się stanie przez twoje konspiracje, nie rękę za siebie. I lepiej potraktuj to ostrzeżenie poważnie.

– Za kogo mnie masz? – Zofia nie kryła oburzenia. – Za nic nie naraziłabym jej na niebezpieczeństwo!

– Wybacz, ale nie jestem przekonana.

– Zhardziałaś po tym ślubie.

– Czy nie podoba ci się coś w moim małżeństwie? – Nina nie dała zbić się z tropu. – Jeśli tak, powiedz wprost... albo się nie wtrącaj.

– Naprawdę zhardziałaś.

– Nie było cię w domu przez ponad trzy lata – odparła, jednocześnie starannie odmierzając krople mikstury zaordynowanej przez doktora Jezierskiego. – Nic o mnie nie wiesz.

– Znam cię lepiej, niż ci się wydaje. I masz rację, nie podoba mi się twoje małżeństwo. Nie chcę, żebyś za jakiś czas płakała po nocach przez tego człowieka.

Zadrżała jej ręka i kilka kropel spadło na blat stolika. Rzeczywiście, Zofia dobrze pamiętała ich dzieciństwo. I sprawy, która do tej pory bolały zbyt mocno, aby do nich wracać.

– Masz, połknij. – Nie patrząc siostrze w oczy, podsunęła jej łyżeczkę z lekarstwem, a potem podała wodę do picia. – Jestem silniejsza, niż ci się wydaje.

– Wiem, że jesteś silna. – Zofia odstawiła pustą szklankę na blat. – Ale mężczyźni... Oni wszystko komplikują. Znajdź sposób, żeby unieważnić ten ślub – dodała po chwili. – Skoro jemu nic nie grozi, nie musisz tego ciągnąć. Wszystko, nawet litość, ma swoje granice.

Litość? Jaka znowu litość? Współczucie, i owszem, kierowało nią na początku, ale teraz... Oprócz tego, że Stanisław bardzo jej się podobał, lubiła go, życzyła mu jak najlepiej i chętnie spędzała czas w jego towarzystwie. Dużo ze sobą rozmawiali – to znaczy, głównie on mówił, zaś ona odpowiadała na jego niezliczone pytania. Szczerze, choć czasem wymijająco. Nie umiała tego wyjaśnić, ale wierzyła mu prawie od pierwszych minut znajomości. Żywiła też przekonanie, że jakkolwiek potoczą się losy ich małżeństwa, Stanisław na pewno jej nie skrzywdzi. A ona nie zniszczy jego kariery – obiecała to pułkownikowi. I sobie.

– Przyjęłam do wiadomości twoje obiekcje i nie mam zamiaru dłużej dyskutować na ten temat – oświadczyła z powagą, a potem przygryzła wargę, aby nie wyrwało się jej żadne ostre słowo.

Mimo tak jasnej deklaracji chora zamierzała powiedzieć coś jeszcze, ale nie zdążyła, gdyż do pokoju wpadła Julia. Ninka pomyślała, że dawno nie widziała młodszej siostry w tak doskonałym humorze.

– Ty także wyszłaś za mąż? – zapytała z westchnieniem Zofia, która również zauważyła błysk w oku siostry. – Czy dopiero przyjąłś oświadczyzny?

– Dlaczego niezmiennie mam wrażenie – wycedziła Julia, zerkając kąpiąco na najstarszą – że jesteś zła, bo Ninka śmiała nie zaczekać na swoją kolej?

– Martwię się, że... – Zofia oburzyła się tak gwałtownie, że znowu zaczęła kaszleć.

– Od martwienia się na zapas mamy ciotkę Klarę, więc nie musisz nadrabiać trzyletnich zaległości. Chcę powiedzieć wam coś ważnego. Pola! – Wyrzała na korytarz. – Czemu się tak guzdrzesz? Chodź tu zaraz.

– Jestem. – Po chwili w drzwiach stanęła zarumieniona najmłodsza Kellerówna. – Przepraszam, musiałam...

– Nie interesuje mnie, co musiałaś – rzuciła Julia. – Siadaj i słuchaj.

– Zaczyna robić się ciekawie – mruknęła Zofia.

Ninka uśmiechnęła się pod nosem. Cieszył ją fakt, że młodsza siostra zaczęła zachowywać się jak niegdyś. Brakowało jej dawnej Julci. Pełnej życia, pomysłów i planów. Mówiącej prawdę w oczy, ale nie okrutnej, choć wiecznie wścieklej na cały świat. Trzpiotowatej i skupionej na sobie, ale w gruncie rzeczy dobrej. Bogu dzięki, że wróciła.

– Słuchajcie uważnie, bo chcę zdążyć, zanim wróci ciocia z babcią. Uważam, że nie powinny o niczym wiedzieć. Przynajmniej na razie. Odwiedziłam dzisiaj fabrykę. – Julia rzuciła swoją bombę i zamilkła w oczekiwaniu na reakcję zebranych.

– Naszą fabrykę? – zapytała Pola. – Na Szmulkach?

– A mamy... mieliśmy jakąś inną? Oczywiście, że na Szmulkach.

– Zaraz, zaraz. – Nina się zaniepokoiła. – Czy dobrze zrozumiałam? Poszłaś sama do fabryki, która teraz jest własnością kogoś innego? Julcia, to było wtargnięcie na cudzy teren. Gdyby ktoś cię złapał...

– Nie uważasz, że skoro, jak to elegancko ujęłaś, włamywacze wtargnęli do naszego mieszkania, mamy prawo wiedzieć, kto im kazał i w jakim celu? I nie, nie poszłam tam sama.

– A z kim? – zainteresowała się natychmiast Zofia, która naprawdę musiała umierać z nudów, skoro tak dobrze czuła się w rolę najstarszej siostry i opiekunki.

– Nie powinno cię to interesować. – Julia bez skrępowania pokazała jej czubek języka. – Wracając zaś do tematu... Dacie mi wreszcie coś powiedzieć?!

– Mów – rzuciła z westchnieniem Nina. – Czego się dowiedziałas?

– Fabryka nie pracuje, od kilku miesięcy stoi pusta.

– Jak to: nie pracuje? – zdumiała się Zofia. – Wywieźli maszyny?

– Maszyny są w halach, a wozy w wozowni. Nie jestem pewna, ale chyba nawet nie opróżnili magazynów.

– I jeszcze tego nie rozkradli?

– Interesu pilnują strażnicy – powiedziała Julia i nie wiedzieć czemu, zaczerwieniła się jak wiśnia.

– W jaki sposób tam weszłaś? Chyba nie przez plot?

– Pamiętasz tę dziurę w murze na tyłach fabryki?

– Pamiętam. – Nina uśmiechnęła się mimowolnie. – A potem?

– Potem wystarczyło trochę sprytu. – Siostra nie przestawała się rumienić. – Zajrzałam tu i ówdzie. Ktoś przeszukał budynek biurowy z góry do dołu. W gabinecie tatki otworzyli sejf i nawet nie raczyli zamknąć go z powrotem. A apartament... apartament wygląda pięć razy gorzej niż nasze mieszkanie. Zabrali całą broń, co do sztuki, resztę rzeczy zniszczyli. I jeszcze jedno, tych strażników oplaca jakiś adwokat.

– Skąd to wszystko wiesz?! – zapytała ze zdumieniem Zofia.

– Wiem i tyle.

– Może mecenas Finkiel ich oplaca – powiedziała Nina z namysłem. – Bo kto inny?

– Może same go zapytamy? A jeśli nas wypędzi, naślemy na niego sędziego Szustra.

– Fakt – zgodziła się najstarsza. – Mecenas boi się sędziego jak diabeł święconej wody. I z tego strachu pewnie nic mu nie powie.

– To znajdziemy innego spryciarza. – Julia uśmiechnęła się szeroko.

– Czy chciałabyś powiedzieć nam coś jeszcze? – zagaiła Nina niby od niechcienia. – Kto poszedł z tobą do fabryki?

– To wszystko jest naprawdę dziwne. – Młodsza siostra zignorowała pytanie. – Fabryka stoi pusta, willa także. Świdermajera pewnie też zamknęli na głucho. Włamali się do naszego mieszkania.

– Złożę się – zaczęła Zofia – że nowy właściciel tylko przez niedopatrzenie pozwolił wam zabrać ze sobą trochę rzeczy. Zajął fabrykę, biuro, letni dom i apartament wraz z dokumentami i ruchomościami, więc to oczywiste, że w willi też wszystko powinno być na swoim miejscu. Później nie mógł oficjalnie zażądać zwrotu, więc włamywacze robili wszystko, by naprawić błąd. A że tym pierwszym nie wyszło, to przysłał kolejnych. Boję się, że będzie próbować do skutku.

– Sugerujesz – odezwała się milcząca dotąd Pola – że ktoś doprowadził tatkę do bankructwa, a potem przejął nieruchomości, żeby móc je dokładnie przeszukać?

Wszystkie trzy spojrzały na najmłodszą, która krótko acz treściwie podsumowała całą aferę.

– Nie inaczej. – Zofia kiwnęła głową. – I dałabym wiele, aby dowiedzieć się, na czym temu komuś tak zależy, że nie wahał się wynająć ludzi zdolnych do morderstwa. Na broni tatki?

– Skoro zrewidowali biuro, to raczej szukają jakichś dokumentów – wtrąciła się znowu Pola – co oznacza, że sprawa musi dotyczyć fabryki. Chyba trzeba porozmawiać z dyrektorem Grosmanem.

– Dyrektor wyjechał z Warszawy zaraz po śmierci tatki – przypomniała siostrze Julia. – Nie przyszedł nawet na pogrzeb. Równie dobrze możemy szukać wiatru w polu.

– Wiem, z kim jeszcze powinniśmy się spotkać – powiedziała Nina. – To znaczy najpierw z Finkielem, a zaraz potem z panną Stefanią.

Stefania Bartmanówna przez prawie sześć lat pełniła obowiązki osobistej sekretarki tatki. Jeśli ktoś mógł wiedzieć, co naprawdę wydarzyło się w firmie Kellerów, to niewątpliwie ona.

– Masz rację. – Julia klasnęła w dłonie. – Całkiem o niej zapomniałam.

A więc młodsza siostra też wyrzuciła z pamięci tę kobietę? Czyżby wiedziała, że panna Stefania nie tylko pomagała tatce w pracy, ale także dotrzymywała mu towarzystwa po godzinach? Maksymilian Keller urządził sobie apartament w fabryce, aby móc spotykać się z nią bez przeszkód. Teraz jednak nie miało to żadnego znaczenia.

– Ustaliliśmy więc plan działania – zaczęła niepewnie Pola. – Najpierw rozmowa z mecenasem, potem z panną Stefanią... A jeśli oni nic nam nie powiedzą, to powinniśmy znaleźć sposób, żeby wyciągnąć informacje z sądu.

– Skąd wiesz takie rzeczy? – Zofia z niedowierzaniem popatrzyła na najmłodszą siostrę.

– Słyszałam, jak babcia mówiła do cioci, że gdyby naszą fabrykę uczciwie zlicytowano, to może wyczytałybyśmy coś w gazetach. A tak możemy tylko się domyślać, bo kobiet bez pieniędzy nikt nie potraktuje poważnie.

Zamilkły wszystkie, a w pokoju zapanowała przygnębiająca atmosfera. Julia chyba nie zamierzała się jej poddać, bo nagle podniosła głowę i powiedziała:

– Byłabym zapomniała! Zobaczcie, co znalazłam w apartamencie. – Sięgnęła do kieszeni spódnicy i położyła na stoliku złoty skarb.

– Obrączka tatki. – Nina natychmiast wzięła do ręki błyszczące kółeczko. – Przeszukałam pół willi, żeby ją znaleźć. Myślałam, że przepadła na zawsze.

– Wierzę, że to dobry znak – oświadczyła z przekonaniem Pola, a żadna z siostr nie miała odwagi zaprzeczyć.

ROZDZIAŁ XI

I.

– Naprawdę uważa babcia, że powinnyśmy tam pójść? – zapytała Pola.

– Oczywiście – odparła Adela, z tak głębokim przekonaniem, że niewątpliwie już dawno powzięła myśl o wyprawie do szpitala. – Najwyższa pora, żebyś poznała męża Niny. Wszystkie wymyślenie o nim niestworzone historie, więc chcę osobiście sprawdzić, czy taki diabeł straszny, jak go malują.

Nadal nie była przekonana, że to dobry pomysł.

– Proszę babci, a jeśli wizyta mu zaszkodzi? Może lepiej zapytać Ninę? Inaczej będzie zła, że robimy coś za jej plecami.

– Prędzej doczekam się gustownej trumny – Adela dopiła herbatę – niż tego, że twoja siostra uzna za stosowne przedstawić mi męża. Szykuj się, zaraz wychodzimy, zanim Nina odeśpi dyżur.

Pola westchnęła z rezygnacją. Kiedy babcia wbiła sobie coś do głowy, nie słuchała żadnych argumentów. Może jednak tym razem miała rację, że już pora spotkać się z panem Stanisławem. W końcu z opowiadań Ninki wynikało, że najgorsze zagrożenie minęło. Inna sprawa, że najmłodszą Kellerównę niezmiernie intrygował człowiek, który potrafił przywieść starszą, twardo stającą po ziemi siostrę do – jak to nieustannie powtarzała ciotka Klara – popełnienia największego szaleństwa w życiu.

Skapitulowała. Niech już babci będzie.

– Położyła się dopiero przed chwilą, więc mamy czas – powiedziała.

– A myślisz, że dla czego wybrałam tę porę? – Starsza dama uśmiechnęła się chytrze.

Ciotka i Julia z samego rana pojechały do swoich zajęć w Dolinie Szwajcarskiej, niedomagająca nadal Zofia spała tak samo twardo jak Ninka, więc przed wyjściem babcia nakazała Balbinie mieć oko na wszystko i w razie najmniejszych kłopotów dzwonić po policję.

Pod rękę i spacerowym krokiem przebyły odległość dzielącą ich kamienicę od ulicy Marszałkowskiej, a tam, po kilku minutach oczekiwania, wsiadły do zatłoczonego tramwaju numer czternaście. Na szczęście dla starszej pani znalazło się miejsce siedzące. Pola czuła się dziwnie, kiedy obserwowała Adelę jadącą miejskim środkiem komunikacji; babcia była przecież przyzwyczajona, że wożono ją wszędzie powozem lub automobilem, w najgorszym wypadku dorożką, a tymczasem zachowywała się, jakby przez całe życie nie robiła nic innego, tylko korzystała z tramwajów.

Pojazd toczył się niespiesznie Marszałkowską, potem aleją Jerozolimską, a za starym pałacem Opalińskiego skręcił w prawo, w Nowy Świat, i wjechał na plac Świętego Aleksandra, minął górujący nad nim ogromny kościół, a następnie pomknął prosto Alejami Ujazdowskimi.

Wygładając przez okno, Pola stwierdziła, że kamienice nadal zachwycają wykwintem i dostojnością, a zza ogołoconych z liści drzew widać ściany willi i pałaców. Kiedy zobaczyła dom rodzinny, ogarnęło ją nagłe wzruszenie: bardzo tęskniła za swoim pokojem, za buduaem mamy, w którym nic nie zmieniono po jej śmierci, i za pełnym książkowym gabinetem tatki; zakradła się tam w nocy i ściągała z półek dzieła Mary Shelley, Polidoriego i Edgara Allana Poe, których rodziciel, gdyby tylko o tym wiedział, nie pozwoliłby jej nawet otworzyć.

– Już dobrze – szepnęła babcia, która ewidentnie umiała czytać w myślach i lekko poklepała ją po ręce. – Wydaje mi się, że powinnyśmy wysiadać.

– Rzeczywiście. – Pola oprzytomniała w jednej chwili i znowu zerknęła w okno; tramwaj dojeżdżał do wielkiego gmachu Korpusu Kadetów imienia Suworowa, w którym mieścił się miejski lazaret.

– Nie żal babci naszej willi? – zapytała, kiedy już stały na chodniku pod wejściem do szpitala. – Dziadek August zbudował ją dla babci.

– Drogie dziecko – zaczęła z westchnieniem Adela. – Straciłam w życiu zbyt wiele, aby martwić się jednym domem. Zresztą nie jest powiedziane, że któraś z was go nie odzyska.

– Najprędzej Julia – mruknęła Pola.

Babcia zaśmiała się cicho, a potem powiedziała:

– Czasem myślę, że jesteś od niej starsza. I to o dobre kilka lat. Nie zaprzeczaj, wiem, co mówię. Wdałaś się w Paulinę, a Julia w jej matkę. Trzydzieści parę lat temu nie było w tym mieście większej gwiazdy salonów niż wasza babka Gabriela, świeć Panie nad jej duszą... Chyba że Amelia Rapacka. – Na chwilę zatopiła się we wspomnieniach, ale szybko oprzytomniała. – Chodźmy wreszcie obejrzeć tego porucznika, który zawrócił w głowie twojej siostrze.

Weszły do holu, którego ogrom onieśmielił Polę – nawet ten w Aleksandrowsko-Maryjskim Instytucie Wychowania Panien nie dorównywał mu wielkością – ale na babci nie zrobił najmniejszego wrażenia. Od niechcienia omiotła wnętrze wzrokiem, a potem podeszła do strażnika i z miną udzielnej księżnej zapytała, gdzie można zasięgnąć informacji o pacjentach. Żołnierz wyprostował się jak przed samym generałem i wskazał drzwi wiodące do kancelarii.

– Zaczekaj tu, moje dziecko, a ja wszystkiego się wywiem – powiedziała Adela, a następnie bez pukania weszła do pomieszczenia.

Pola, obserwując biegnące we wszystkich kierunkach sanitariuszki i zakonnice oraz spacerujących po korytarzach chorych – na szczęście nie przywieziono akurat nowego transportu – przypomniawszy sobie, co czytała w gazecie na temat tego szpitala. Zatrudniano tu czterdziestu pięciu lekarzy, czterdzieści siostr szarytek i sto sześć pielęgniarek. Dziewięć wielkich sal dla chorych zajmowało dwa piętra, a oddział chirurgiczny – gdzie notabene od samego początku pracowała Nina – został ponoć wyposażony najlepiej w Warszawie.

Nie zdążyła przypomnieć sobie nic więcej, ponieważ zadowolona babcia właśnie opuściła biuro.

– Wiem już wszystko – oświadczyła. – Musimy wejść na pierwsze piętro i szukać sali numer cztery.

– Nie miała babcia żadnych problemów? – zapytała Pola.

– Niby jakich? Przecież jestem babką porucznika Woydy – rzuciła beztrudno Adela. – Chodźmy, nie ma na co czekać.

Rozbawiona dziewczyna pospiesznie ruszyła za starszą panią, która zdążyła już pokonać prawie jedną trzecią schodów. Kiedy dotarły już na górę, Pola rozejrzała się za kimś, kto mógłby pomóc im w odnalezieniu właściwego pokoju – łatwo było zablądzić w płataninie długich korytarzy. Wokoło mocno pachniało lizolem, a zza otwartych drzwi sal dochodziły przerażające odgłosy, do złudzenia przypominające te, jakie słyszała, gdy chodziła na Wiejską z książkami dla panny Ireny.

Nagle tuż przed nimi wyrosły trzy pielęgniarki.

– W czym mogę pomóc? – zapytała uprzejmie ta, która wydała się Poli znajoma.

– Szukam porucznika Stanisława Woydy – powiedziała babcia. – Podobno leży w sali numer cztery.

– Zgadza się. – Dziewczyna kiwnęła głową, nie spuszczając z nich wzroku. – Pani jest babcią Niny Kellerówny? A to Pola... Pani mnie nie poznaje? Sabina Dressler, chodziłam z Niną na pensję pani Sikorskiej.

– Rzeczywiście – odparła Adela, choć z jej tonu Pola wywnioskowała, że starsza dama wcale nie kojarzy koleżanki wnuczki. Natomiast ona przypomniała ją sobie bardzo szybko: Sabina była przecież nie tylko szkolną koleżanką siostry, ale także szczęśliwą narzeczoną Witolda Tarłowskiego. Poczula ukłucie w sercu.

– Nina wspominała, że pracujecie razem – powiedziała, chcąc wybrnąć z niezręcznej sytuacji. – Ty także jesteś instrumentariuszką?

– Ależ skąd. Nie mam tak wysokich kwalifikacji jak Ninka. A sala numer cztery jest tam, na końcu korytarza. – Dresslerówna wskazała im kierunek. – Proszę tylko zdjąć okrycia. Inaczej doktor Warliński może się rozgniewać. Porucznik Woyda, to jego najważniejszy pacjent... – Uśmiechnęła się jakby z lekką kpina. – Wieszak stoi przed samym wejściem.

– Dziękujemy – powiedziała Pola, zaś babcia tylko skinęła głową na pożegnanie. Nie trzeba było długo myśleć, aby dojść do wniosku, że panna Sabina nie przypadła jej do gustu.

Dotarli do pokoju rannego. Drzwi stały otworem, więc Kellerówna dyskretnie zerknęła do środka.

– Śpi – powiedziała półgłosem. – Nie powinnyśmy mu przeszkadzać.

– Wyśpi się, jak pójdziemy do domu. Dopiero wtedy będzie naprawdę zmęczony.

Nie dyskutowała dłużej, tylko pomogła babci zdjąć i odwiesić palto, a potem szybko zsunęła swoje. Zapukała, ale nikt nie odpowiedział. Ponaglana przez Adelę, weszła jednak do sali, starając się zachowywać jak najciszej, niestety, potrąciła niechcący stolik i zrzuciła z niego łyżkę. Hałas sprawił, że mężczyzna leżący tyłem do wejścia obrócił się wolno na drugi bok i spojrzął na nie nieprzytomnym wzrokiem.

– Dzień dobry. – Babcia, nie zważając na jego zaskoczenie, przysunęła sobie krzesło i wygodnie się na nim rozsiadła. – Porucznik Stanisław Wojda, jak mnie mam? Dziecko, nie stój nade mną jak kat nad dobrą duszą – zwróciła się nagle do Poli. – Znajdź sobie coś do siedzenia. O cóż to ja pytałam? – Spojrzała znowu na młodego człowieka. – Pan porucznik Woyda?

– Tak, to ja – odparł przyjemnym barytonem mąż Niny, który zdołał już nieco dojść do siebie. – Przepraszam, że nie wstaję, ale...

– Leż, drogi chłopcze. – Adela uspokoiła go gestem. – Wiem, że uciekłeś grabarzowi spod łopaty.

– Czym mogę paniom służyć? – Uniósł się nieco na poduszce. – Chyba nie miałem zaszczytu poznać...

Panna, która wreszcie przycupnęła na stolku w kącie, przyjrzała mu się dyskretnie. Porucznik – jasnowłosy i niebieskooki – rzeczywiście był niezwykle przystojny, szpeciła go tylko świeża szrama na policzku.

– Nazywam się Adela Kellerowa – odezwała się tymczasem babcia. – Nina jest moją wnuczką. A to Apolonia, jej najmłodsza siostra. Wybacz to najście, chłopcze, ale uznałam, że już pora, żeby zawrzeć znajomość. Nie masz nic przeciwko temu, że zwracam się do ciebie po imieniu?

– Ależ skąd – wykrztusił Stanisław, wyraźnie oszołomiony tym, co usłyszał. – Dla mnie to prawdziwy honor.

– Bardzo się cieszę. – Adela uśmiechnęła się do niego jak kot do zapędzonej w kąt myszy. – Imaginuj sobie, że chciałabym zapytać cię o kilka spraw...

2.

Zofia z coraz większym trudem znosiła beczyność, próbowała więc przekonać doktora Jezierskiego, że jest wystarczająco zdrowa, aby móc wyjść z domu. Wszystkie jej wysiłki szły jednak na marne, bo w trakcie codziennego osłuchiwania stetoskopem lekarz stwierdzał niezmiennie, że szmery w płucach nadal są wyraźne i w związku z tym pacjentka musi leżeć w cieple.

Tego dnia nudziła się wyjątkowo, w domu była tylko Nina, która spała w pokoju młodszych sióstr, oraz Balbina zajęta gotowaniem obiadu. Ucieszyła się więc, kiedy spowita chmurą kapuścianej woni służąca zajrzała do niej i oświadczyła:

– Koleżanka do panienki. Chuda taka i mała. Mówi, że Dobrowolska. Wpuścić czy dzwonić po policję?

– Wpuść natychmiast. – Zofia z ekscytacji usiadła na łóżku.

Irena była nie tylko jej koleżanką ze szkolnych lat, ale także towarzyszką z konspiracji. Współpracowały ze sobą już od kilku miesięcy.

– Dzień dobry, Zosiu. – Irena weszła do pokoju i wtedy, dla odmiany, zapachniało francuskimi perfumami.

Panna Dobrowolska zwracała na siebie uwagę wdzięczną filigranową sylwetką, jasnymi włosami i dużymi oczami o barwie lazuru. Anielska uroda w połączeniu ze sprytem stanowiły piorunującą mieszankę, której nie umieli oprzeć się rosyjscy oficerowie: tuzinami tracili głowy dla pięknej dziewczyny i z ochotą zwierzali się jej z przeróżnych wojskowych tajemnic. Na Balbinie, która doskonale pamiętała nieodżałowanej pamięci Paulinę Kellerową oraz najlepsze lata ciotki Klary, aparycja gościa nie zrobiła jednak żadnego wrażenia.

– Cieszę się, że przyszedł. Siadaj, moja droga. Napijesz się herbaty?

– Lepiej nie odrywaj Balbiny od pracy. – Irena zaśmiała się cicho. – Chyba jej się nie spodobałam, bo zerkała na mnie jakoś podejrzliwie.

– Wszystko przez te kłopoty, o których ci opowiadałam. Balbina woli dmuchać na zimne.

– W takim razie nie dziwię się wcale... Proszę, to dla ciebie. – Wyciągnęła z torebki ozdobne pudełko z cukrami od Semadeniego.

– Skąd je wzięłaś? – spytała z radością Zofia, która od dziecka przepadała za tymi słodyczami. – Nigdzie nie można ich kupić.

– Dostałam w prezencie od pewnego kapitana artylerii i przypomniałam sobie, że miałaś do nich słabość. Może jak podjesz słodkiego, szybciej wyzdrowiejesz. Brakuje nam ciebie, bo mamy mnóstwo roboty... Nawet nie wiesz, co wydarzyło się ostatnio.

– Nie trzymaj mnie w niepewności. – Zofia otworzyła pudełko i podsunęła je koleżance.

– Zmiany, zmiany, zmiany. – Irena sięgnęła po wiśniową pomadkę. – Mamy nowego dowódcę i jesteśmy teraz Polską Organizacją Wojskową. W skrócie POW.

– Nareszcie. – Skusila się na winogrona w cukrze. – Już w październiku słyszałam, że Komendant zamierza kogoś przysłać. Kto to jest?

– Każe nazywać się Roman Barski². Młody, ale wygląda na człowieka, który dokładnie wie, czego chce.

– I taki jest – potwierdziła szybko Zofia. – Znam go. Byliśmy razem na ćwiczeniach polowych, a potem spotkałam go kilka razy. Był adiutantem Komendanta, poza tym to świetny organizator. Sam przyjechał? – zapytała od niechcenia, gdyż nie chciała pokazać, jak bardzo interesuje ją ta kwestia. Marzyła, aby usłyszeć znajomy pseudonim.

– Sam. Czekasz na kogoś? – Irena okazała się stanowczo zbyt domyślna.

– Gdzie tam. Po prostu zawsze miło zobaczyć znajome twarze – odparła jak gdyby nigdy nic. Tęskniła za Janem tak mocno, że chwilami ta tęsknota bolała ją wręcz fizycznie, ale nie przyznałaby się do tego głośno za nic w świecie. I tak zbyt wiele osób wiedziało o ich związku.

– Niewykluczone, że przyślą jeszcze kogoś. Organizacja szybko się rozrasta. Masz. – Irena znowu sięgnęła do torebki i tym razem wyjęła z niej ulotkę. – To dla ciebie. *Deklaracja ideowa POW.*

Zofia wzięła dokument do ręki i zaczęła go uważnie studiować.

Celem P.O.W jest zdobycie niepodległości Polski drogą walki zbrojnej. P.O.W. skierowuje swój oręż przeciwko największemu swemu wrogowi – Rosji. Terenem działalności P.O.W. są ziemie okupowane przez wojska rosyjskie. P.O.W. jest organizacją apolityczną, grupującą ludzi różnych przekonań i może podlegać jedynie Rządowi Narodowemu, któremu podlegać będą Legiony Polskie. Członkiem P.O.W. może być każdy Polak, mający

skończone lat siedemnaście, który złoży przyrzeczenie na Deklarację. Działalność P.O.W. opiera się na zasadach wojskowych. Członkowie jej są ujęci w oddziały, stanowiące jednostki wojskowe, podległe bezwzględnie swym komendantom...⁶

– Przeczytaj koniecznie całość – poradziła jej Irena. – Ja znam ją prawie na pamięć.

– A czym my... – zainteresowała się ostrożnie Zofia. – Czym będziemy się zajmować?

– Obowiązków nam nie zabraknie. Oddział żeński będzie podzielony na cztery sekcje.

– Aż cztery? Po tym jak zlikwidowali oddział wywiadowczy, myślałam, że zrobią z nas wszystkich sanitariuszki.

– Nie będzie tak źle – zaśmiała się koleżanka. – Oprócz sekcji sanitarnej ma być intendentura, kolportaż i wywiad. Okazuje się, że Legiony nie mogą obejść się bez kobiet.

– Naprawdę?!

– Mówiła o tym sama „Ella”². A ona nie rzuca słów na wiatr.

– „Ella”?! Naprawdę? – Gdybym mogła, wróciłabym do pracy nawet dzisiaj.

– Najpierw wyzdrowiej. Robota ci nie ucieknie. A żebyś się nie nudziła, mam dla ciebie zadanie – dodała, wstając z krzesła. – A nawet dwa.

Obejrzała się, aby sprawdzić, czy drzwi na pewno są porządnie zamknięte, a potem zarzuciła sobie na plecy tył szerokiej spódnicy i ze specjalnej, doszytej z tyłu gorsetu kieszeni, wyciągnęła pistolet.

– Możesz schować to w dobrym miejscu? Tylko uważaj, nabity.

– Coś wymyślę. Rozumiem, że jest trefny? – Zofia wzięła broń od koleżanki i uważnie ją obejrzała. Browning M1910, kaliber 7,65 milimetra. Samopowtarzalny. Cacko. Przez chwilę ważyła go w dłoni, rozkoszując się znajomym ciężarem, a potem tymczasowo ukryła pod poduszką.

– Ukradłam go temu kapitanowi od cukrów. – Irena bez ceregieli przyznała się do przestępstwa. – Sam się prosił, był pijany w sztok. Ale chyba coś podejrzewa, więc wołę nie trzymać tego w domu, przynajmniej na razie. Jak sprawa przycichnie, oddam do magazynu.

– U nas nikt nie będzie go szukał. Jest ciemno jak pod latarnią – zażartowała. – Policja pojawia się regularnie z powodu śledztwa, a wkrótce wprowadzi się porucznik piechoty. Moja siostra chciała umilić mu ostatnie chwile, więc wzięła z nim ślub. A on tak się ucieszył, że zamiast umrzeć, wyzdrowiał. Zakładam, że kolejnym etapem będzie wspólne zamieszkanie – wyjaśniła, widząc zdumienie koleżanki. – Ciekawe, co powie na to babcia?

– Julia wyszła za męża?

– Julia miewa dziwaczne pomysły, ale nie wpadłaby na to, by poślubić rosyjskiego oficera. Mówię o Nince. Nie wspominałam ci, że pracuje w szpitalu w Korpusie Kadetów.

– W tym samym, co nasza Sabina?

– Znają się doskonale, bo też chodziły razem na pensję. Ninka nie wie, czym zajmuje się jej koleżanka, gdyż nadal wierzy w Rosję.

– Tak samo jak moi rodzice – mruknęła Irena. – Liczę, że niedługo wróci im rozum. Za to twoja najmłodsza siostra świetnie radziła sobie jako kurierka.

– Pola jest obowiązkowa, a do tego małowólna. Nie powinnam była angażować jej bez zgody góry, ale naprawdę nie miałam wyjścia. Dla pewności kazałam jej przysiąc na krucyfiks, że nikomu nie piśnie ani słowa.

– Wciągnijmy ją do organizacji – zaproponowała koleżanka. – Przydałoby się nam takie dziewczętko niezwracające niczyjej uwagi.

– Po prawdzie, to ona aż się rwie – odparła Zofia. – Nawet pytała mnie ostatnio, czy nie może w czymś pomóc.

– Taka z niej patriotka?

– Nie wprowadzałam jej w szczegóły, ale wiem, że bez trudu przekonałabym ją do naszych racji. Tylko że... – zawahała się – ...gdyby coś jej się stało, nigdy bym sobie nie wybaczyła, a reszta rodziny obdarłaby mnie ze skóry.

– Rozumiem – przytaknęła z westchnieniem Irena. – I żałuję. Wracając zaś do Sabiny... Wiesz, że jest zaręczona?

– Wiem – przytaknęła. – Co ciekawe, Witold kiedyś zalecał się do mnie, ale uciekłam przed nim do Krakowa. Od dziecka był okropnym nudziarzem, nie wytrzymałabym z nim nawet tygodnia.

– Wygląda na to, że pana Tarłowskiego nadal interesują dziedziczki firm metalurgicznych. Ciekawe... – Koleżanka zamyśliła się na chwilę.

– I jego, i jego wuja – rzuciła szybko Zofia. – A Sabina to świetna partia. Stary Dressler śpi na pieniądzach i nie ma więcej dzieci. Choć słyszałam plotki, że upatrzył sobie kandydatkę na drugą żonę.

– Tarłowski może okazać się dla niego bardzo nietrafioną inwestycją.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Witold może nie jest może romantyczny, ale zawsze wydawał się przyzwoity. A znam go, od kiedy skończył szesnaście lat.

– Odniosłam inne wrażenie – zaczęła z wahaniem Irena. – Nie chcę rzucać pochopnych oskarżeń, ale... Widzisz, pod koniec października dostałam rozkaz rozpracowania Dubinina.

– „Tego” Dubinina? Tego z Ochrony, który od wiosny poluje na ludzi z Drużyn? – Zofia zamarła. – Przecież nikt nie wie, jak on wygląda. Ani gdzie mieszka.

– Ja wiem – odparła koleżanka, nawet nie starając się ukryć dumy. – Kiedyś ci opowiem, jak go dopadłam... Wyobraź sobie, że Tarłowski przyjechał do Warszawy zaraz po tym, kiedy Niemcy zaczęli się cofać, i zgadnij, z kim się spotkał?

– Z Dubininem... – powiedziała cicho Zofia.

– I to trzy razy! Ostatnio nawet odwiedził go w biurze.

– Uważasz, że Witold Tarłowski współpracuje z Ochroną? Przecież dopiero co wrócił ze Szwajcarii.

– Myślisz, że w Szwajcarii nie ma rosyjskich agentów? Nie upewniłam się jeszcze do końca – panna Dobrowolska spojrzała na nią z powagą – ale sama przyznasz, że coś tu okropnie śmierdzi.

– Sabina wie?

– Mam rozkaz jej nie mówić. Kiedy Tarłowski znów pojawi się w mieście, będziemy go obserwować. Sabina może nam to ułatwić, nawet nieświadomie.

– Dlaczego mnie o tym mówisz, skoro to ściśle tajne?

– Sama wspomniałaś, że znasz go od lat – wyjaśniła koleżanka. – Dlatego chcemy, żebyś spisała wszystko, co o nim wiesz, w najdrobniejszych szczegółach. Wpadnę tu za kilka dni, odbiorę i przekażę „Ell”.

– Oczywiście. – Zofia kiwnęła głową i nagle ogarnął ją smutek. Dostała bowiem kolejną lekcję, że pozory mogą mylić i nie należy szafować zaufaniem. Choć akurat Witoldowi przestała ufać w dniu, kiedy zaczął starać się o jej rękę.

3.

– Za udział w powstaniu dziadek stracił nie tylko majątek pod Warszawą, ale też dostał wyrok dwudziestu pięciu lat katorgi. – Stanisław mówił staranną polszczyzną ze śpiewnym akcentem. – Babcia zabrała ojca, któremu było wszystkiego dwa lata, i pojechała za nim na Syberię. Dziadek nie dał rady przywyknąć do tamtejszych warunków, więc zdziwaczał, ale dopóki żyła babcia, trzymał się jakoś. Ale kiedy umarła – głos zdrzął mu lekko – wziął strzelbę i poszedł w tajgę. Nie wrócił. Niektórzy mówili, że zabił go zwierz, inni, że sam...

– Nie musisz kończyć, chłopcze – wtrąciła uspokajająco Adela.

– Nie chcę niczego ukrywać. – Spojrzał jej prosto w twarz i przez chwilę mierzyli się wzrokiem, wreszcie mąż Niny spuścił głowę i podjął przerwany wątek: – Ojciec pokończył szkoły i zaczął robić interesy. Nawet dobrze mu szło. Planował, że jak więcej zarobi, wróci do Polski i poszuka rodziny. Tyle że poznał moją matkę, którą w 1887 roku zesłali do Tomsku.

– Zapewne za politykę?

– Nie inaczej. – Kiwnął głową. – Skazali ją na dwadzieścia lat. Niedługo przed końcem kary zachorowała na tyfus i umarła, a ojciec zaraz po niej. Ja nie skończyłem jeszcze czternastu lat i jakimś cudem zdołałem się wyratować, ale nikt nie wiedział, co ze mną zrobić. W końcu wspólnik ojca, Rosjanin, zdecydował, że najlepiej zabrać mnie ze zwykłego gimnazjum i oddać do wojskowego. Później skończyłem w Moskwie Aleksandrowską Szkołę Piechoty i dostałem rozkaz powrotu na Syberię do Piętnastego Pułku. Siedziałem tam prawie dwa lata, aż do września tego roku.

– Doskonale mówisz po polsku.

– To zasługa matki. Bardzo tego pilnowała. Kazała czytać książki i sama mówiła wiersze z pamięci. W szkole wojskowej miałem kilku kolegów Polaków. Czasem, jak nikt nie słyszał, rozmawialiśmy, żeby... żeby nie zapomnieć.

– Nigdy wcześniej nie byłeś w Polsce? – indagowała go dalej Adela.

– Nie było jak. – Rozłożył bezradnie ręce. – Ale od małego zamierzałem kiedyś tu przyjechać. Nie sądziłem tylko, że stanie się to w taki sposób.

– Masz tutaj jakąś rodzinę?

– Możliwe... Ojciec pochodził z okolic Warszawy.

– Woyda... – Babcia zadumała się na chwilę. – Bardzo mi przykro, ale nie znam nikogo o takim nazwisku.

– Może nikt z krewnych nie żyje. W końcu minęło pół wieku.

– Mówisz, że chciałbyś zostać w Warszawie na stałe... – powiedziała cicho, a potem najwyraźniej przypomniała sobie o obecności wnuczki, gdyż spojrzała na Polę znacząco i poleciła: – Moja droga, bądź tak miła i zaczekaj na korytarzu. Muszę porozmawiać z twoim szwagrem na osobności.

Kellerówna chętnie wysłuchałaby, co Stanisław ma do powiedzenia na temat przyszłości swojej i Ninki, ale zdawała sobie sprawę, że Adela nie ustąpi.

– Jak babcia każe. – Z ociąganiem wyszła na zewnątrz, starając się nie domykać drzwi. Stała w ich pobliżu i zaczęła nasłuchiwać.

Dotarła do niej prawie cała przemowa na temat świętości więzów i powagi instytucji małżeństwa, którą nestorka rodu uraczyła szwagra, ale z jego odpowiedzi wyłowiła tylko pojedyncze wyrazy. Żarliwość jego tonu świadczyła jednak, że zdaje sobie sprawę z wagi zaciągniętych zobowiązań. Kilkakrotnie padło też imię Niny wymawiane przez oboje rozmówców. Pola liczyła, że babcia będzie zadowolona z rozmowy, bo inaczej dla młodych małżonków mogą nastąpić ciężkie czasy.

Odsunęła się szybko od drzwi, gdyż dobiegł ją narastający z każdą chwilą gwar głosów; po chwili z bocznego korytarza wyszła grupka mężczyzn w różnym wieku, ubranych w szpitalne fartuchy. Zapewne lekarze.

Kiedy zatrzymali się przed wejściem do sali, najmłodszy z nich, młody energiczny blondyn o bystrym spojrzeniu, dostrzegł ją i zapytał ze zdziwieniem:

– Skąd panna się wzięła? Tu ma wstęp wyłącznie personel.

W pierwszej chwili Polę obleciał strach, w końcu pięciu obcych mężczyzn spoglądało na nią z marsowymi minami, zaraz jednak przypomniała sobie, że tuż obok siedzi Adela, a ona poradzi sobie z każdym z nich osobna i wszystkim naraz, ot co.

– Czekam na babcie. Przyszliśmy z wizytą do pana porucznika Woydy.

– Co takiego? – zapytał poirytowany lekarz, ale opanował się błyskawicznie i o wiele spokojniejszym tonem zwrócił do towarzyszących mu osób: – Przepraszam szanownych kolegów za ten nieoczekiwany kłopot. Zaraz wyjaśnimy sprawę i będą koledzy mogli zobaczyć pacjenta na własne oczy.

Pola, słysząc te słowa, zachichotała pod nosem i znowu przysunęła się w stronę drzwi; doktor, wchodząc do sali, w której babcia i szwagier nadal prowadzili rozmowę, na szczęście ich nie zamknął.

– Co tu się dzieje?! Poruczniku, mówiłem, że ma pan odpoczywać. A pani kim jest? I kto pozwolił pani wejść?

– Nie potrzebuję pozwoleń, żeby porozmawiać z wnukiem – odparła wyniośle Adela. – I proszę nie krzyczeć, bo to denerwuje chorego. Pana godność, doktorze?

– Zawilski – oznajmił młody mężczyzna. – Porucznik Woyda to mój najważniejszy pacjent.

– W takim razie wybaczam. – Głos babci nieco złagodniał. – W imieniu całej rodziny dziękuję za uratowanie Stasiowi życia. Zaręczam też, że nie zrobiłam niczego, co mogłoby mu zaszkodzić. Prawda, mój drogi?

– Ależ oczywiście – potwierdził pospiesznie pacjent. – Rozmawialiśmy wyłącznie o sprawach rodzinnych.

– Naprawdę jest pani babką porucznika Woydy? – zapytał doktor z powątpiewaniem i lekkim niepokojem.

– Skoro ożenił się z moją wnuczką, to kim innym mogłabym być? Adela Kellerowa. – Podała lekarzowi rękę, którą ten odruchowo pocałował, a następnie wyjrzała na korytarz i potoczyła wzrokiem po czekających tam mężczyznach. – Dzień dobry, szanownym panom doktorom.

Lekarze oczywiście nie omieszkali się odklonić, więc przy wejściu do sali na chwilę zapanował rozgardiasz. A kiedy nieco się uspokoił, babcia znowu zwróciła się do Zawilskiego.

– Jak długo zamierza pan trzymać tego biednego chłopca w szpitalu?

– Tyle, ile trzeba – odparł doktor, któremu wyraźnie kończyła się cierpliwość. – Jeszcze co najmniej kilka tygodni.

– Kilka tygodni? – zdumiała się Adela. – I zamierza pan przez cały ten czas pokazywać go jak małpę w cyrku?

– Ci panowie... – zaczął z naciskiem Zawilski.

– Doskonale wiem, kim są ci panowie! I dlatego nie życzę sobie, żeby wsadzali paluchy w rany mojego wnuka.

– Co pani... – Doktor, co prawda, otworzył usta, ale nie był w stanie wykrztusić ani słowa więcej. Wywręczył go jeden z lekarzy. Starszy, całkowicie siwy i z dużymi bokobrodami.

– Szanowna pani Adelo, tu chodzi o rozwój medycyny. Taki przypadek nauczy nas...

– Rychło w czas wziął się pan do nauki, profesorze. – Babcia zdenerwowała się nie na żarty. – Szkoda, że nie zrobił pan tego, zanim pokroił na kawałki moją synową.

– Ależ... – Stary lekarz bladł i czerwieniał na przemian, z trudem chwytając oddech. Pozostali wydawali okrzyki oburzenia, jednocześnie próbując tłumaczyć coś Zawilskiemu.

– Myślę, że na panów pora – oświadczyła głośno babcia, na której zamieszanie nie zrobiło najmniejszego wrażenia. Następnie rozejrzała się czujnie, wciągnęła do sali przerażoną Polę i zatrzęsnęła lekarzom drzwi przed samym nosem.

– Co pani narobiła?! – Zawilski załamał ręce. – To przecież profesorowie. Co teraz...

– To rzeźnicy, nie profesorowie! I proszę nie desperować, znam kilku innych, bardzo porządných. Przysłę ich do pana.

Doktor nie wyglądał ani na pocieszonego, ani na przekonanego.

– Wystarczy tego bałaganu. Proszę pożegnać się z wnukiem i iść – zarządził. – A ja muszę... – Otworzył drzwi jednym szarpnięciem i wybiegł na korytarz. Najwyraźniej postanowił gonić swoich

odprawionych bez pardonu gości.

– Może za ostro pani... przepraszam, babcia obeszła się z nimi – zaczął ostrożnie Stanisław. – Doktor Zawilski uratował mi życie, wolałbym, żeby nie miał przeze mnie kłopotów.

– Bez obaw, drogi chłopcze. – Starsza dama uśmiechnęła się promiennie. – Zadbam o niego tak, że nie będzie płakał z żalu za tymi konowalami... Co prawda, straciłam majątek, ale zostało mi kilka przydatnych znajomości.

– W takim razie dziękuję, że babcia ich wypłoszyła. Mężczą mnie te nieustanne wizyty.

– Jeśli nic nie zmienia się w tym względzie, przekaż wiadomość przez Ninę. Przyjdę znowu i zrobię porządek raz na zawsze. A teraz będziemy się żegnać.

– Nie zamieniłem nawet słowa ze szwagierką. – Stanisław spojrział z uśmiechem na zawstydzoną Polę. – Chciałbym poznać całą rodzinę.

– Przyjdzie na to czas. Teraz odpoczywaj, żeby jak najszybciej uciec z tego miejsca.

– Cieszę się, że zyskałam taką wspaniałą babcinę. – Zaśmiał się i pocałował Adelę w rękę.

– Filut z ciebie. – Żartobliwie pogroziła mu palcem. – I pochlebca. Ale jak masz ochotę, to się ciesz. W sumie lepsza ze mną babka niż matka i teściowa.

Kiedy wyszły już na korytarz, włożyły okrycia i ruszyły w kierunku klatki schodowej, babcia wzięła ją pod rękę i powiedziała poważnym tonem:

– Przepraszam cię, moje dziecko, że musiałaś patrzeć na to żalosalne widowisko. Ale póki żyję, nie pozwolę, żeby ten konował Zieliński znowu dotknął kogoś z mojej rodziny.

Polka знаła historię choroby i śmierci matki, ale te wspomnienia wciąż były zbyt bolesne, aby do nich wracać. Dlatego postanowiła nie komentować słów Adeli, tylko zapytać o coś innego:

– Czy uważa babcia, że z Niny i Stanisława będzie prawdziwe małżeństwo?

– Nie wiem... Czas pokaże. W każdym razie to dobry chłopak i zależy mu na twojej siostrze. A co najdziwniejsze... – starsza dama zawahała się na moment – ...mam wrażenie, że już kiedyś go widziałam.

4.

Zapiski Poli

Dzisiejsza wizyta w szpitalu i spotkanie z Sabiną Dresslerówną przypomniały mi o panu Witoldzie. I choć nie powinnam tego robić, od kilku godzin myślę o nim nieustannie. Gdzie teraz jest? Co robi? Czy nic mu nie zagraża?

Dlaczego, na miłość boską, zamierza ożenić się z Sabiną?!

Nie powiem tego głośno, ale wcale jej nie lubię. Ninka, wcielenie dobroci, dostrzegala w niej same zalety, ale mnie zawsze wydawała się wyniosła i raczej nieuczczera. Jestem pewna, że nie będzie dobrą żoną dla pana Witolda. Już chyba Zosia byłaby lepszą – może i kłóciłyby się z nim do upadłego (to znaczy ona by krzyczała, a on milczał), ale na pewno zawsze mówiłaby mu prawdę.

Ten nieszczęsny mariaż to pomysł jego wuja, który zapewne zaplanował sobie nową spółkę. Mam nadzieję, że wydarzy się coś nieoczekiwanego – na przykład Sabina znudzi się i też gdzieś ucieknie – i ten ślub także nie dojdzie do skutku. Być może Witold spojrzy wtedy na mnie...

Wiem, że jestem głuptasem, ale nie umiem wybić go sobie z głowy. Od tamtego dnia, kiedy po przyjeździe ze Szwajcarii na wakacyjną przerwę po raz pierwszy złożył Zosi oficjalną wizytę.

Oczymiałam – i muszę to wreszcie przyznać – że chcę tylko tego jednego.

Gdybym mogła go teraz zobaczyć. Choć na chwilę. Choć z daleka.

ROZDZIAŁ XII

I.

Julia, kiedy coś sobie postanowiła, nie lubiła zwlekać. Dlatego kilka dni po naradzie z siostrami postanowiła rozmówić się z mecenasem Finkielem. Wymówiła się więc migreną i za zgodą ciotki opuściła wcześniej Dolinę Szwajcarską. Spokojnym krokiem powędrowała na plac Świętego Aleksandra.

Nie zamierzała odwiedzać prawnika dwa razy, tym bardziej że doskonale wiedziała, w jaki sposób zostanie potraktowana, więc aby nie marnować czasu i oszczędzić nerwy, od razu poprosiła o pomoc doktora Warlińskiego.

Co prawda początkowo nie miała pewności, czy to dobry pomysł. Oczywiście wiedziała, że to, co zaszło między nimi po wizycie w fabryce, było tylko nerwową reakcją na niebezpieczeństwo, ale i tak wstydziła się okropnie swojej słabości. Później jednak uznała, że należy chwycić byka za rogi, bo jeśli będzie ostentacyjnie unikać doktora, on na pewno zacznie wyobrażać sobie niestworzone rzeczy. Poza tym znał już sprawę i nie musiała niczego mu tłumaczyć.

Zobaczyła go, kiedy tylko minęła budynek IV gimnazjum. Czekał na nią pod Instytutem Głuchoniemych i Ociemniałych, dla zabicia czasu śledząc wzrokiem automobile wjeżdżające na plac od strony Nowego Światu. Julia przyspieszyła kroku i idąc ku Warlińskiemu, po raz kolejny utwierdzała się w przekonaniu, że ten człowiek nie jest w jej typie; żywiła słabość do mężczyzn o mniej mrocznej urodzie, najlepiej blondynów.

– Dzień dobry – powiedział, kiedy wreszcie stanęli naprzeciw siebie.

– Panie doktorze – podała mu rękę – dziękuję, że pan przyszedł. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam w ważnych zajęciach?

– Ależ skąd, droga panno Julio. – Pocałował jej dłoń, a ona musiała bardzo się starać, aby uznać, że ciepło jego ust nie robi na niej żadnego wrażenia. – Jakie mamy na dziś plany?

– Chcę odwiedzić mecenasa Finkiela. Przestał u nas bywać, a ja wolałabym wiedzieć z jakiego powodu. Poza tym mam nieodparte wrażenie, że od dawna nas okłamuje.

– Adwokat pani ojca? Dziwne.

– Właśnie. – Zgodziła się z nim jak rzadko. – Widzi pan, panie doktorze – spojrzała wreszcie Warlińskiemu w twarz – mnie nie zechce nic wyjaśnić. Chyba że przyjdę do niego z mężczyzną.

Patrzył na nią w milczeniu tak długo, że zaczęło ją to deprymować; wolałaby wiedzieć, o czym myśli tak intensywnie.

– Chciałbym zapytać tylko o jedno, panno Julio – zaczął, nadal nie spuszczać z niej wzroku. – W jakiej roli mam tam wystąpić? Musi mnie pani jakoś przedstawić.

Zawahała się, ale tylko na moment.

– Oczywiście jest pan moim narzeczonym – oświadczyła. – Mecenas nie zdziwi się wcale, bo wie, że mieliśmy okazję się poznać. Tylko proszę, panie doktorze – uniosła ostrzegawczo rękę – żeby nie wyciągał pan z tego fałszywych wniosków i nie robił sobie nadziei. Zerwę zaręczyny, kiedy tylko stamtąd wyjdziemy.

– W takim razie mam prośbę. – Uśmiechnął się, jak na jej gust, zbyt radośnie. – Może zamiast „panie doktorze”, zaczęłaby pani mówić do mnie „panie Józefie”?

– Wezmę to pod uwagę – odparła niechętnie, gdyż nie chciała spoufalać się z nim bardziej, niż to absolutnie konieczne. – A teraz chodźmy.

– O ile się nie myłę, mecenas Finkiel mieszka gdzieś w pobliżu?

– Nie myli się pan. – Bez uprzedzenia ruszyła w stronę Brackiej. – Niedawno się przeprowadził.

Dogonił ją bardzo szybko, więc szli obok siebie w milczeniu. Przecięli Wiejską, a następnie Aleje Ujazdowskie tuż przy wjeździe na plac i zaraz dotarli do miejsca, gdzie łączyły się za sobą Mokotowska i Hoża. To na Hożej, w kamienicy Sukertów, mecenas Finkiel od kilku miesięcy wynajmował mieszkanie. Za czasów współpracy z fabryką Kellerów nie prowadził własnej kancelarii, ponieważ August, a później Maksymilian byli jego jedynymi klientami.

– Niczego sobie domek. – Warliński obejrzał uważnie sześcioletnią kamienicę z mansardowym dachem, której budowę ukończono jakieś pół roku temu. – Wyobrażam sobie wysokość czynszu.

– Mój ojciec zawsze świetnie płacił mecenasowi – odparła półgłosem.

– Na którym piętrze mieszka?

– Na piątym. Ponoć ma tam apartament. – W przeciwieństwie do starszych kamienic, w których im wyżej, tym mieszkania były skromniejsze i tańsze, w nowych budynkach, wyposażonych w elektryczne windy, wszystkie lokale prezentowały zbliżony standard.

Weszli do sieni wiodącej do głównej klatki schodowej, która wręcz lśniła nowością. Znajdująca się tam winda – sądząc po charakterystycznych odgłosach – była akurat w ruchu. Warliński nacisnął guzik, aby wezwać ją z powrotem na parter, a Julia wbiła wzrok w drewniane drzwi, starając się nie myśleć o tym, jak nie znosi tego dziwnego wynalazku. Zawsze, kiedy do niego wsiadała, obawiała się, że któraś z lin zerwie się i kabina spadnie z hukiem na sam dół szybu. Gdyby nie obecność doktora, zapewne weszłaby po schodach na to nieszczęsne piąte piętro.

Winda zatrzymała się gdzieś na górze i już po chwili zaczęła zjeżdżać. Szkoda, że nie poruszała się szybciej; Julia wolałaby już mieć tę wizytę za sobą. Spod rzęs zerknęła na swojego towarzysza. Stał tuż obok i spoglądał na nią w ten sam sposób, jak w dniu wyprawy do fabryki. Okropnie ją to zawstydzalo.

– Proszę tak na mnie nie patrzeć – fuknęła.

– Jak? – Zmrużył powieki.

– Jakby pan chciał, żebym pana pocałowała. Proszę za bardzo nie wczuwać się w rolę.

– Ależ nie śmiałbym. – Uniósł rękę do piersi. – Przysięgam!

– Akurat. Nie wierzę panu nic a nic.

Nie zdążył odpowiedzieć, gdyż winda dotarła na parter. Warliński wpuścił ją pierwszą do środka, a potem wsiadł sam i nacisnął właściwy guzik mechanizmu. Dźwиг szcęknął i ruszył; szarpnięcie przy tym tak mocno, że Julia odruchowo odsunęła się od drzwi, a przez to znalazła twarzą w twarz z doktorem. Znowu wbił w nią wzrok, a ona nie mogła znieść żarliwości jego spojrzenia. Musiała coś z tym zrobić, więc bez namysłu chwyciła lekarza za krawat i pociągnęła ku sobie. Nie potrzebował dalszej zachęty.

Najpierw mocno ją objął, a potem pocałował. Zupełnie inaczej, niż się spodziewała – ten pocałunek przypominał najczulszą pieczętę. Ugięły się pod nią kolana i prawie rozplakała się z radości.

Choć dźwиг stanął tak samo gwałtownie, jak ruszył, nie umiała przypomnieć sobie, gdzie właściwie się znajdują. Z trudem chwyciła oddech, wracając do realnego świata. A gdy dotarło do niej, co przed chwilą się stało, znowu wpadła w złość. Nie rozumiała, czemu nieustannie ulega słabości.

– Co pan ze mną wyrabia? – spytała ostro.

– Przepraszam za śmiałość. – Doktor bez protestu odsunął się od niej na przyzwyczajoną odległość. – Rzeczywiście za bardzo wszedłem w rolę.

Zerknęła na niego podejrzliwie, gdyż nie spodobała się jej ta ugodowość, ale nie mieli teraz czasu na wyjaśnianie sobie podstawowych rzeczy.

– To chyba tu – powiedziała, gdy zatrzymali się na klatce schodowej, tuż przed wejściem do mieszkania z numerem dziesięć. Uważnie przyjrzała się drzwiom i nagle coś ją zaniepokoiło. – Panie Józefie, proszę zobaczyć, one są otwarte.

– Może służba nie domknęła – powiedział, zanim energicznie zapukał. – Zaraz się przekonamy.

Nikt nie wyszedł, aby ich powitać, a z wnętrza nie dochodziły żadne odgłosy. Warliński zapukał znowu, a kiedy i tym razem nie uzyskał odpowiedzi, wszedł do środka, a ona, rozglądając się czujnie, podążyła za nim.

Mieszkanie okazało się naprawdę duże – z głównego holu można było dostać się do pięciu pomieszczeń, a korytarz wiódł jeszcze w głąb lokalu. Wszędzie panowała wręcz sterylna czystość.

– Dzień dobry! – zawołała Julia. – Panie mecenasie, jest pan w domu?

Cisza. Nie słyszała nawet najmniejszego szelestu. Zerknęła niepewnie na doktora, ale on kiwnął głową i bez zwłoki zajrzał do pierwszego z pokoi. W tym samym czasie ona otworzyła drzwi do drugiego, który okazał się gabinetem. Zrobiła trzy kroki do przodu i znieruchomiała. Zrobiło się jej ciemno przed oczami, a potem straciła świadomość.

2.

– Proszę babci. – Nina usiadła przy stole naprzeciwko Adeli, która delektowała się popołudniową lampką koniaku. – Doktor Zawilski polecił mi, żebym zabroniła babci przychodzić do szpitala.

– I co mu odpowiedziałas? – Starsza pani spojrzała na nią spod zmrużonych powiek.

– Że bardzo proszę, aby zrobił to osobiście, ponieważ ja nie mam na babcię żadnego wpływu. – Uśmiechnęła się pod nosem. – Chyba nie spodobała mu się ta odpowiedź. Profesor Zieliński obraził się na niego śmiertelnie.

– Żadna strata! Zielińskiemu tytuł dali przez pomyłkę.

– Ale ma szerokie kontakty, a doktor Zawilski chce zrobić karierę.

– Jeśli jest tak dobrym lekarzem, na jakiego wygląda, robi ją i bez Zielińskiego. Rozmawiałam już o nim z doktorową Maleską i obiecała, że da mi znać, jak tylko Waissowie wrócą z Piotrogradu. Linka Waissowa jest mi wciąż winna przysługę.

Nina otworzyła usta ze zdumienia. Profesor Henryk Waiss był najbardziej znanym warszawskim lekarzem, jego renowa sięgała carskiego dworu, jeśli więc zainteresowałby się wyczynem Zawilskiego, to przed młodym lekarzem otworzyłyby się drzwi wszystkich klinik uniwersyteckich w Cesarstwie. A może i za granicą.

– Dlaczego babcia chce mu pomóc?

– Zasługuje na to. – Adela znowu upiła mały łyk. – Sama mówiłaś, że żaden inny lekarz nawet nie pomyślał, by ratować twojego męża.

Kiedy do Niny dotarła wiadomość, że babcia złożyła Stanisławowi niezapowiedzianą wizytę, w pierwszej chwili wpadła w panikę. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że nadejdzie dzień, kiedy nestorka rodziny i jej przypadkowy wnuk staną naprzeciwko siebie, ale chciała, aby nastąpiło to jak najpóźniej. Babcia miała trafny osąd, a do tego nie zwykła pozostawiać go dla siebie, jeśli więc Stanisław nie przypadłby jej do gustu, nie omieszkałaby po swojemu uświadomić Nince, jak okropny popełniła błąd.

Tymczasem nastąpił cud i problem rozwiązał się bez jej udziału. Ze słów męża wynikało, że babcia potraktowała go przyjaźnie. Na pewno nie udawała, bo to także nie leżało w jej zwyczajach.

– Miły ten twój Staś – powiedziała Adela, nie spuszczając z niej badawczego spojrzenia. – I dobrze patrzy mu z oczu. Jest też odważny i bardzo cię szanuje. W moich czasach wzajemny szacunek

stanowił najtrwalszą podstawę małżeństwa. Inna sprawa, że wtedy nikt nie interesował się uczuciami młodych panien.

– Kiedyś też uważałam, że szacunek mi wystarczy – odparła cicho. – Babcia wie, że nie snułam romantycznych rojeń jak Zosia albo Julia. Ale teraz... – zawahała się – teraz nic już nie wiem.

– Zawrócił ci w głowie? Tylko nie kryguj się i mów jak na spowiedzi.

– Proszę babci, ja... nie mam pojęcia – zakończyła płaczliwie i ukryła twarz w dłoniach.

Choć bardzo się starała, nie potrafiła nazwać uczucia, jakim darzyła Stanisława. Za to nawet na chwilę nie opuszczała jej myśl, że małżeństwo zawarte w tak niecodziennych okolicznościach nie ma szans na szczęśliwą przyszłość. Nie mógł tego zagwarantować nawet rozkaz pułkownika, który ostatecznie raczył zaakceptować ich związek.

– Staś powiedział, że zrobi wszystko, abyś nie pożałowała tego ślubu.

– A co będzie, jeśli to on pożałuje? Jest starszy ode mnie tylko o rok, mężczyźni w jego wieku nie myślą o ożenku... Do tego o mało nie wyrzucili go z wojska. I to przeze mnie! – Wycierając oczy wierzchem dłoni, dzieliła się obawami dręczącymi ją od tygodni. – Wszystkie moje koleżanki oglądają się za nim, nawet te zaręczone. Mógłby w nich przebierać jak w ulęgalkach.

– Powiedział, że nie ożeniłby się z żadną inną dziewczyną – powiedziała Adela. – I że dla ciebie nie żałowałby wojska.

To były piękne słowa, ale bała się w nie uwierzyć.

– Proszę babci, co powinnam zrobić?

– Nie wiem, co powinaś, więc zrób, co chcesz. Chcesz z nim żyć, daj mu szansę. Chcesz go zostawić i unieważnić ślub, zrób to jak najszybciej. Będzie mniej bolało.

– Nie mogę go zostawić – zaczęła stanowczo. – Przysięgłam mu przed Panem Bogiem i nie odwołam tego. Obiecałam też pułkownikowi, że nie wywołam żadnego skandalu. Z drugiej strony nie chcę, żeby się ze mną męczył.

– Nina...

– Czy we mnie w ogóle można się zakochać? – Nie dopuściła babci do słowa. – Nikt nigdy nie starał się o moją rękę.

– A jak miał się starać, skoro siedziałś w kącie, czekając, aż Zosia łaskawie wyjdzie za mąż? Dziecko, jesteś mądra, dobra, a do tego śliczna. Staś natychmiast poznał się na tobie.

– Ja? Śliczna? Moje siostry są śliczne.

– W niczym im nie ustępujesz. Tylko że one robią wokół siebie więcej szumu. Szczególnie Zosia jest w tym niezrównana. Aha, jeszcze jedno, kiedy zamierzałaś powiedzieć nam, że twój mąż tu zamieszka?

– Czekałam na właściwy moment – odparła speszona. – Skąd babcia o tym wie?

– Zapytałam Stasia, co planuje po wyjściu ze szpitala, więc mi powiedział, że tak postanowiłaś.

– Rozważam taką możliwość. Stas nie chce ewakuować się do Rosji na dalsze leczenie. Ale jeśli babcia nie życzy sobie...

– Dlaczego mówisz o nim po rosyjsku? Żaden Stas. Staś.

– Tak nazywali go w szkole. I w pułku.

– W domu będzie inaczej – oświadczyła stanowczo Adela. – I skoro oboje uznacie, że tak trzeba, możecie się wprowadzać. Uprzedź siostry, a ja porozmawiam z Klarą.

– Dziękuję. – Chwyliła babcię za rękę.

– Powinniście być razem, żeby lepiej się poznać, zanim znowu wezmą go do wojska.

Wolała nie myśleć, że wisi nad nimi taka groźba. Liczyła nieśmiało, że wojna skończy się, zanim Stanisław będzie na tyle zdrow, aby znowu stanąć do walki.

– Widać, że on potrzebuje rodziny – kontynuowała tymczasem Adela. – I ciągle łamię sobie głowę, kogo mi ten chłopak przypomina...

– Babci też? – Nina ożywiła się nieco. – Myślałam, że mam zwidy, ale ja też spotkałam kogoś podobnego do niego. Nie pamiętam tylko, gdzie i kiedy.

– Wygląda na to – zamyśliła się Adela – że twój Staś ma w Warszawie rodzinę. Nie da się tego wyjaśnić w inny sposób. Porozmawiam z nim na ten temat. A ty – spojrzała na wnuczkę i żartobliwie pogroziła jej palcem – nie maź się więcej, bo w niczym to nie pomoże. Jak to mawiała moja świętej pamięci cioteczna babcia Franciszka: co komu Bóg przeznaczy, to mu się na drodze rozkraczy.

3.

Do przytomności przywołał ją dobrze znany ostry zapach octu. Wzdrygnęła się i zakaszła, próbując jednocześnie przypomnieć sobie, co się wydarzyło i czemu leży jak kłoda. Planowała porozmawiać z mecenasem Finkielem o bankructwie ojca. Przyszła do niego z doktorem Warlińskim. Weszli do otwartego mieszkania i zaczęli sprawdzać pokoje...

W jednej chwili wróciły do niej obrazy widziane tuż przed omdleniem. Mokra i lepka czerwień. Dokumenty, blat biurka, zasłony i firanki zachlapane krwią. Ciało zwisające bezwładnie z fotela.

Poruszyła się niespokojnie, a zaraz po tym ktoś poklepał ją czule po policzku i usłyszała cichy głos:

– Panno Julio. Słyszysz mnie pani? Panno Julio. Julia...

Rozwarła powieki i napotkała czujne spojrzenie pochylającego się nad nią doktora. Nigdy wcześniej nie widziała, aby był tak poważny. Naprawdę martwił się o nią. Powinna powiedzieć mu, że wcale nie musi, a nawet nie powinien. Że jest silna i poradzi sobie bez trudu. Jak zawsze.

– Bogu dzięki. – Odetchnął z ulgą. Zniknęła gdzieś cała jego nonszalancja i bezczelność

– On nie żyje? – Z trudem przełknęła ślinę. – Mecenas?

– Niestety. Wygląda na samobójstwo, ale kto wie? Wezwałem policję. Będzie pani musiała porozmawiać z nimi choć przez chwilę.

– Dam radę – szepnęła. – Niech pan pomoże mi wstać.

– Nie ma mowy – oświadczył kategorycznie. – Proszę odpoczywać, a później odwożę panią do domu.

Nie zamierzała go posłuchać, więc uniosła się i z trudem dźwignęła do góry. Usiadła, ale zaraz poczuła zawrót głowy. Odruchowo chwyciła doktora za rękę; podtrzymał ją, a następnie bez uprzedzenia objął ramieniem. Nie protestowała, tylko ufnie oparła skroń o jego pierś i znowu zacisnęła powieki; czuła, że zaraz wybuchnie płaczem. Oglądanie takich potworności naprawdę przerastało jej siły. Szeroko otwarte oczy i sina twarz ojca, którego we dwie z Niną z wielkim trudem odcinały od żyrandola, dotąd prześladowały ją w koszmarach. Nie mogła też zapomnieć zalanej krwią kuchni i pociętego ciała Katarzyny. Teraz do tej ponurej galerii dołączył mecenas Finkiel z głową roztrzaskaną kulą. Ile można jeszcze znieść?

Pochlipywała Warlińskiemu w kamizelkę, a kiedy zaczęła pociągać nosem, doktor podsunął jej chustkę; tym razem przyjęła ją bez oporów. Już miała znowu przyłgnąć do niego, ale usłyszała podniesione męskie głosy, a potem trzaśnięcie drzwi i tupanie ciężkich butów.

– Doktorze, gdzie pan jest?! – zawołał jeden z przybyszów, o ile się nie myliła, komisarz Górski.

– Idę! – odpowiedział lekarz, a potem dodał o wiele ciszej: – Wróć najszybciej, jak się da.

– Już mi lepiej – zapewniła go pospiesznie. – Proszę się nie kłopotać.

Uciszył jej rękę, a potem wstał i oglądając się za siebie, wyszedł z pokoju. Już po chwili usłyszała, jak rzeczowo i dokładnie opisuje komisarzowi zastaną sytuację. Wsluchując się uważnie w każde słowo, próbowała odgadnąć, co właściwie zaszło. Mecenas Finkiel był bowiem ostatnią osobą, którą podejrzewałaby o skłonności samobójcze.

Chciała, aby tę sprawę dało się wyjaśnić do samego końca.

4.

- Julcia, co się stało? – Nina, która otworzyła drzwi do mieszkania, wystraszyła się na jej widok. – Jesteś blada niczym śmierć na chorągwi.
- Głowa mnie boli – wymamrotała Julia, a potem weszła do holu i wciąż trzęsącymi się rękami zaczęła ściągać palto.
- Poczekaj. – Siostra pospieszyła jej z pomocą.
- Muszę iść do siebie.
- Martwiłyśmy się, że długo nie wracasz. Ledwo powstrzymałyśmy ciocię, bo już rwała się, by ruszyć na poszukiwania.
- Później wszystko opowiem – wyszeptwała, przysuwając się do Ninki. – Przyjdźcie, jak babcia z ciotką...
- Zanim dokończyła zdanie, na korytarzu pojawiła się ubrana w nocny strój Klara. Wściekła niczym osa.
- Czy to Julia? – zapytała lodowatym tonem.
- Nie, żeby była zaskoczona tym powitaniem. Spodziewała się reprimendy; według tego, co powiedziała po południu ciotce i pani Zapiórkiewiczowej, już od kilku ładnych godzin powinna być w domu i leżeć w łóżku z zimnym kompresem na czole.
- To ja, proszę cioci. – Starala się mówić jak najnaturalniej. – Przepraszam, musiałam pospacerować, inaczej pękłaby mi głowa.
- Pospacerować?! – oburzyła się Klara. – O tej porze? Oszalałaś? Miasto pełne wojska i przeróżnych mętów... Ktoś mógł cię zamordować. Albo jeszcze gorzej. Nie masz za grosz wyobraźni!
- Rzeczywiście, nie pomyślałam. Przepraszam.
- Akurat ciotce i babci nie zamierzała się przyznawać, dokąd i z kim poszła, a także, co zastała na miejscu. Doskonale wiedziała, że wszystko wyda się prędzej niż później – sędzia śledczy przesłuchał ją jako świadka zdarzenia – ale w tej chwili brakowało jej sił i cierpliwości, aby wdawać się w niedorzeczne dyskusje, a przede wszystkim wysłuchiwać niekończących się jerebiad.
- A może... – Klara, która najwyraźniej miała jeszcze dużo do powiedzenia, wbiła w nią oskarżycielskie spojrzenie. – Może spotykasz się ukradkiem z jakimś mężczyzną?
- Ależ, proszę cioci – odezwała się milcząca dotąd Nina. – Julcia nie mogłaby tak w tajemnicy...
- Lepiej zamilcz! – Ciotka spiorunowała ją wzrokiem. – Dałaś siostram zły przykład i teraz wszystko jest możliwe.
- Ninka zaczerwieniła się niczym piwonia i spuściła głowę. Wyglądała przy tym na tak zawstydzoną, że Julii zrobiło jej się żal; cóż, może i była naiwna, ale nie zasłużyła na takie okropne traktowanie. Czas zakończyć rozmowę. Niestety, wyglądało na to, że akurat ta decyzja nie zależy od niej, z sypialni wyłoniła się bowiem wyraźnie niezadowolona babcia.
- Cóż to za awantura? – zapytała, kiedy już przydreptała do przedpokoju. – Słysząc was na drugim końcu mieszkania.
- Niech mama zobaczy, o której godzinie wraca ta dziewczyna. Istny skandal!
- Nie zrobiłam nic złego – rzuciła hardo Julia.
- Na pewno? – Adela podeszła bliżej i spojrzała jej w twarz.
- Tak. – Patrzyła babci prosto w oczy, ze wszystkich sił starając się nie mrugać.
- W takim razie idź spać.
- Ależ proszę mamy! – Choć wydawało się to niemożliwe, ciotka zdenerwowała się jeszcze bardziej. – Jeśli jej nie ukarzymy, zaraz zacznie nie wracać na noce.
- Nie zacznę – oświadczyła Julia. – Taka sytuacja więcej się nie powtórzy.

– Słyszałaś, co powiedziała? – Adela zwróciła się do córki. – Na tym powinnyśmy poprzestać. Idźcie wreszcie spać. Nie chcę, żeby zlecieli się wszyscy sąsiedzi.

Klara prychnęła i spojrzała z dezaprobatą na obie bratanice, ale nie powiedziała ani słowa więcej, tylko z wysoko uniesioną głową powędrowała do swojego pokoju.

– To nie koniec, moje dziecko – powiedziała cicho babcia. – Porozmawiamy jutro.

– Oczywiście. – Julia odetchnęła z ulgą. Najgorsze miała za sobą, a do rana wszystkim przejdzie złość.

– Jesteście nieznośne. Doprawdy nie wiem, jak z wami wytrzymuję.

Oznajmiwszy to, nestorka rodziny z godnością podążyła w ślad za córką, a kiedy zamknęła za sobą drzwi, Julia powiedziała.

– Przyjdźcie za jakieś pół godziny.

Ninka kiwnęła głową.

Pokój, w którym mieszkaly dwie najmłodsze Kellerówny, w przeciwieństwie do zajmowanego przez ich starsze siostry znajdował się w sporej odległości od sypialni ciotki i babci. Ryzyko, że któraś z nich przyłapie je na nocnej rozmowie, było więc znikome.

– O, jesteś. – Pola na jej widok poderwała się z łóżka. – Martwiłam się, że...

– Błagam, chociaż ty nie rób mi wyrzutów. – Rzuciła się na łóżko w butach i ubraniu.

– Ale poszłaś do mecenasa? Dowiedziałaś się czegoś?

– Poczekajmy na Zosię i Ninę. Wybacz, ale nie dam rady opowiadać tego dwa razy.

Pola umierała z ciekawości, jednak bohatersko powstrzymała się od pytań i tylko raz po raz rzuciła niecierpliwe spojrzenia na wiszący na ścianie zegar.

Julia dopiero kiedy uspokoiła się nieco, poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Dobrze, że Józef wybił jej z głowy pomysł samotnego powrotu, przy którym początkowo bardzo się upierała. Kiedy złożyła zeznania, a on wyekspediował nieboszczyka do prosektorium, nakazał jednemu ze stójkowych wezwać dorożkę. Odwioził potem dziewczynę pod bramę kamienicy i nawet chciał odprowadzić pod same drzwi, ale nie wyraziła zgody; gdyby ciotka Klara dowiedziała się od stróża, że przyjechał z nią jakiś mężczyzna, dopiero miałyby używanie.

Warliński dziś naprawdę jej zaimponował. Już podczas wyprawy do fabryki doskonale sprawdził się jako towarzysz ryzykownych eskapad, gdyż błyskawicznie dostosowywał się do sytuacji i nie uważał – jak większość znanych jej mężczyzn – że tylko jego pomysły są coś warte. Początkowo podejrzewała, że brakuje mi ikry, w końcu bez protestu pozwalał jej rządzić sobą do woli. Tego dnia zauważyła, że Józef świetnie sam sobie radzi w trudnych sytuacjach i doskonale dyryguje nie tylko policją, ale nawet sędzią śledczym; aż dziw, że nie dostrzegła tego, kiedy spotkali się po raz pierwszy.

Umiał też zadbać o nią. Julia, która od dziecka uważała, że sama powinna dopilnować wszystkiego i za nic w świecie nie może okazać słabości – ani rodzinie, ani tym bardziej wielbicielom – po raz pierwszy doświadczyła prawdziwej męskiej troski. I tak po prawdzie, bardzo jej się to spodobało. Gdyby tylko na miejscu doktora był Andrzej...

Usłyszała lekki tupot bosych stóp i już po chwili obie starsze siostry ostrożnie wsunęły się do pokoju.

– Julciu, zrób trochę miejsca – nakazała zaraz Nina. – Chora musi położyć się do łóżka. Wystarczy, że biega bez butów po korytarzu.

– Nie muszę... – Zofia próbowała zaprotestować.

– Nie dyskutuj ze mną, tylko się kładź. Inaczej nie wydobrejesz do wnosny.

Zofia, pokonana siłą ostatniego argumentu, posłusznie ułożyła się na miejscu młodszej siostry, a potem poganiana wymownym spojrzeniem Ninki, starannie okryła się kołdrą. Julia usiadła zaś w nogach łóżka i powiedziała:

– Mecenas Finkiel nie żyje.

Miała nadzieję, że ciężar, który od kilku godzin nosiła w piersi stanie się lżejszy, jeżeli podzieli go na cztery.

– Jak to: nie żyje? Co mu się stało? Ktoś go zabił? – Pytania i okrzyki zaskoczonych dziewcząt mieszały się ze sobą. Julia cierpliwie poczekała, aż ich głosy umilkną, i dopiero wtedy wyjaśniła:

– Strzelił sobie w głowę. A ja go znalazłam, ponieważ drzwi do mieszkania stały otworem.

– Matko Boska! – Ninka splotła nerwowo palce. – Ale jak...?

– Mów od początku i po kolei – poleciła jej Zofia, która nie straciła zimniej krwi.

– Poprosiłam ciocię, żeby pozwoliła mi skończyć wcześniej pracę, i poszłam do mieszkania mecenasa... – zaczęła, starając się mówić spokojnie. – Wiedcie, że on mieszka... mieszkał na Hożej. Z Doliny Szwajcarskiej idzie się tam dziesięć minut.

– Zaraz, zaraz! – oburzyła się najstarsza siostra. – Poszłaś do niego sama? Mówiłem przecież, żebyś zaczekała na mnie. Nie masz za grosz wyobraźni – dodała, po czym zdusiła kaszel.

– A ty jesteś nieodrodną bratanicą ciotki. – Julia wyróciła oczami. – Nawet używasz tych samych argumentów. Nie doczekałabym się, bo tobie z niczym się nie spieszy – dodała, nie mogąc odmówić sobie drobnej złośliwości. – Zresztą... zresztą nie poszłam sama. Towarzyszył mi doktor Warliński. – Uznała, że najlepiej powiedzieć prawdę i zakończyć spekulacje. – Mówiłam, że poproszę o pomoc mężczyźną.

– Warliński? Ten od trupów? – zapytała ironicznie Zofia, wyraźnie urażona jej wcześniejszą uwagą.

– Ten od sekcji zwłok, gwoli ścisłości.

– Proszę, proszę... Najpierw deptałaś jego bukiety, a teraz bronisz go jak lwica? Cóż za zmiana!

– Nie będę się z niczego tłumaczyć, zwłaszcza tobie. Nic mnie z nim nie łączy.

– A on o tym wie?

Julia zgromiła siostrę wzrokiem.

– Nie usłyszałaś? Przed chwilą powiedziałam ci, że nie zamierzam nikomu spowiadać się ze swojego życia i decyzji.

Zofia pokręciła głową i już miała skomentować słowa młodszej siostry, ale Nina uprzedziła ją, mówiąc:

– Nie wierzę, że mecenas Finkiel strzelił sobie w głowę. To do niego zupełnie nie pasuje.

– Pan Józef... Doktor powiedział, że wszystko wskazuje na samobójstwo, ale upewni się dopiero jutro.

– A jak wyglądało mieszkanie? – zapytała Pola. – Też wyrócone do góry nogami?

– Wszędzie panował wzorowy porządek.

– I sąsiedzi nie słyszeli wystrzału? Nie wierzę! – wtrąciła się znowu Zofia.

– Rewolwer miał tłumik.

– A co to takiego? – zapytała ponownie najmłodsza Kellerówna. – Pierwsze słyszę.

– Urządzenie, które montuje się do lufy rewolweru, żeby stłumić odgłos strzału – wyjaśniła rzeczowo najstarsza, nie zważając na to, że siostry wpatrują się w nią z takim zdumieniem, jakby wyrosła jej druga głowa. – Kilka lat temu weszły do użycia. Rozumiem, że wezwaliście policję?

– Przyjechał komisarz Górski oraz nowy sędzia. Rosjanin. Komisarz podejrzewa, że to samobójstwo może wiązać się z bankrutem tatki i ze śmiercią Katarzyny, a sędzia nie ma jeszcze zdania. Chce najpierw wszystko sprawdzić i przeczytać akta.

– Jak to: nowy sędzia? – zapytała ze zdumieniem Zofia. – A pan Szuster?

– Pan Szuster dostał nagły rozkaz ewakuacji i kilka dni temu wyjechał z rodziną do Moskwy.

– Z rodziną? – upewniła się Nina. – A więc jednak ma żonę.

– A może pięcioro dzieci – zdenerwowała się najstarsza. – W ogóle nie rozumiem, co to za porządk? Jemu kazali wyjechać, ale jakięś Rosjanina zostawili tutaj.

- Pewnie jest następny w kolejności – oświeciła ją Julia. – Czuję, że przyjdzie nam długo czekać na rozwiązanie tej sprawy.
- Podsumowujmy... – zaczęła Pola, próbując opanować chaos. – Mecenas sam strzelił sobie w głowę i nikt nie przeszukał jego mieszkania... Albo zrobił to bardzo ostrożnie.
- Poczekajmy, co powie policja. Możemy jeszcze liczyć na komisarza Górskiego.
- Babcia i ciocia jak najszybciej powinny dowiedzieć się o śmierci mecenasa – oświadczyła Zofia. – To zbyt poważna sprawa, żeby ją przed nimi ukrywać.
- Ja im nie powiem – zastrzegła natychmiast Julia. – Nie mam siły. Wolę poczekać, aż komisarz mnie wyręczy. Jemu ciocia nie odważy się urządzić awantury.
- Miałyśmy porozmawiać z panną Stefanią – przypomniała najstarsza siostra. – Ktoś powinien sprawdzić, czy nic jej nie jest.
- Jeśli zobaczę kolejnego nieboszczyka, oszaleję. – Julia z westchnieniem oparła czoło o metalową ramę łóżka.
- Powiedziałaś komisarzowi, po co przysłaś do Finkiela? – Ton głosu Zofii świadczył o tym, że zdecydowała się przejąć dowodzenie rodzinnym zespołem śledczym.
- W takiej sytuacji nie mogłam kłamać. Doktor Warliński też zna prawdę, wcześniej był ze mną w fabryce...
- Był z tobą w fabryce? – Siostra wbiła w nią spojrzenie pełne triumfu. – I ty twierdzisz, że nic was nie łączy?

5.

Zapiski Poli

Odwiędził nas dzisiaj komisarz Górski. Najpierw powiedział babci i cioci o wyjeździe sędziego Szustra, a potem wspominał o samobójstwie mecenasa Finkiela.

Obie były zaskoczone i przerażone tym, co usłyszały. Mam podejrzenie, że babcia o wiele bardziej przejęła się ewakuacją sędziego, w którym pokładała nadzieje na złapanie zleceniodawcy zabójcy Katarzyny i rozwikłanie rodzinnych tajemnic, niż śmiercią mecenasa, na którym ostatnimi czasy wyłącznie wieszała psy.

Ja też się boję, że skoro nie ma sędziego (podobno ma go zastąpić jakiś Rosjanin), to sprawy staną w miejscu. A wtedy nie będziemy zastanawiały się nad tym, czy ktoś chce nas skrzywdzić, tylko szukały odpowiedzi na pytanie – kiedy to nastąpi.

Komisarz zapewniał nas, że robi, co w jego mocy, aby śledztwo trwało nadal, ale problem tkwi w tym, że i on może w każdej chwili dostać rozkaz ewakuacji.

Aha, na odchodnym przypomniał sobie, że ciało zmarłego znalazła Julia, i nie omieszkał nam o tym powiedzieć. Słysząc tę wieść, ciocia Klara o mało nie zemdląca, a kiedy trochę doszła do siebie, wpadła w złość i gdyby winowajczyni była w domu, to dostałaby okropną burę, nawet przy gościu.

Na szczęście do wieczora cioci minął kaznodziejski zapal, więc Julia usłyszała tylko kilka gorzkich uwag.

I jeszcze jedno... Ulżyło mi, kiedy dowiedziałam się, że mecenas nie został zamordowany. Inaczej zaczęłabym się martwić, że ktoś mógł upozorować także samobójstwo naszego tatki. I że nie poniesie za jego śmierć żadnej kary, bo my, chcąc uniknąć skandalu, zniszczyliśmy wszystkie ślady i dowody.

ROZDZIAŁ XIII

I.

W nocy spadł śnieg i okrył bielą cały przyszpitalny park. Na szczęście prawie nie było mrozu, więc po zakończeniu nocnego dyżuru Nina zabrała męża na zaplanowaną wcześniej przechadzkę.

– Nie jest ci zimno? – zapytała, kiedy wyszli na zewnątrz i owionął ich nagły podmuch wiatru.

– Chyba żartujesz, moja droga. – Zaśmiał się cicho, obejmując ją ramieniem. – Urodziłem się na Syberii. Taka pogoda to dla mnie fraszka, mógłbym nawet się wykąpać. A może masz ochotę? Podobno niedaleko płynie rzeka.

– Nie, najmniejszej. – Uśmiechnęła się do niego, choć ta nagła bliskość, która jemu wydawała się chyba czymś normalnym, ją bardzo peszyła. – Zresztą co na takie kąpiele powiedziałaby doktor Zawilski? – zakończyła, nie spuszczać wzroku z twarzy męża.

– Opinia doktora Zawilskiego wisi nade mną niczym memento. – Westchnął z udawanym przejęciem. – Ale mógłbym zaryzykować, gdyż ostatnio ma świetny humor. Kilka dni temu oglądał mnie jakiś ważny profesor i efekty operacji zrobiły na nim wielkie wrażenie.

– To profesor Waiss, który badał kiedyś samego carewicza. Babcia Adela dobrze zna jego żonę... – Mrugnęła porozumiewawczo. – Kazała cię pozdrowić.

– Twoja babcia jest niesamowitą kobietą. Wolałbym zawsze mieć ją po swojej stronie.

– Akurat to zależy wyłącznie od ciebie – odparła bez namysłu i zaraz się zawstydziła: – To znaczy, babcia naprawdę cię polubiła i nie wiem, co musiałbyś zrobić, żeby to...

– Wiem, Ninko, wiem. – Stanisław nagle spowaźniał i ścisnął mocniej jej dłoń. – I nic takiego nie zrobię... Doktor Warliński – zmienił szybko temat – wspominał, że niedługo pozwoli mi stąd wyjść.

– Naprawdę? – zapytała z radością, gdyż od dawna czekała na tę wiadomość. – Zacznę szykować pokój.

– Nina. – Przyciągnął ją do siebie i skłonił, żeby popatrzyła mu w twarz. – Jesteś pewna, że to dobry pomysł? Nie chcę być ciężarem dla twojej rodziny. Ani dla ciebie.

– Babcia twierdzi, że ty też należysz do rodziny. A z babcią nie należy dyskutować.

– Obiecay tylko, że jeśli będą z tego kłopoty, zaraz mi o nich powiesz.

– Niczym się nie martw.

Wywinęła się z jego objęć i nie oglądając się za siebie, podbiegła do najbliższego drzewa. Ukryła się za grubym pniem, a potem schyliła się i zgarnęła z trawnika trochę śniegu.

– A masz! – Wychyliła się z kryjówki, wycelowała śnieżkę w nogi męża i rzuciła. Niezbyt mocno.

– Och, ty! – Odsunął się prawie w ostatniej chwili i zaraz sam ulepił kulkę. – Nie daruję.

Ukryła się przed nadlatującą kulą, która pacnęła w drzewo i rozprysła na tysiące zimnych drobin, które osiadały na jej powiekach, twarzy i natychmiast zaczynały się topić, chłodząc rozgrzane policzki.

Zamierzała odpowiedzieć na atak, lecz nie zdążyła; kiedy wycierała oczy, Stanisław zaszedł ją od tyłu i znienacka chwycił mocno w pasie, następnie nachylił się do jej ucha i cicho powiedział:

– Co teraz mi zrobisz?

– Zobaczysz! – zachichotała i choć zaczynało podobać się jej w objęciach męża, uniosła nogę i obcasem trzewika nadepnęła mu na palce.

Zaskoczony atakiem zwolnił uchwyt, a to wystarczyło, aby zdołała się wyswobodzić. Nie cieszyła się jednak długo triumfem, gdyż Stanisław oprzytomniał i natychmiast chwycił ją za rękę.

– Oficera? Butem? Jak można? – Ze śmiechem przyciągnął ją bliżej. – Kara będzie straszliwa.

Stali naprzeciwko siebie lekko zdyszani, zarumienieni i rozchichotani. Nina nie pamiętała, kiedy ostatnio tyle się śmiała. Zapagnęła podzielić się tym spostrzeżeniem z mężem, ale niebacznie spojrziała mu w oczy i wtedy zabrakło jej słów.

Stanisław, zaparty w nią tak samo jak ona w niego, pochylił głowę i nagle jego twarz znalazła się tuż przy jej twarzy. Z trudem przełknęła ślinę i uświadomiła sobie, że nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby ją teraz pocałował.

Nagle coś mocno ją zaniepokoiło. Zamrugła i jeszcze raz przyjrzała się mężowi. Nie, nie przywidziało się jej wcale.

– Nie podobają mi się twoje źrenice – powiedziała, siląc się na lekki ton.

– Są brzydkie?

– Nie, za małe. A przecież zaraz zrobi się ciemno. – Spoważniała. – Bierzesz jakieś lekarstwa, o których nie wiem?

– Doktor czasem coś mi daje – odparł, starając się unikać jej wzroku. – Mówi, że na próbę. Ale o szczegóły musiałabys zapytać jego.

– Nie omieszkam... A teraz musimy wracać. Wystarczy spacerów jak na pierwszy raz. Pielęgniarki pewnie stęskniły się za tobą – zakończyła żartobliwym tonem, chcąc nieco rozluźnić atmosferę.

– O jakich pielęgniarkach opowiadasz? – mruknął, odsuwając się od niej niechętnie. – Zauważyłem w tym szpitalu tylko jedną.

Nie mogła zaprzeczyć, Stanisław zachowywał się tak, jakby naprawdę mu na niej zależało. Może więc babcia miała rację. Może istniała dla nich jakaś przyszłość. Może powinna dać szansę. Jemu.

A także sobie.

2.

Zapiski Poli

Dzisiaj skończyłam osiemnaście lat.

Co prawda dzień Świętej Patronki to większe święto niż urodziny, ale babcia z cicią Klarą uznały, że w dzisiejszych czasach trzeba obchodzić wszystkie uroczystości, by choć na moment zapomnieć o tym, co dzieje się na świecie.

Balbina upiekła więc jabłecznik – na tort zabrakło masła. Ciocia podarowała mi bransoletkę, a babcia jeden ze swoich pierścionków. Ten z korałem, który zawsze tak bardzo mi się podobał. Od sióstr dostałam czekoladki – na pożegnanie dzieciństwa – i kwiaty. Julia zaoferowała się, że przedłuży moje sukienki, ale ja wolałabym nic z nimi nie robić, bo są wygodne i nie plączą się pod nogami. Poza tym mam wrażenie, że wszystkie panie skracają teraz spódnice. I jeszcze rezygnują z gorsetów. Na szczęście nie musiałam nigdy nosić tego ustrojstwa, bo kiedy ciocia pierwszy raz zaprowadziła mnie do modystki, okazało się, że mdleję, kiedy tylko coś mocniej ściśnie mnie w pasie.

Osiemnaście lat... Wiem, że do pełnoletności brakuje mi jeszcze trzech lat, ale mam nadzieję, że przynajmniej niektóre osoby będą traktować mnie poważniej niż do tej pory.

Tak strasznie żałuję, że nie ma przy mnie rodziców. A przynajmniej tatki...

Gdyby nie wydarzyło się to całe zło, wyprawiłby dla mnie bal w karnawale. Pewnie tak, jak dla wszystkich moich sióstr, w sali Domu Technika na Włodzimierzowskiej. Ciocia Klara sprawiłaby mi suknię od Hersego

i być może pan Witold poprosiłby mnie do tańca. Chciałabym kiedyś z nim zatańczyć. I chciałabym, żeby zobaczył we mnie kogoś więcej niż małą siostrzyczkę swojej niedoszłej narzeczonej.

Wiem, że to wszystko mrzonki. On ożeni się z Sabiną i zupełnie zapomni o moim istnieniu. Tylko czy ja zdolam kiedykolwiek zapomnieć o nim?

3.

– Czy siostra oskarża mnie, że nie umiem zadbać o własnego pacjenta? – Doktor Zawilski spoglądał na nią ze szczerym oburzeniem. – Bo chyba do takiej konkluzji zmierza to przesłuchanie?

– Przepraszam, panie doktorze. – Ninka zacisnęła pięści; była przerażona, bo jeszcze nie wiedziała, aby chirurg tak się zdenerwował. Nawet nie zaprosił jej, aby usiadła. – Czy mogę tylko zapytać... Niepokoją mnie te wąskie źrenice, wyglądają jak...

– Rozumiem – wpadł jej w słowo, a potem kontynuował kpiącym tonem – że siostra, jako wybitna specjalistka od farmakologii, zamierza kontrolować moje sposoby leczenia? Wiedziałem, że z tego ślubu będą same kłopoty!

– Ależ nie, gdzieżbym śmiała. Chciałam tylko upewnić się...

Zawilski, mocniej niż należało, szarpnął szufladę, sięgnął do niej i zaraz wyjął buteleczkę z brązowego szkła; na etykiecie znajdował się długi łaciński opis.

– Rezerpina – powiedział. – Słyszała siostra o takiej substancji?

– Nie – rzuciła cicho.

– Nie jestem wcale zdziwiony. – Lekarz spojrział na nią z czymś na kształt politowania. – To naturalny specyfik z korzeni himalajskiej rośliny, od wieków stosowany w medycynie. U nas prawie nieznan, ale ja zetknąłem się z nim kiedyś, jeszcze na studiach i dosyć często stosuję. Zwalnia akcję serca, co w przypadku porucznika jest bardzo wskazane. Aha, byłbym zapomniał... ma tę właściwość, że zwięża źrenice. Wystarczy siostrze takie wyjaśnienie? Czy mam tłumaczyć się dalej?

– Wystarczy. – Kiwnęła głową, nie patrząc lekarzowi w oczy. Wstydziła się okropnie; Zawilski uratował Stanisławowi życie, a ona przestała mu ufać. – Przepraszam, panie doktorze.

– Nie szkodzi. – Lekarz wyraźnie się rozluźnił, a po chwili dodał o wiele łaskawszym tonem: – Siostrze Nino, znamy się już długo, wiele godzin spędziliśmy razem w sali operacyjnej, ale jeśli znowu przyjdzie siostrze do głowy, żeby podważać moje kompetencje, proszę wcześniej napisać podanie o zwolnienie.

– Rozumiem.

– Jeśli to wszystko, proszę nie przeszkadzać mi w pracy.

Pożegnała się pospiesznie, a kiedy wyszła na korytarz, dokładnie wytarła załzawione oczy. Czowała się okropnie, ale mimo to była rada, że zdecydowała się zapytać.

4.

Zapiski Poli

Coś dziwnego zaczyna dziać się w Warszawie. Niedawno jakieś tajemnicze osoby wysadziły w powietrze tor kolejowy między Dworcem Gdańskim a Wiedeńskim i próbowały zrobić to samo z tym paskudnym pomnikiem zdradców na placu Zielonym, ale to, niestety, im nie wyszło.

Jestem pewna, że Zosia dobrze wie, kto za tym stoi, gdyż ostatnio wygląda na podejrzenie zadowoloną. Zastanawiam się, czy znowu z nią nie porozmawiać. Może jednak znalazłaby mi jakieś zajęcie? To, co robiłam poprzednio, było bardzo ekscytujące i chyba całkiem dobrze się spisałam.

Ninka chodzi cała w uśmiechach, ponieważ Stanisław ma wkrótce wyjść ze szpitala. Początkowo wyglądało na to, że we dwojkę zamieszkają u nas. Okazało się jednak, że zwolniło się mieszkanie tuż nad nami. Babcia osobiście porozmawiała z właścicielką i stargowała i tak niski czynsz jeszcze o kilka rubli.

Tak szczerze, to ulżyło mi, że młoda para pójdzie na swoje, gdyż obcy mężczyzna, nawet szwagier, snujący się po mieszkaniu w piżamie to mocno krępujący widok. Poza tym ciocia Klara przez cały czas umierałaby ze strachu, że doznamy uszczerbku na niewinności oraz co na to wszystko powiedzą ludzie. Nie jest przecież przyjęte, aby nowożeńcy mieszkali z rodziną, a zwłaszcza taką, w której są niezamężne dziewczęta.

5.

Zofia wysiadła z tramwaju na placu Zbawiciela, przeszła na drugą stronę ulicy, a potem dyskretnie obejrzała się za siebie. Możliwe, że wykazywała zbyt daleko posuniętą ostrożność, ale wolała dmuchać na zimne, zwłaszcza w mieście pełnym rosyjskich szpicli.

Wędrowała Mokotowską, z przyjemnością wciągając w płuca ostre zimowe powietrze. Ależ za nim tęskniła! Za przestrzenią i za możliwością swobodnych spacerów. Zachwycała ją nieskalana biel śniegu; od listopada nie wyściubiła nosa z mieszkania, gdyby miała spędzić w domu choć tydzień więcej, oszalałaby na pewno.

Zwłaszcza że ostatnio tyle się działo!

Co prawda bitwa pod Łodzią dobiegła końca. Najpierw Niemcy chcieli okrążyć Rosjan, a potem Rosjanie okrążyli Niemców, ale z jakiegoś niezrozumiałego powodu zdecydowali, że oddadzą wrogowi miasto. Walki przesunęły się na linię Bzury i były tak zacięte, że nawet w Warszawie dało się słyszeć odgłosy artyleryjskich wystrzałów. O wiele cichsze niż te w październiku, ale tak samo przerażające.

Kellerówna skrzyła w Koszykową i rozejrzała się po raz drugi, a następnie weszła do bramy kamienicy. Stróż na jej widok uchylił czapki – odwiedziła to miejsce już wczoraj, więc ją zapamiętał. Odpowiedziała mu uprzejmym skinieniem głowy i skierowała się do lewej oficyny. Wąskimi drewnianymi schodami wspięła się na drugie piętro, gdzie spokojnym krokiem przemierzyła korytarz i w ustalony sposób zapukała do ostatnich drzwi.

– Kto tam? – zapytał po chwili kobiecy głos. – Mam dziś okropną migrenę.

– Dzień dobry, to ja, „Mira”. Przynoszę ci potrzebne lekarstwa.

Po chwili drzwi stanęły otworem i w progu stanęła szczupła, gładko uczesana ciemnowłosa kobieta, starsza od niej o zaledwie kilka lat.

– Wejdz.

W skromnie urządzonej mieszkanie panował półmrok, gdyż wszystkie jego okna wychodziły na podwórze. Miało jednak inne zalety. Na przykład taką, że zameldowano tu, oczywiście fikcyjnie, urzędnika z ratusza, więc żadnym rosyjskim służbom nie przyszło do głowy, aby się nim zainteresować.

– Cieszę się, że wyzdrowiałaś – powiedziała z uśmiechem „Ella”. – Rozbierz się, a ja zrobię herbaty. Woda w samowarze już gotowa.

Po kilku minutach obie siedziały przy stole w największym pokoju, czekając, aż parujący napój wystygnie na tyle, aby dało się go wypić z przyjemnością. W mieszkaniu oprócz nich nie było nikogo.

– Mogę wrócić do pracy w każdej chwili – powiedziała Zosia, zerkając niepewnie na dowódczynię.

– Podoba mi się twój zapal.

– W takim razie kiedy mam jechać? I dokąd?

– Spokojnie, moja droga. Nie będziesz więcej wozić raportów. Inni tym się zajmą.

– Jak to? Mam przecież doświadczenie...

– Wiem. Sytuacja zmieniła się jednak diametralnie i potrzebujemy cię tutaj, w Warszawie. Doskonale znasz teren, nikogo nie dziwi twoja obecność w mieście, masz rozliczne kontakty. Od dziś przechodzisz do sekcji wywiadowczej.

– Tak jest! – Zofia uśmiechnęła się szeroko, ponieważ nigdy nie kryła, że tę część pracy lubi najbardziej.

– Rozkazy i zadania będziesz dostawać ode mnie. Za pośrednictwem „Hanki”.

– Tak jest – powtórzyła.

– Pewnie nikt cię jeszcze nie informował, ale od kilku dni mamy lotny oddział, który zajmie się działaniami dywersyjnymi. Dowodzi nim „Mikita”, jego zastępcą jest „Walek”. Za kilka dni ma zjechać „Gryf”.

– „Gryf” przyjeżdża do Warszawy? – Starła się mówić jak najnaturalniejszym tonem, choć nie było to wcale proste, kiedy w głowie tłukła się myśl, że nareszcie znowu zobaczy kochanego człowieka.

– Niedługo. – Dowódczyni kiwnęła głową. – Akcji będzie coraz więcej. Rosjanie muszą wiedzieć, że na ich zapleczu działa polska armia. Aha, dostaniesz też na przechowanie kilka paszportów.

– Już wyprane? – Upewniła się, przysuwając sobie bliżej szklankę.

– Tak. Mogą przydać się w każdej chwili. Ukryj je dobrze.

– Coś wymyślę. – Pistolet, który dostała od Ireny, tkwił spokojnie w karniszu, przysłonięty zasłoną fantazyjnie upiętą przez Julię, ale dla dokumentów będzie musiała znaleźć jakieś inne miejsce.

– Teraz musimy przejść, niestety, do mniej przyjemnych rzeczy. – „Ella” upiła łyk herbaty. – Co to za afera z twoją siostrą?

– Poprosiłam ją tylko o pomoc w dostarczeniu kilku raportów – wyjaśniła, nie patrząc przełożonej w oczy. – Nie miałam innego wyjścia. Lekarz kategorycznie zabronił mi wychodzenia z domu, a te informacje musiały szybko dotrzeć do adresatów.

– Zdajesz sobie sprawę, że to niedopuszczalne? Twoja siostra nie jest zaprzysiężona.

– Ale będzie – rzuciła, zanim zdążyła pomyśleć. – Doskonale nadaje się na kurierkę. Wygląda jak grzeczna pensjonarka, nikt nie zwróci na nią uwagi.

– Ile ma lat?

– Osiemnaście.

„Ella” z westchnieniem pokręciła głową, a potem zastanawiała się przez długą chwilę.

– Załatw to jak najszybciej – powiedziała wreszcie.

Zofia kiwnęła głową. W jednej chwili pozbyła się dręczących ją wątpliwości – Pola jest mądra, więc na pewno da sobie radę, a jeśli będzie słuchać rozkazów, nie wpadnie w żadne kłopoty. Musiały tylko wymyślić coś, aby ich tajemnicy nie poznała ciotka Klara, a przede wszystkim Nina.

6.

Od śmierci matki Julia nienawidziła szpitali i robiła wszystko, aby odwiedzać je jak najrzadziej, a najlepiej wcale. Dlatego wyprawa do Collegium Anatomicum Szpitala Dzieciątka Jezus okazała się dla niej nie lada wyzwaniem. Można nawet by rzec, że poświęceniem.

Uznała jednak, że doktor Warliński, choć nie musiał, zrobił dla niej wiele – szczególnie podczas wyprawy do mieszkania Finkiela – więc zasługiwał, aby ten jeden raz zaciśnęła zęby i przekroczyła próg jego ponurego miejsca pracy. Tym bardziej że po odkryciu nieobecności panny Stefanii rodzinne śledztwo zostało zawieszono. Nie planowała więc żadnych wypraw w jego towarzystwie, zaś szansa, że spotkają się przypadkiem na ulicy, naprawdę była niewielka.

Przygotowała dla doktora prezent świąteczny – komplet chustek do nosa, na których sama wyhaftowała monogramy. Liczyła, że kiedy mu je wręczy, przestanie czuć, że ma wobec niego jakiś dług.

Haft udał się wyjątkowo – żadna z kobiet w rodzinie nie miała takiego drygu do robótek jak ona – choć robiła go po kryjomu, a czasem nawet przy marnym świetle, ponieważ nie chciała, aby przy tym zajęciu nakryła ją Zosia, która zaraz zaczęłaby jej dokuczać.

Wejście do Collegium Anatomicum znajdowało się dokładnie u zbiegu ulic Teodora i Wspólnej. Budynek był jasny i schludny – szpital Dzieciątka Jezus przeniósł się do nowej siedziby jakieś dziesięć lat temu – i wcale nie wyglądał na taki, w którym mieści się prosektorium.

Cóż, nie ma na co czekać. Julia wzięła trzy głębokie oddechy – niewiele brakowało, a zrobiłaby jeszcze znak krzyża – i pchnęła ciężkie drzwi, które na szczęście otworzyły się bez trudu. Kiedy znalazła się w holu, nie rozejrzała się nawet, tylko szybko podeszła do strażnika i z miną naiwnego dziewczątka zapytała słodkim głosem o doktora Warlińskiego. Strażnik wyglądał na mocno zdziwionego jej widokiem i chyba tylko z tego zdziwienia pozwolił, aby weszła dalej i nawet wytłumaczył, w którą stronę powinna się udać.

Prawdę mówiąc, to zupełnie inaczej wyobrażała sobie gmach prosektorium, a tymczasem Collegium przypominało zwykły szpital, tyle że pozbawiony chorych. Słyszała dochodzące z daleka głosy, ale sama nie natknęła się nigdzie ani na lekarzy, ani na żadną pielęgniarkę.

Dotarła do klatki schodowej, wspięła się na pierwsze piętro – co samo w sobie było niezwykle, gdyż do tej pory myślała, że zmarłych kroi się raczej w piwnicy – i pokonała nieomal połowę korytarza. Wokoło panowała cisza; Julia słyszała tylko lekkie stukanie obcasów własnych trzewików.

Znalazła bez problemu pokój, o który jej chodziło. Napis na drzwiach głosił, że mieści się w nim pracownia anatomiczna. Wystraszyła się trochę, gdyż nie wiedziała, co może zastać w środku. Nie czuła jednak woni chemikaliów, może więc nie dotarła do ukrytego pod ładniejszą nazwą prosektorium.

Zapukała, ale nikt nie odpowiedział. Po drugiej nieudanej próbie ostrożnie zajrzała do środka i pojęła, czemu czekała na darmo. Pomieszczenie nie okazało się gabinetem ani żadną pracownią, tylko długim ciemnym korytarzem z czterema parami drzwi. Jedne z nich, te położone najbardziej w głębi, stały otworem. Julia postanowiła, że w pierwszej kolejności sprawdzi, co kryje się właśnie za nimi.

Wtem usłyszała dobiegający stamtąd obcy męski głos.

– Namysłileś się już? Moja żona serdecznie zaprasza.

– Jestem wdzięczny za pamięć, ale nie chcę sprawiać wam kłopotu – odezwał się drugi mężczyzna, niewątpliwie doktor Warliński. – Podziękuj pani Marii w moim imieniu. Chyba długo ją przekonywałeś... Nie wierzę, że nagle zmieniła o mnie zdanie.

Mama oraz ciocia Klara od najmłodszych lat wpajały dziewczętom doskonale maniery, więc Julia wiedziała, że podsłuchiwanie to okropny postępek, ale teraz na śmierć zapomniała o tych naukach. Nie wiedziała, czego dokładnie dotyczy konwersacja, ale coś w tonie głosu Józefa bardzo ją zaniepokoiło. Starając się stąpać jak najciszej, zbliżyła się do drzwi i zatrzymała tuż przed progiem. Podniosła wzrok i wtedy jej oczom ukazał się kompletny i naturalnych rozmiarów szkielec: z trudem powstrzymała okrzyk przestachu i obrzydzenia. Na dodatek okropnie zaśmierdziało formaliną. Skrzywiła się i wyciągnęła z kieszeni chusteczkę, którą zaraz zatkała sobie nos.

Mężczyźni nieświadomi jej obecności kontynuowali rozmowę.

– Marysia bywa zasadnicza i nie przepada za twoimi żartami – oświadczył z przekonaniem ten pierwszy. – Ale cię lubi.

– Powiedzmy... Jednak co sobie o mnie myśli, to myśli. Nie będę jej denerwował w Wigilię.

– Nie możesz przecież siedzieć sam w domu. Do czego to podobne?

– Znajdę sobie zajęcie – mruknął w odpowiedzi Warliński. – Może wpadnę do teściów.

– Żeby zrzucili cię ze schodów? – Nieznajomy mężczyzna wyraźnie się zirytował.

Julia pomyślała zaś, że z chęcią pomogłaby tym nieznanym ludziom w ich przedsięwzięciu. Wiele bowiem wskazywało, że od jakiegoś czasu spoufała się z żonatym mężczyzną. Rozsądek jednak podpowiadał jej, że gdyby Józef miał żonę, na pewno nie spędzałby Wigilii samotnie.

– Zawsze to jakaś rozrywka. Przy odrobinie szczęścia może się przytrafić złamanie karku.

– Józek, choć raz w życiu bądź poważny!

– Jestem śmiertelnie poważny. Zjem coś w domu, a potem przyjadę tutaj i zaraz policja przywiezie mi kilku kolegów do krojenia...

– Upadł pan na głowę?! – Julia, nie zastanawiając się, co robi, wmaszerowała do pomieszczenia, w którym siedzieli mężczyźni. Nie obchodziło jej nawet to, na jakie obrzydlistwa może tam się natknąć. Zatrzymała się dopiero przed Warlińskim i wbiła w niego wściekle spojrzenie. – Nie będzie krojenia w Wigilię! Chyba że po moim trupie.

Lekarze natychmiast zerwali się z miejsc. Józef wytrzeszczył oczy i – co odnotowała nie bez satysfakcji – zaniemówił, zaś jego rozmówca, łysiejący blondyn w średnim wieku, spoglądał na nią jak na ducha ze świętecznego opowiadania pana Dickensa.

– Państwo pozwolą. – Warliński odzyskał wreszcie głos, który brzmiał jednak bardzo nienaturalnie. – Doktor Makowicz. – Wskazał na towarzysza. – Panna Julia Kellerówna.

– Miło mi – odparła i skinęła głową. Nie miała zamiaru wyciągać ręki, bo Makowicz wciąż był tak zaskoczony, że zapewne nie wiedziałby, co z nią zrobić.

– Mnie także – wymamrotał, a następnie odetchnął głęboko, co chyba pomogło mu odzyskać panowanie nad sobą, gdyż po chwili dodał: – Bardzo przepraszam, mam jeszcze coś do załatwienia na chirurgii. Do widzenia pani. – Ukłonił się uprzejmie i natychmiast wyszedł, nie czekając na reakcję kolegi. Julia założyłaby się o dziesięć rubli, że zatrzymał się gdzieś niedaleko, aby posłuchać ich konwersacji.

Rozejrzała się po pomieszczeniu i szybko zrozumiała, co oznacza jego nazwa; oprócz szkieletu na półkach w oszklonych szafach i akwariach tkwiły stworzenia przeróżnej proveniencji i wielkości, niektóre bardzo dziwaczne. Zauważyła też pozbawioną skóry ludzką rękę i kilka innych organów. Wszystko wyglądało tak okropnie, że przez chwilę zastanawiała się, czy zemdleć już teraz, czy dopiero, gdy powie Józefowi, co sądzi o jego pomysłach.

– Przepraszam – zaczęła spokojnie. – Nie planowałam takiego wejścia.

– Było bardzo w pani stylu. – Warliński uśmiechał się do niej smutno. – Co panią sprowadza do mego królestwa?

– Przyszedłam zaprosić pana na wigilię.

– Czy poinformowała pani o tym pomyśle swoją szanowną babcie?

– Moja babcia pana lubi. Ciocia jest wdzięczna, że zaopiekował się pan mną, kiedy wybrałam się „sama” do mecenasa. Siostronom podobały się pańskie bukiety, a szwagier na pewno ucieszy się, że nie będzie jedynym mężczyzną w towarzystwie.

– Panno Julio...

– Panie Józefie, nie przyjmę odmowy. – Spojrzała mu w oczy. Kiedyś myślała, że są brzydkie. Myliła się. – Przyszedłam tu, ponieważ zamierzałam wręczyć panu święteczny podarek. Ale teraz postanowiłam, że dostanie go pan dopiero po wieczery.

– Przekonała mnie pani.

– Przyjdzie pan? – Nie spuszczała z niego wzroku.

– Przyjdę – odparł cicho. – Jeśli naprawdę pani tego chce.

– Obiecuję pan?

– Tak.

– Doskonale. – Uśmiechnęła się promiennie. Była tak zadowolona, że nie czuła już smrodu formaliny. – Jeśli nie dotrzyma pan słowa, znajdę pana wszędzie i przywęlekę do nas za włosy. Proszę się nie śmiać... Włosy ma pan akurat do wleczenia. – Bezwiednie uniosła rękę i nawinęła na palec jeden z niesfornych brązowych loków.

Chwycił ją za ramiona i skłonił, żeby przysunęła się do niego. Pomyślała, że zaraz ją pocałuje, ale tym razem nie zrobił tego. Chyba że można całować oczami. Jego spojrzenie... nie umiałaby go opisać, ale zapragnęła, aby jak najdłużej patrzył na nią w ten sposób. Dręczyła ją tylko jedna myśl.

– Pana żona... – zaczęła szeptem.

– Owdowiałem – odpowiedział, zanim zdążyła dokończyć pytanie. – Ponad dwa lata temu.

Przez chwilę oswajała się z tą informacją. Cóż, wcześniej nawet przez chwilę nie wątpiła, że Józef jest kawalerem.

– Nie chce pan świętować z rodziną?

– Rodzice mieszkają pod Grodnem, a rodzeństwo rozjechało się po Cesarstwie.

– Ile ma pan rodzeństwa? – zapytała bez zastanowienia.

– Piątkę. Jestem najmłodszy. I wiem, o co pani chce zapytać... W lipcu skończyłem dwadzieścia osiem lat. Ożeniłem się, gdy skończyłem dwadzieścia pięć, a moje małżeństwo trwało niespełna rok. Nie mam dzieci. Czy coś jeszcze chciałyby pani wiedzieć?

– Na razie w zupełności wystarczy. – Uśmiechnęła się, a potem, unikając wzroku wielkiej żaby zatopionej w słoju, zerknęła na zegar. Dochodziła szósta wieczorem. Jeśli spóźni się na kolację, ciotka nie omieszką uraczyć jej kolejną porcją wymówek. – Przepraszam pana, muszę iść. Zrobiło się późno.

– Odprowadzę panią do domu.

– Nie trzeba, panie Józefie. Poradzę sobie.

– Wiem, że pani sobie poradzi – rzucił i po raz pierwszy tego wieczoru uśmiechnął się łobuzersko, czyli tak, jak robił to zawsze w jej towarzystwie. – Tym razem to mnie przeszła ochota, by tu siedzieć.

– W takim razie nie mam nic przeciwko pańskiemu towarzystwu.

Kiedy wyszli na korytarz, doktor zamknął drzwi na klucz, a potem wyjął z szafy palto i kapelusz. Zeszli na dół, gdzie siedział już inny stróż, który mocno zdziwił się na jej widok.

Na zewnątrz panowała całkowita ciemność, gdyż nie działała żadna z pobliskich latarni, a mróz przybrał na sile. Julia postawiła futrzany kołnierz płaszcza i już chciała włożyć dłonie do muffki, kiedy Józef powiedział:

– Proszę wziąć mnie pod rękę. Tu bywa bardzo ślisko.

Przystała na tę propozycję i szybko się przekonała, że postąpiła słusznie; śnieg na chodniku był mocno ubity i wyszlizgany.

W milczeniu szli w kierunku alei Jerozolimskiej i kiedy prawie do niej dotarli, Kellerówna zatrzymała się gwałtownie. Doktor spojrział na nią z niepokojem, ale dała mu znak, aby zaczął na wyjaśnienia. Tymczasem o kilka metrów od nich jakiś niepozorny, ale za to elegancki mężczyzna w średnim wieku, pomagał wsiąść do samochodu smukłej i odzianej w szykowne futro ciemnowłosej kobiecie. Następnie sam usadowił się obok niej i dał znak kierowcy. Auto zawarczało i po chwili wraz ze sznurem innych pojazdów ruszyło w stronę Marszałkowskiej.

– Widział pan tę damę? – zapytała. – To Stefania Bartmanówna, sekretarka mojego ojca.

– Ta, po której ponoć zaginął wszelki ślad?

– Ta sama. – Kiwnęła głową. – Nic już z tego nie rozumiem.

Musiąca porozmawiać z siostrami, gdyż najwyraźniej nadeszła pora, aby wznowić rodzinne śledztwo.

ROZDZIAŁ XIV

1.

W Wigilię, tuż po południu, Nina przekręciła klucz w zamku mieszkania, które miała odtąd dzielić nie z babcią, ciotką i siostrami, ale z mężem godzinę temu odebranych ze szpitala.

– To tutaj – powiedziała, otwierając drzwi.

Zamierzała wejść do środka pierwsza, ale Stanisław chwycił ją za rękę i stanowczo oświadczył:

– Zróbmy to, jak należy.

– Nie powinienes się męczyć – zaprotestowała. – Przed chwilą wszedłeś na trzecie piętro.

Nie odpowiedział i zanim się spostrzegła, chwycił ją na ręce i uniósł do góry. Objęła go odruchowo i przytuliła skroń do jego policzka, starając się nie upuścić torebki, w której znajdowały się medykamenty i recepty wręczone im na pożegnanie przez doktora Zawilskiego.

Przeniósł ją przez próg oraz cały korytarz i dopiero w pokoju ostrożnie postawił na podłodze. Odsunęła się niechętnie; właśnie odkryła, że lubi być tak blisko niego.

Choć kiedy zobaczyła go tego ranka, poczuła się niepewnie. Przez długie tygodnie nosił piżamę i szlafrok, a dziś stanął przed nią w pełnym wojskowym rynsztunku. Wydał się jej obcy i – o ile to możliwe – jeszcze przystojniejszy.

– Teraz jest już prawie dobrze – powiedział, pomagając jej rozebrać się z palta. Sam też zdjął czapkę i szynel, a potem rozejrzał się z ciekawością po mieszkaniu.

Było o połowę mniejsze niż to, które piętro niżej zajmowała jej rodzina, ale dla nich dwojga zupełnie wystarczające. W ciągu kilku ostatnich dni Nina, przy pomocy ciotki, sióstr, nieocenionej Balbiny oraz stróża, starała się urządzić je jak najwygodniej. Na szczęście było częściowo umeblowane, a reszta potrzebnych sprzętów została przyniesiona z dołu, dzięki czemu tam zrobiło się luźniej.

To, że oba pokoje prezentowały się ładnie i przytulnie, Nina w dużej mierze zawdzięczała Julii, która wybrała, uszyła i fantazyjnie poupiła zasłony i firanki, a także ozdobiła wnętrza drobiazgami pochodzącymi z ich starego domu i własnoręcznie wykonanymi bożonarodzeniowymi ozdobami. Znalazła nawet miejsce dla niewielkiej choinki. Balbina zaś porządnie napaliła w piecu; na szczęście niedawno udało się im dokupić węgla i drewna, więc nie musiały czynić drastycznych oszczędności.

Nina początkowo uważała, że oddzielne lokum to zbyt kosztowny kaprys, lecz po namyśle zgodziła się z argumentami ciotki – siostry nie przyznałyby się wprost, ale na pewno krępowałyby je nieustanna obecność mężczyzny, którego dopiero co zdążyły poznać. Stanisław miał podobne zdanie, gdyż od razu zapowiedział, że to on, jako głowa rodziny, będzie płacił czynsz i nie należy z nim na ten temat dyskutować. Babcia zaś z tajemniczym uśmiechem wyjaśniła jej, że młoda para, zwłaszcza na samym początku wspólnego życia, potrzebuje swobody i prywatności.

– Pięknie tu. Choć z tobą mógłbym mieszkać i w suterenie.

– Nie ma takiej potrzeby. – Uśmiechnęła się do niego. – Odpocznij, a ja zrobię herbaty.

– Nie spiesz się tak.

– Trzeba...

– Nie trzeba – uciął dyskusję. – Mam coś dla ciebie. – Sięgnął do kieszeni gimnastiorskiej. – Daj rękę.

– Co robisz?

– To, co powinienem w dniu ślubu. – Otworzył zaciśniętą dłoń i wtedy zobaczyła, że spoczywają na niej dwa złote kółka. – Są poświęcone.

Zaniemówiła. Co prawda myślała nieraz, że skoro są małżeństwem, powinni sprawić sobie obrączki, ale nie śmiała wspomnieć o tym głośno. Tymczasem dla Stanisława ten symbol także miał znaczenie; jeśli żywiła jakieś wątpliwości co do sensu ich związku, teraz straciła je ostatecznie.

Podawała mu dłoń, a on z namaszczeniem wsunął obrączkę na jej serdeczny palec, Nina po chwili zrobiła to samo i wtedy po raz pierwszy uwierzyła, że naprawdę jest mężatką.

– Jakim cudem pasuje tak idealnie? – zapytała, oglądając swoją rękę, na której połyskiwał dowód jej stanu cywilnego. Ciekawe, czy szybko do niego przywyknie, przecież od kiedy zaczęła pracę w szpitalu, nie nosiła żadnej biżuterii. – I skąd je wzięłeś?

– Odwiedzili mnie niedawno koledzy z pułku, więc poprosiłem o pomoc. A twoje koleżanki też bywają uczynne.

A więc taki cel miała niedawna rozmowa o pierścionkach i ich rozmiarach, w którą wciągnęły ją Mania i Hanka.

– Zaparzę tę herbatę. – Postanowiła uciec do kuchni, aby nie dostrzegł, jak mocno jest wzruszona. – Balbina upiekła paszteciki.

– Nie uważasz, że już pora, żebym cię pocałował?

Zaskoczyła ją bezpośredniość tych słów. W pierwszej chwili chciała zbyć męża jakimś żartem, ale kiedy zobaczyła wyraz jego twarzy, pojęła, że pytanie, choć zadane lekkim tonem, jest śmiertelnie poważne.

Marzyła o jego pocałunkach, ale nie potrafiła wyrazić swoich pragnień wprost. Gorączkowo szukała słów, dzięki którym, nie mówiąc zbyt wiele, zdołałaby powiedzieć wszystko.

A może nie odzywać się, tylko coś zrobić? Nie mogła przecież wiecznie czekać, aż wszystko rozwiąże się samo.

Podeszła do Stasia i walcząc z ogarniającym ją zawstydzeniem, położyła dłonie na jego piersi. Nawet przez gruby materiał bluzy czuła ciepło ciała i szybsze niż zazwyczaj uderzenia serca. Nie ruszał się, chyba czekał na jej kolejny ruch. Przesunęła ręce ku górze i – jeden po drugim – rozpięła wszystkie pięć guzików pod szyją, a potem wsunęła drżące palce pod materiał i pogłaskała męża po nagiej skórze.

Dziwne, przez ponad dwa miesiące opiekowała się nim, zmieniała bandaże, myła go, przebierała i nawet przez chwilę nie była tym skrepowana. W tej chwili miała jednak wrażenie, że dotyka jego ciała po raz pierwszy. I że w tym dotyku jest coś szczególnego.

Pogładził ją po policzku, więc odruchowo uniosła głowę, a on dłużej nie zwlekał, tylko dotknął wargami jej ust. Westchnęła. Nie ze strachu, ale ze zdumienia, że jedno lekkie muśnięcie może porazić niczym elektryczność.

Przymknęła oczy, a Staś ostrożnie wyciągał szpilki z jej włosów, kiedy zaś warkocz ciężko opadł na plecy, rozplótł go i zanurzył dłonie w wijących się puklach.

– Taka piękna – powiedział cicho. – Aż nie chce się wierzyć.

Początkowo pozwalała, aby to on całował ją, posłusznie szła, dokąd ją prowadził, przyjmowała wszystko, co dawał, kiedy jednak minęło pierwsze onieśmielenie, zaczęła odwzajemniać pieszczoły. Narzucać mu własny rytm. Mimo że oddech rwał się coraz częściej i kręciło się jej w głowie.

Nagle Staś, także zadyszany, cofnął się i spojrzął jej w twarz z taką radością, jak gdyby dostał przed chwilą najwspanialszy prezent. Czuła szczypanie pod powiekami. Nie chcąc rozplakać się w głos, znowu przyciągnęła go do siebie.

W uniesieniu, które ją ogarnęło, przestała zauważać i rozumieć, co właściwie dzieje się z nią, z nim, z wirującym przed oczami pokojem. W jaki sposób znaleźli się w sypialni? Gdzie podziały się ubrania? Kto i kiedy pościagał je z nich obojga? Ile już minęło czasu? Dlaczego czuje się tak wspaniale? I czemu wcale się nie wstydzi?

– Gdybyś miała gorset, pociąłbym go szablą – mruknął jej nagle do ucha. – Chodź tu natychmiast – dodał, kiedy rozbawiona tą morderczą wizją, zaczęła chichotać. – Nie uciekniesz.

Nawet nie przeszło jej przez myśl, aby się opierać. Nie tylko z tego powodu, że przysięgła mu posłuszeństwo. Po prostu zachwycało ją wszystko. To, że każdy pocałunek smakuje inaczej. Że ciepłe dłonie suną po jej ciele, jakby chciały natychmiast nauczyć się go na pamięć. I że choć to, co robi z nią Staś, jest nowe i zaskakujące, nie obawia się niczego. Ufała mężowi bardziej niż sobie.

Opadł na poduszkę tuż obok niej. Przez jakiś czas leżał bez ruchu, ale kiedy uspokoił oddech, a jego serce odzyskało zwykły rytm, spojrzął na nią i powiedział:

- Teraz nie mamy już odwrotu. Zawsze będziesz moją żoną.
- A ty moim mężem – szepnęła. – Nie oddam cię nikomu.
- Gdybyś spróbowała, przykułbym się do ciebie łańcuchem.
- Zostały jeszcze jakieś z produkcji dziadka i tati.

Oboje zaśmiali się cicho, a potem mąż przytulił ją do siebie. Oparła głowę na jego ramieniu i gładząc go delikatnie po poranionej piersi, uświadamiała sobie, że niepotrzebnie się martwiła. Na pewno z czasem zdołają wszystko poukładać i żyć szczęśliwie. Nawet małżeński obowiązek nie okazał się wcale straszny.

Wcześniej każda myśl o nocy poślubnej wzbudzała w niej lęk. Cóż, w domu nie rozmawiało się o tych sprawach – gdyby któraś z nich bąknęła na ten temat choć słowo, ciotka Klara niewątpliwie dostałaby spazmów. Ninka dopiero w szkole pielęgniarskiej, głównie dzięki koleżankom, poznała trochę bliższych szczegółów. Dziewczęta, okropnie zawstyżone, opowiadały, że ponoć sypianie z mężem nie daje kobiecie żadnej przyjemności, jest wręcz przykre, ale trzeba zacisnąć zęby i wytrzymać, gdyż bez tego nie urodzą się dzieci.

Tymczasem spotkała ją niespodzianka; ku jej wielkiemu zdumieniu nic nie bolało, było nawet miło i bez niechęci myślała, że wkrótce mogliby to powtórzyć.

Zadowolona z tej konkluzji zamknęła oczy i zasnęła.

2.

Julia, spoglądając na świątecznie przystrojoną jodłę, miała wrażenie, że poprzednią wigilię i tę obecną dzieli nie dwanaście miesięcy, ale co najmniej dwieście. Przez ten czas życie ich rodziny zmieniło się diametralnie. Wraz z nim zmieniły się też siostry. I ona sama.

Rok temu marzyła, aby wyjść za mąż i błyszczeć w najlepszym towarzystwie, a także by małżonek nie wymagał od niej zbyt wiele i bez protestu płacił – możliwe, że jej własnymi pieniędzmi – rachunki za stroje, biżuterię i podróże. Miłości nie uwzględniała w swoich planach, gdyż takie uczucie kojarzyło się jej wyłącznie ze słabością i dobrowolnym poddaniem się mężczyźnie. Ona zaś zamierzała wyrwać sobie tyle swobody, ile tylko mogła kobieta z jej pozycją.

Kilkanaście dni później poznała Andrzeja Turzynieckiego i pojęła, że osoba męża ma jednak znaczenie. Od tamtej pory robiła wszystko, aby skłonić młodego człowieka najpierw do deklaracji uczuć, a potem do oświadczeń. Osiągnęłaby cel, gdyby nie seria nieszczęść, która przetoczyła się przez jej życie niczym rozpędzona lokomotywa.

Andrzej nie uniósł ciężaru tych problemów i zniknął, zapewne w poszukiwaniu lepszej partii. Ona zaś nie umiała o nim zapomnieć i po nocach wyobrażała sobie, co by było, gdyby...

Dobrze, ale co było, to było, i już tego nie ma. Trzeba zadowolić się tym, co jest.

- Pięknie ubrałaś choinkę – powiedziała ciotka, która weszła do salonu. – A jeszcze piękniej stół.
- Dziękuję cioci – odparła, zdziwiona pochwałą, gdyż z ust Klary słyszała przeważnie wyrzuty i uwagi.

Pierwszy raz pierwszy zrobiła wszystko samodzielnie, począwszy od wycinania i składania łańcuchów oraz ozdób, po wieszanie ich na gałęziach drzewka i przypinanie do obrusu – wcześniej ograniczała się do kupowania gotowych bombek i dokładnego instruowania pokojówek.

Pola kończyła rozkładanie sztućców. Z kuchni dochodził władczy głos babci Adeli oraz niesły smakowite zapachy, które mieszały się ze świeżą wonią żywic. Świąteczny nastrój z każdą minutą był coraz bardziej wyczuwalny; mieszkanie pojaśniało i stało się przytulniejsze. Julia ze zdumieniem stwierdziła, że czuje się tu tak dobrze, jak niegdyś w wili, brakowało jej tylko tatki.

– Klaro! – zawołała z kuchni Adela. – Bądź uprzejma przyjdź tu na moment.

Ciotka, która nadal podziwiała ozdoby, natychmiast posłuchała wezwania. Zapewne musiały rozstrzygnąć jakiś niezwykle ważny kulinarny spór między babcią a Balbiną.

Wigilijne menu było o wiele skromniejsze niż niegdyś. Nie tylko ze względu na szalejącą drożyznę, ale także z powodu wojennych niedoborów, które coraz bardziej dawały się wszystkim we znaki. W mieście brakowało mąki, cukru, soli i wielu innych towarów, mimo że warszawski syndykat rolniczy, czyli jedyny skład, z którego sprzedawcy obecnie czerpali produkty, dwoił się i troił. Kupował w Rosji, co tylko się dało, ale niestety, nie miał możliwości przyspieszenia dostaw.

Na szczęście na targach i bazarach nie brakowało ryb zwożonych z różnych stron, nawet z Rostowa nad Donem. Bez problemu dało się też dostać zwierzynę i mięso. Balbina jakimś niezwykle sposobem – zapewne dzięki swym licznym rodzinnym kontaktom – zdobyła nabiał, nieco miodu, a mąkę i cukier na świąteczne wypieki oszczędzała już od miesiąca. Zosia przyniosła skądś pół funta maku, rodzynki i suszone owoce, zaś Pola i ona wystąpiły w kolejkach chleb i warzywa.

Wielkie gotowanie trwało nieprzerwanie od trzech dni, a do sprzątania obu mieszkań żona stróża naraiała im jakąś swoją powinowatą czy krewniaczkę.

Dyskusja w kuchni trwała nadal i Julia już zamierzała sprawdzić, cóż takiego ją wywołało, ale ktoś zaczął pukać do drzwi, więc poszła do przedpokoju.

Zanim zdążyła tam dotrzeć, usłyszała głos przejętej Ninki, śmiech Zosi i wesoły męski baryton. Nadeszła wreszcie pora, aby poznać tajemniczego szwagra.

Stanisław przerastał obie jej siostry prawie o głowę. Przykuwał uwagę płowymi włosami oraz zgrabną i bardzo szczupłą sylwetką; zapewne schudł w czasie choroby, gdyż jego mundur wydawał się za luźny. A kiedy odwrócił się w jej stronę, dostrzegła najpierw brzydką szramę na lewym policzku, a dopiero potem regularne rysy i duże niebieskie oczy. Rzeczywiście – jak wspominała Pola, która odwiedziła go z babcią w szpitalu – był młody. Tak bardzo, że ona nie zwróciłaby na niego uwagi, mimo jego doskonałej prezencji.

– Julciu, to Stanisław. A to moja siostra Julia.

– Miło poznać szwagierkę – powiedział Stanisław z lekkim wschodnim akcentem i szarmancko pocałował ją w rękę.

Uśmiechnęła się do niego, nie przerywając obserwacji. Tak, to naprawdę przystojny chłopak i niewątpliwie bystry. Ależ z tej Ninki cicha woda! Niby siedziała w kącie i nie interesowała się mężczyznami, ale kiedy przyszła pora, sama znalazła sobie męża jak malowanie. Uwadze Julii nie umknął także fakt, że siostra – którą zawsze uważała za ładną, ale zupełnie zwyczajną i pozbawioną wdzięku – tego wieczoru wręcz promienieje. Niewątpliwie była zakochana po uszy. Stanisław chyba też; kiedy patrzył na żonę, miał w oczach wręcz cieliący zachwyt. Zośka doszła zapewne do podobnych wniosków, gdyż nagle mrugnęła do niej porozumiewawczo i obie z trudem powstrzymały śmiech. Swoją drogą, najstarsza siostra musiała mieć dzisiaj wyśmienity humor, gdyż jeszcze ani słowem nie wspomniała o polskich zdrajcach wysługujących się Rosjanom i bohaterach od komendanta Piłsudskiego. A może nie chciała robić Ninie przykrości w czasie świątecznej wieczerzy?

– Gdzie się chowacie? – Tuż obok nich pojawiła się Pola, którą Stanisław przywitał jak dobrą znajomą. – Babcia czeka. Powiedziała, że nie przysłała specjalnego zaproszenia.

Tak kategorycznego żądania nie należało lekceważyć.

Przeszli wszyscy do salonu. Ninka nieco się spięła: nic dziwnego, musiała przedstawić męża ciotce. Julia też się zaniepokoiła, gdyż lada chwila spodziewała się doktora Warlińskiego. Mimo że nie był jej konkurentem, a rodzina została dyplomatycznie uprzedzona o jego wizycie, nie umiała przewidzieć reakcji Klary.

– Dobrze, że jesteś, chłopcze. – Adela wyciągnęła rękę, którą Stanisław ucałował z szacunkiem.

Ciotka mierzyła go zaś taksującym spojrzeniem, wcale się z tym nie kryjąc. Na szczęście szwagier znosił to ostentacyjne badanie ze spokojem, widocznie zależało mu, aby zrobić jak najlepsze wrażenie na rodzinie małżonki.

– Zaczynamy podawać – zarządziła ciotka, kiedy wreszcie zakończyła oględziny. – Pierwsza gwiazda na pewno weszła.

– Nie możemy – zaprotestowała natychmiast Julia. – Czekamy jeszcze na kogoś.

Jej wszystkie trzy nieznośne siostry jak na komendę spuściły głowy, a ona udała, że nie zauważa ich znaczących uśmiechów. Miała pewność, że postępuje słusznie. W tym przekonaniu dodatkowo utwierdziła ją babcia, która powiedziała, że taki dobry człowiek jak doktor nie powinien spędzać Wigilii samotnie, i to jeszcze w prosektorium.

Zerknęła na zegarek. Warliński się spóźniał. Oczywiście istniała możliwość, że wcale nie zamierzał przyjsć, a obietnicę złożył wyłącznie dla świętego spokoju. Takiego postępkowi nie darowałyby mu za nic; naprawdę była gotowa, aby wezwać dorożkę i szukać go do skutku.

Nagle usłyszała podejrzane odgłosy dochodzące od strony wejścia. Nie oglądając się na rodzinę, wyszła na korytarz i tam upewniła się, że ktoś rzeczywiście puka, ale robi to tak cicho, jak gdyby chciał, aby na pewno go nie usłyszano.

„A to huncwot – uśmiechnęła się kpiąco pod nosem – jego niedoczekanie!”

Co sił w nogach pobiegła do przedpokoju i otworzyła drzwi. Miała rację, jakżeby inaczej. Doktor Warliński próbował właśnie uciec i pokonał już połowę drogi na półpiętro. Zapewne za kilka dni powiedziałby jej z ubolewaniem, że zjawił się, jak obiecał, tylko nikt nie wpuścił go do mieszkania.

– Przeliczył się pan, drogi panie Józefie – rzuciła z przekąsem. – Mam doskonały słuch. Proszę natychmiast wracać.

Pokręcił głową, westchnął z rezygnacją, ale posłuchał polecenia i już po chwili stał obok niej. Wyglądał na nieco wystraszonego.

– Dobry wieczór – powiedział poważnie. – Obawiałem się, że zmieniła pani zdanie.

– Proszę zapamiętać, że nigdy nie zmieniam zdania – prychnęła. – I niech pan wreszcie wejdzie, bo rodzina wymrze mi z głodu. – Mocno chwyciła jego dłoń.

Bez dalszych protestów wszedł z nią od holu. Zdjął i odwiesił kapelusz oraz palto, a Julia przez ten czas nie spuszczała z niego wzroku. Cieszyła się, że go widzi; jeśli ktoś mógł tego wieczoru zapelnąć bolesną pustkę po zmarłym ojcu, to nie Stanisław, ale on. Czemu tak uważała? Nie wiadomo. W tym jednak momencie nie miała ochoty szukać odpowiedzi na to kłopotliwe pytanie.

– To dla pani. – Wręczył jej elegancko zapakowaną płaską paczkę; wystarczyło, że wzięła ją do ręki, i już wiedziała, że to czekoladki.

– Dziękuję i chodźmy. – Wzięła go znowu za rękę i puściła dopiero przed wejściem do salonu.

W czasie, kiedy była nieobecna, siostry zdążyły pozapalać świece i wazy z wigilijnymi daniami. Znalazł się w nich barszcz z uszkami, szczupak duszony z warzywami i jeszcze drugi, smażony, sandacz z jajami, karp w szarym sosie, postna kapusta, legumina oraz babka z makiem i kompot z suszeniny. Z zadowoleniem uznała, że zastawiony i ozdobiony stół wygląda wspaniale; przynajmniej na chwilę można było zapomnieć, że trwa wojna.

– Dobry wieczór państwu – powiedział jej gość.

– Dobry wieczór, panie doktorze – odparła babcia, która wyszła mu na spotkanie. – Cieszymy się, że przyjął pan zaproszenie.

– Pamięta ciocia pana doktora Warlińskiego? – Julia zwróciła się do Klary z najśłodszym ze swych uśmiechów, co – nie wiedzieć czemu – tak rozbawiło Zośkę, że Nina musiała dyskretnie pociągnąć ją za rękaw.

– Pamiętam – rzuciła głucho ciotka, z trudem kryjąc niezadowolenie. W jej głowie najwyraźniej tłukła się myśl, że druga bratanica także postanowiła sprowadzić do domu poślubionego w tajemnicy męża. – Dobry wieczór – dodała z westchnieniem, kiedy gość ucałował jej rękę.

– Zna pan wszystkich obecnych oprócz mojego szwagra. – Julia wskazała doktorowi Stanisława.

Panowie uścisnęli sobie ręce i wymienili uprzejmości, a jej uwadze nie umknęło, że mąż Ninki rzeczywiście ucieszył się na widok drugiego mężczyzny; wizja spędzenia wieczoru wyłącznie w damskim towarzystwie musiała trochę go przytłaczać. Warliński zaś omiół uważnym spojrzeniem twarz nowego znajomego i na chwilę zmarszczył czoło.

Po wspólnej modlitwie dzielili się oplatkiem i składali sobie wzajemnie życzenia, które nie miały w sobie nic oryginalnego – rychły koniec wojny, spokój, zdrowie oraz, oczywiście, szybkie zamążpójście dla pańien. Chyba tylko Nina i Stanisław, którzy długo rozmawiali szeptem, wieszali sobie czegoś innego. Julia nie sądziła, że kiedykolwiek nadejdzie taka chwila, ale nagle pozazdrościła siostrze, że nie musi już mierzyć się ze światem w pojedynkę. W zamyśleniu odwróciła się i wpadła prosto na Józefa.

– Życzę, żeby nie spędzał pan Wigilii w prosektorium, ale zawsze we własnym domu – powiedziała, odłamując sobie kawałek jego oplatka.

– A pani niech nie zmienia się nigdy. – Wziął ją za rękę.

– Ciocia Klara mówi, że powinnam... – zaczęła paplać, aby ukryć wzruszenie; nie otrząsnęła się jeszcze z melancholijnego nastroju.

– Proszę tego nie słuchać. – Wciąż nie puszczał jej dłoni. – Powiedziałem kiedyś, że jest pani najbardziej niezwykłą kobietą, jaką znam. Nadal podtrzymuję tę opinię.

– Dziękuję – wyszeptła i nagle zapragnęła przytulić się do niego. Nie był to jednak odpowiedni czas ani miejsce. I w ogóle nie byłoby to odpowiednie zachowanie.

Wieczera upływała w ciszy. Jedzenie nie tylko pięknie się prezentowało, ale też doskonale smakowało. Balbina nie marnowała czasu, kiedy pomagała ich dawnej kucharce.

Służąca spędzała Wigilię razem z nimi. Jeszcze rok temu liczna służba Kellerów miała swój własny świąteczny stół w kuchni, ale teraz nie było mowy o takich ceregielach; w ciągu ostatnich miesięcy Balbina stała się częścią ich rodziny.

– Bardzo proszę nalać mi kompotu. – Julia zwróciła się do doktora, który siedział obok niej.

– Oczywiście. – Spełnił jej prośbę, a potem ponownie zerknął na Stanisława. W jego spojrzeniu zauważyła niepokój.

– Czemu pan tak mu się przygląda? – Nie wytrzymała.

– Wspominała pani, że długo chorował?

– Był ciężko ranny w serce. Dopiero dziś wypuścili go ze szpitala.

– W serce... – mruknął Warliński i zamyślił się na chwilę. – Ach tak, profesor Waiss wspominał... Panno Julio – ożywił się nagle – gdyby siostra potrzebowała pomocy zaufanego lekarza, proszę skontaktować ją ze mną.

– A teraz to mnie pan przestraszył – rzuciła niespokojnie. – Coś nadal mu dolega?

– Różnie bywa z ludźmi po tak ciężkich operacjach – odparł uspokajająco, a ona zrozumiała, że nie mówi jej prawdy. Nie szkodzi, wycisnie ją z niego w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Kolacja wigilijna dobiegła końca, więc Pola, najbardziej muzykalna w rodzinie, siadła do pianina i zaczęła grać Wśród nocnej ciszy. Potem śpiewali ochoczo jeszcze inne kolędy, choć żaden dyrygent

nie uznalby ich za porządny chór. A kiedy przyszła pora na prezenty, okazało się, że Ninka i Stanisław wyszli po angielsku; najmłodsza siostra wyjaśniła jej szeptem, że szwagier musi koniecznie odpocząć.

– Państwo Woydowie mieszkają gdzieś niedaleko? – upewnił się doktor.

– Dokładnie piętro wyżej. Stanisław na pewno nie zdąży zmęczyć się jeszcze bardziej. A to dla pana. – Podała mu paczuszkę owiniętą starannie w glansowany papier. – Dotrzymał pan słowa, więc ja spełniam obietnicę. Proszę zająć.

– Naprawdę zrobiła to pani sama? – zapytał, kiedy rozpakował prezent. – Sama to wyhaftowała?

– Pomyślałam, że na pewno się przydadzą.

– Takich z monogramem na pewno nie zgubię. Są wspaniałe. – Uśmiechnął się do niej. – A teraz bardzo przepraszam, ale naprawdę muszę iść.

Nie wiedzieć czemu, ogarnął ją smutek, nie mogła jednak zatrzymać go na siłę. Pożegnał się uprzejmie ze wszystkimi, zaś Balbinę skomplementował za pyszną wieczerzę, a ona odprowadziła go do wyjścia.

– Dziękuję pani – powiedział, kiedy włożył już palto. – Dawno nie spędziłam tak wspaniałej wigilii.

– Cieszę się, że pan przyszedł. – Spojrzała mu w oczy.

Miękkim ruchem odgarnął jej grzywkę i czule cmoknął w czoło, a potem, po chwili wahania, jeszcze w usta. Wpatrywała się w niego nadal, więc dotknął jej twarzy.

– Pocałowałbym panią naprawdę – szepnął – ale się boję.

– Czego? – zapytała tak samo cicho.

– Że pani szwagier dowie się o tym i zastrzeli mnie w pojedynku.

Z trudem powtrzymała śmiech, przewróciła za to oczami.

– Niech pan lepiej idzie. – Żartobliwie trzepnęła go w ramię.

Uścisnął jej rękę po raz ostatni, a potem zniknął za drzwiami. A Julia ledwo zdążyła się odwrócić, już napotkała Zosię, która – ubrana w palto i kapelusz – najwyraźniej dokądś się wybierała.

– Na pasterkę jeszcze za wcześnie – zauważyła rzeczowo. – Idziesz na spacer dla lepszego trawienia?

– Mam do załatwienia ważną sprawę. – Siostra zawahała się na chwilę. – Pewnie wrócę bardzo późno. Gdyby ciocia albo babcia zaczęły się martwić, powiedz, że jestem bezpieczna.

– I mam wysłuchać całej diatryby? Chyba żartujesz, moja droga.

– Poświęć się dla mnie chociaż jeden raz. Kiedyś na pewno ci się odwdzięczę.

– Idziesz spotkać się z mężczyzną. – Julia poczuła się bardziej zaintrygowana niż zgorzonna. – W nocy? Proszę, proszę... a mnie kto prawil morały? Tymczasem to ja powinnam martwić się o ciebie.

– Poradzę sobie, a ty jesteś smarkata i wielu rzeczy nie rozumiesz.

– Mam dwadzieścia jeden lat, tylko dwa mniej od ciebie, i jestem pełnoletnia.

– Nie zgadłabym, widząc twoje zachowanie. – Zosia uśmiechnęła się ironicznie. – Bez litości bałamucisz tego biednego doktora.

– To tylko znajomy – oświadczyła kategorycznie, gdyż bardzo denerwowały ją takie insynuacje. – Pomógł mi, więc postanowiłam się zrewanżować.

– Z każdym znajomym całujesz się po kątach?

Julia otworzyła usta, ale po raz pierwszy od bardzo dawna nie wiedziała, co powiedzieć.

– Nie złość się. – Siostra spoważniała. – Warliński patrzy na ciebie, jakby reszta świata nie istniała. Wygląda na porządnego mężczyznę, nie powinnaś bawić się jego uczuciami.

– Opowiadasz głupstwa. – Odwróciła się na pięcie i poszła do salonu. Nie zamierzała dłużej brać udziału w tak żalosalnej konwersacji.

Próbując uspokoić zszargane nerwy, zjadła aż dwie porcje leguminy i jeszcze kilka łamańców, a potem rozpakowała prezent od babci i cioci – na widok doskonałej welenki w gołęmbim kolorze

szczerze się ucieszyła; było jej akurat tyle, że powinno wystarczyć na sukienkę. Żałoba przecież kiedyś się skończy i będzie mogła pomyśleć o ładniejszych strojach. Nienawidziła już tej czerni.

– Czy doktor Warliński aby ci się nie oświadczył? – zapytała ciotka, która od pewnego czasu obserwowała jej poczynania, ale wciąż nie zdążyła się zorientować, że Zofia dokądś wyszła. – On mi podejrzanie wygląda.

– Proszę cioci, naprawdę nie zamierzam wychodzić za niego za mąż. Ani za nikogo innego. Przynajmniej na razie.

Znowu ktoś zapukał i to dosyć energicznie. Co prawda Julia miała serdecznie dosyć nieustannych wędrowek po korytarzu, ale teraz postanowiła skorzystać z okazji i zejść Klarze z oczu. Nie wiadomo, do czego doprowadziłaby ta dalsza indagacja.

– Otworzę – powiedziała, zrywając się z miejsca.

Ciekawe, kto tak się dobija? Na pewno nie Ninka, ponieważ ona zeszlaby kuchennymi schodami. A może Józef, nie daj Boże, czegoś zapomniał?

Szarpnęła drzwi i na chwilę zapało jej dech. Za progiem stał Andrzej Turzyniecki. Najprawdziwszy na świecie, piękny niczym młody bóg i ubrany jak spod igły. Nie zmienił się wcale przez te kilka miesięcy, kiedy go nie widziała, może tylko stał się jeszcze przystojniejszy. Czyżby Opatrzność postanowiła spełnić jej życzenie akurat dzisiaj?

– Dobry wieczór, panno Julio – zaczął, kłaniając się jej uprzejmie. – Wesołych świąt.

– Dobry wieczór, panie Andrzeju – odparła. Chcąc zachować równowagę, musiała oprzeć się o futrynę, gdyż jej nogi zamieniły się w jednej chwili w drżącą galaretę. – Co pana do nas sprowadza?

– Chcę z panią porozmawiać – rzucił żarliwie, a potem chwycił obie jej dłonie i mocno uściśnął. – Nie zniosę myśli, że uważa mnie pani za drania.

Serce Julii biło jak szalone.

3.

W rodzinie Kellerów obchodzono hucznie wszystkie święta, a przede wszystkim Boże Narodzenie. Wtedy na stole pojawiały się wykwintne potrawy, nad których przygotowaniem czuwała najpierw mama, a po jej śmierci ciotka Klara. Sięgające sufitu choinki – zawsze ubierano więcej niż jedną – jaśniały płomykami świeczek i skrzyły się blaskiem ozdobnych bombek. Cała willa pachniała świerkiem.

Dzisiejsza wieczerza była może najskromniejsza ze wszystkich, w jakich Nina brała udział, za to wyjątkowo piękna. Niewątpliwie wpłynęła na to rodzinna tragedia i wojna, która zdawała się nie mieć końca, ale kiedyś nie czuła tak mocnej więzi z rodziną, a także dumy, że wspólnie przetrwały najgorszy czas i nadal niezłe sobie radziły, choć wiele osób przepowiadało im szybki koniec na ulicy. W dużej mierze zawdzięczały to babci Adeli, która umiała podtrzymać je na duchu, a wcześniej – choć wtrącała się do wychowania wnuczek rzadko i poniekąd mimochodem – nie pozwoliła ojcu i ciotce zrobić z nich księżniczek z morskiej pianki.

Najbardziej brakowało jej dzisiaj tatki.

Był przy niej jednak Stanisław. Przyszedł też doktor Warliński, którego akurat ona nie spodziewała się wcale.

Naprawdę ciekawiło ją, co zaszło takiego, że jej kapryśna siostra nie dość, że przestała wytrząsać się nad niechcianym konkurentem, to jeszcze zaprosiła go na wieczerzę. Może zrezygnowała wreszcie z marzeń o bogatym mężu i doceniła to, co miała pod samym nosem?

Stanisław przez pół wieczoru czarował ciotkę Klarę, która wciąż żywiła obiekcje co do ich małżeństwa, i chyba udało mu się nieco ją obłaskawić. Babcia Adela obserwowała poczynania nowego

wnuka z wyraźnym rozbawieniem, a Julia rzucała na niego spojrzenia pełne niedowierzania: nic dziwnego, zawsze przepowiadała Nince, że zostanie starą panną albo w najlepszym przypadku skończy jako żona starego rejenta.

Ona także, raz po raz, zerkała na męża, dlatego szybko zauważyła, kiedy dopadło go zmęczenie; w pewnym momencie zrobił się tak blady, że zaniepokojona tym nie na żarty zaproponowała, aby zakończyli wizytę. Nie oponował, więc pożegnali się z babcią i ciotką, a potem kuchennymi schodami wrócili do siebie.

W przeciwieństwie do gwaru panującego piętro niżej w ich mieszkaniu panował spokój i cisza. Nie sądziła, że tak szybko to doceni.

Stanisław rozpiął pas, zdjął gimnastiorkę i wolno poszedł do sypialni. Usiadł na łóżku i choć wydawało się to niemożliwe, zbladł jeszcze bardziej. Lekko trzęsły mu się ręce.

– Połóż się i odpocznij – poprosiła. – Masz za sobą ciężki dzień.

– Za to udany. – Grymas na jego twarzy nie przypominał wcale uśmiechu. – Od lat nie byłem na prawdziwej wieszce wigilijnej.

Patrząc na pot, który nagle wystąpił mu na czoło, poczuła wyrzuty sumienia – jak mogła zapomnieć, że jest rekonwalescentem, który dopiero opuścił szpital, i pozwolić, aby robił rzeczy, z którymi mógł poczekać kilka dni, a może i tygodni.

– Źle się czujesz?

– Nic. To tylko... – Nie dokończył. Położył się i ukrył twarz w poduszce, trząsł się przy tym coraz mocniej.

– Czyżby doktor Zawilski wypuścił go za wcześnie? A może podczas drogi zdążył się przeziębic?

– Zimno ci?

Sięgnęła po kołdrę i otuliła go starannie, ale jemu nie o to chodziło, gdyż natychmiast odrzucił przykrycie. Oddychał ciężko i przyciskał dłoń do serca, jakby próbował zatrzymać je w piersi. Chciała sprawdzić, czy nie dostał gorączki, więc pochyliła się i wyciągnęła rękę, aby dotknąć jego czoła.

– Zostaw! – rzucił tak ostro, że drgnęła z nagłego przestraszenia i odsunęła się odruchowo.

Pierwszy raz od początku znajomości podniósł na nią głos. Działo się coś złego, a ona nie miała o tym pojęcia.

– Staś – zaczęła łagodnie, choć była tylko o krok od paniki. – Powiedz, co się dzieje? – Wyciągnęła rękę, by pogłaskać go po ramieniu, ale zaraz ją cofnęła ze strachu przed kolejną gwałtowną reakcją.

– Przepraszam. Nina, ja nigdy...

– Nic się nie stało. – Starła się zachować spokój. – Powiedz mi.

– Boli! – Wpadł jej niecierpliwie w słowo. – Zaraz mnie rozerwie. Zrób coś!

– Co cię boli?

– Tu. – Wskazał pierś. – I głowa. Wszystko. Nie mogę... Błagam, daj coś. – Wbił w nią udręczone spojrzenie; tym razem jego źrenice były tak ogromne, że oczy wydawały się czarne. – Morfinę... cokolwiek. Bo oszaleję.

Zmartwiła.

– Dlaczego mówisz o morfinie? – zapytała, kiedy zdołała wreszcie coś z siebie wykrztusić. – Od dawna jej nie bierzesz.

– Doktor dawał mi... żeby nie bolało.

– Kiedy?! – Zmartwiła.

– Zawsze, jak przychodzili ci... Potem częściej. Zrób coś! – Chwył ją kurczowo za rękę; jego palce drżały i były wręcz lodowate. – Błagam. Daj coś. Cokolwiek. Niech przestanie boleć.

– Zaczekaj. – Z trudem uwolniła dłoń z jego uścisku. – Zaraz wrócę.

– Daj coś... Błagam. Nina... umrę, jeśli nie dasz.

Pędem pobiegła do dużego pokoju, znalazła torebkę, w której znajdowały się leki od Zawilskiego. Wytrząsnęła na stół całą zawartość i zaczęła grzebać w niej gorączkowo. Wśród starannie pozawijanych papierowych tutek z pigułkami oraz szklanych buteleczek znalazła zawiniątko, w którym kryło się kilka charakterystycznych fiolek.

Miała wrażenie, że ktoś uderzył ją obuchem w głowę. Ciężko klapnęła na krzesło.

Jezu Chryste! Morfina.

A więc Zawilski okłamał ją z zimną krwią, a ona przyjęła za dobrą monetę wszystkie pokrętnie tłumaczenia. I jeszcze robiła sobie wyrzuty, że śmiała zwątpić w jego dobre intencje i wiedzę. Cóż za naiwność!

Rezerpina... Jaka rezerpina?!

Wizja błyskotliwej kariery całkiem odebrała doktorowi rozsądek. Najwyraźniej przestało go też obchodzić dobro człowieka, któremu cudem uratował życie. Zależało mu tylko, aby ważni profesorowie zobaczyli spokojnego i zadowolonego pacjenta.

Może gdyby była bardziej doświadczona, nie dałaby zbyć się tak łatwo? Trafniej skojarzyłaby fakty? Potrafiła wyluskać prawdę z plotek? Może kilka tygodni temu dałoby się jeszcze uratować Stanisława przed nalożeniem?

Dlaczego nie powiedział jej o niczym?

Siedziała bez ruchu, nadal wbijając wzrok w zdradzieckie fiołki, i wiedziała tylko jedno – musi koniecznie opanować nerwy, bo jeśli zacznie teraz płakać, zapewne nie skończy już nigdy.

KONIEC

- [1](#) *Odezwa do Polaków*, „Kurier Warszawski”, 14.08.1914, nr 244; źródło: Polona.
- [2](#) Aleksandra Szczerbińska, komendantka Żeńskiego Oddziału Wywiadowczego Pierwszej Brygady Legionów.
- [3](#) Rajmund Jaworowski, komendant całego Oddziału Wywiadowczego Pierwszej Brygady Legionów.
- [4](#) Adam Skwarczyński, zastępca komendanta Oddziału Wywiadowczego Pierwszej Brygady Legionów
- [5](#) Tadeusz Żuliński, pierwszy komendant Polskiej Organizacji Wojskowej.
- [6](#) A. Belcikowska, *Polska Organizacja Wojskowa – zarys dziejów*, Warszawa 1939, s. 8.
- [7](#) Maria Jaxa-Kwiatkowska, pierwsza komendantka Oddziału Żeńskiego Polskiej Organizacji Wojskowej.